RAPORT „DO RZECZY”

Jak licealiści i lewica podpalili Francję



Po zabójstwie księdza w Jarosławiu – najpierw żałoba, potem przebaczenie

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 42/702 12–18 PAŹDZIERNIKA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)

NIEZWYKŁA KARIERA SZEFA TELEGRAMA
KIM JEST PAWIEŁ DUROW



Znaczenie Października ’56 – dwugłos Mażewski – Semka



INŻYNIEROWIE DUSZ Z NETFLIXA

Jak próbują zniszczyć przywiązanie Polaków do tradycji

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



„HUBAL": MUNDURU NIE ZDJĄŁ, BRONI NIE ZŁOŻYŁ

NA TROPIE MJR. DOBRZAŃSKIEGO – Nazywano go przeróżnie: watażką, „malowanym chłopcem", „Żelaznym Majorem", sprawcą pacyfikacji wsi, pierwszym partyzantem... Mimo trudnego charakteru „Hubal" dobrze przysłużył się Polsce – pisze Jacek Komuda

WIEM, GDZIE JEST GRÓB „HUBALA" – Dysponuję jednoznacznymi wynikami specjalistycznych badań, a także relacjami, które razem układają się w jeden logiczny obraz. Od „Hubala dzieli" nas jeden metr – mówi w wywiadzie Dariusz Szymanowski, prezes Stowarzyszenia „Wizna 1939"

DUOMO, CZYLI DUSZA FLORENCJI – Każde ze średniowiecznych włoskich państw-miast chciało wykazać swoją wyższość nad sąsiadami, budując najpiękniejszą i największą katedrę. Florencja postanowiła przyćmić w tym względzie całą konkurencję – pisze Sławomir Koper

ZAGADKA ŚMIERCI GORKIEGO – Stalin zamknął swojego ulubionego pisarza w złotej klatce, a na koniec stworzył taką opowieść o jego śmierci, która miała służyć celom Kremla – pisze prof. Mikołaj Iwanow

ŚLADAMI PYRRUSA – Król Epiru zapisał się na kartach historii zwycięstwami okupionymi tak wielkimi stratami, że faktycznie były one porażkami. Później wielu dowódców powtarzało jego błędy, co często pozwalało ich przeciwnikom osiągnąć strategiczne cele – pisze Grzegorz Janiszewski

ZAKOCHANY W PANI BIEDZIE – Nie chciał być kupcem jak ojciec, marzył o karierze rycerskiej i był zafascynowany trubadurami. Giovanni Bernardone, znany jako św. Franciszek z Asyżu, dokonał w Kościele istnej rewolucji – pisze Tomasz Stańczyk

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 0fbd615457



PAWEŁ LISICKI

Zapora przed Tuskiem i Braunem

Muszę powiedzieć, że żadne inne wypowiedzi nie wprawiły mnie od dawna w takie osłupienie jak kolejne deklaracje byłego premiera PiS Mateusza Morawieckiego. Wbrew różnym wątpliwościom były premier zadeklarował, że „w ciągu kilku tygodni zgłaszamy wniosek o rejestrację partii politycznej, ale tak jak założyliśmy sobie na początku, chcemy iść jak najszerzej". Z jego słów wynika też, że Rozwój Plus wystartuje w przyszłorocznych wyborach parlamentarnych. Do tego momentu wszystko jest jasne. Jednak dalej zaczynają się takie łamańce, że na trzeźwo nie sposób pojąć, o co chodzi.

Otóż według pana Morawieckiego „Rozwój Plus powstał po to, żeby zatrzymać te dwa bieguny cynizmu politycznego, z jednej strony Donalda Tuska, z drugiej strony Grzegorza Brauna. Chcemy być zaporą dla Brauna, chcemy być zaporą dla Tuska. Rozwój Plus powstał po to, żeby Donald Tusk nie miał kolejnej kadencji". W jaki jednak sposób można odebrać drugą kadencję Donaldowi Tuskowi bez udziału Grzegorza Brauna i jego głosów, były premier nie tłumaczy. Wszelkie możliwe dane wskazują na to, że obecnie partia Brauna cieszy się mniej więcej dwa razy większym poparciem sondażowym niż partia Morawieckiego. W jaki to niby sposób i z kim Rozwój Plus mógłby odebrać władzę Tuskowi? Z Konfederacją i PiS bez Brauna? Wolne żarty.

Co więcej, zestawiając Tuska i Brauna jako „dwa bieguny cynizmu politycznego", były premier traci związek z rzeczywistością. Być może zresztą, jak twierdzi obecnie Jarosław Kaczyński, dotychczasowy pryncypał, mentor i twórca kariery politycznej Morawieckiego, zawsze cierpiał on na brak słuchu politycznego i obecna seria dziwacznych wypowiedzi i posunięć tylko to potwierdza.

Punkt pierwszy, którego Morawiecki konsekwentnie nie dostrzega, to jego polityka doprowadziła do wzrostu poparcia najpierw dla Konfederacji, następnie dla Korony Grzegorza Brauna. W jaki zatem sposób może teraz twierdzić, że chce powstrzymać rządy Tuska, mając poparcie na granicy progu wyborczego?

Punkt drugi, do tej pory jedynym realnym posunięciem nowej formacji było zdobycie stanowiska wicemarszałka dla Marcina Horały, co stało się dzięki wsparciu Donalda Tuska. Tymczasem pan Mateusz w żywe oczy opowiada androny, że on chce z Tuskiem walczyć. Humor zeszytów, gdyby Tusk nie poparł kandydatury pana Horały, Rozwój Plus nie miałby stanowiska wicemarszałka.

Punkt trzeci, Mateusz Morawiecki znacznie więcej energii wkłada w ataki na swoich dotychczasowych kolegów z PiS niż na walkę z Donaldem Tuskiem. Najbardziej zabawne są z tego punktu widzenia szarże Mateusza Morawieckiego na wreszcie sensowną zmianę, która dokonuje się w PiS, co się tyczy programu gospodarczego. Tymczasem zdaniem lidera Rozwoju Plus część postulatów przedstawionych podczas niedawnej konwencji PiS przypomina rozwiązania „z najczarniejszych czasów Leszka Balcerowicza". „Obniżka danin dla złodziei Kacprzyków i Kralów, a sfinansuje to przysłowiowa kasjerka z Biedronki" – napisał Morawiecki na X. Koń by się uśmiał, Morawiecki w roli obrońcy kasjerek z Biedronki, tego jeszcze nie było.

Merytorycznie rację ma Przemysław Czarnek, kiedy wskazuje na fundamentalny błąd rządu Morawieckiego, jakim był Polski Ład. „Panie premierze Morawiecki, niech pan się szanuje i niech pan analizuje rzeczywistość, a nie rzuca tego rodzaju rzeczy. To jest jakaś frustracja, która jest zupełnie niepotrzebna". Czarnek odniósł się w ten sposób do zapowiadanego przez PiS powrotu do zasad naliczania składki zdrowotnej sprzed Polskiego Ładu. Zmiany wprowadzone w ramach reformy, zdaniem Czarnka, uderzyły przede wszystkim w mikro- i małych przedsiębiorców. „To był błąd. Od początku mówiliśmy, że to był błąd. Przepraszamy przedsiębiorców i będziemy go naprawiać" – powiedział poseł. – „Wracamy do ustawień fabrycznych sprzed Polskiego Ładu" – dodał. No i pięknie.

PiS potrzebował kilku lat, żeby dostrzec to, co na łamach „Do Rzeczy" pisała większość naszych publicystów (również ze mną) i co mówiła z uporem godnym lepszej sprawy: Polski Ład był gwoździem do trumny, co się tyczy poparcia dla PiS. Praktycznie z dnia na dzień odebrał partii Kaczyńskiego głosy małych i średnich przedsiębiorców plus ich rodzin. Gdybym łatwo wierzył w teorie spiskowe, uznałbym, że był to wręcz akt sabotażu.

Tak czy inaczej, nie ma wątpliwości, że opowieści pana Morawieckiego, że walczy z Tuskiem, to mydlenie oczu. Rozłam, którego dokonał, ułatwia, a nie utrudnia utrzymanie władzy przez obecnego premiera. Czy Rozwój Plus stanie się prędzej czy później oficjalnie przybudówką rządu Tuska? Jeśli do Sejmu nie wejdzie, to oddane na Morawieckiego głosy osłabią koalicję prawicową, jeśli do Sejmu się wczołga, to utrudni to budowę alternatywy dla obecnej koalicji. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457



TEMAT TYGODNIA

14 PIOTR GOCIEK
POLSKA WEDŁUG NETFLIXA
Jak inżynierowie dusz z platform streamingowych próbują zniszczyć przywiązanie Polaków do tradycji

17 KRZYSZTOF MASŁOŃ
JAKA NIEPIĘKNA KATASTROFA!

18 KRYSTIAN KRATIUK
DLACZEGO NIENAWIDZĄ OJCZYZNY?

KRAJ

24 ROZMOWA Z ROMANEM FRITZEM
TYLKO POLSKI SZKODA
Pakt senacki bez Korony nie ma sensu

27 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
W PĘTLI „ROZLICZEŃ"

30 ŁUKASZ WARZECHA
DZIKI KRYZYS NA WŁASNE ŻYCZENIE

32 ALEKSANDER MAJEWSKI
KONFEDERACJA SŁONO ZAPŁACI ZA FLIRT Z PREZYDENTEM

34 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
JAK PALIKOT Z POPIOŁÓW

KULTURA

36 WIESŁAW CHEŁMINIAK
NIEZNOŚNA LEKKOŚĆ PIÓRA
Niedyskrecje i sekrety francuskiej arystokracji

40 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
PARYŻ NIGDY NIE MA KOŃCA

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 MICHAŁ ADAM SZYMAŃSKI
STAN WOJENNY W CZASACH LAWFARE
Wrodzy prawnicy jak żołnierze

48 FILIP OBARA
NAJPIERW ŻAŁOBA, POTEM PRZEBACZENIE

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
DIALOGOWA PAPKA

HISTORIA

52 LECH MAŻEWSKI
DRUGI PRL
Znaczenie Października '56

56 PIOTR SEMKA
TA SAMA NIEWOLA W NOWYM OPAKOWANIU

ŚWIAT

60 JACEK PRZYBYLSKI
FRANCJA WRZE
Republika zmierza ku ruinie

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
PRZYMIARKI DO PANTEONU



67 ROZMOWA Z PAWŁEM BEHRENDTEM
SAMURAJ ZDEJMUJE RĘKAWICE

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
NIEZWYKŁA KARIERA SZEFA TELEGRAMA
Kim jest Pawieł Durow?

74 ANDRZEJ SOLECKI
SPÓR O POTAS

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 0fbd615457

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Anna Zalewska, Tomasz Zbigniew Zapert

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Filip Memches, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Radosław Wojtas, Jakub Wozinski, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Robert Pałka/Netflix, Tom Nicholson/Getty Images**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Polska myśl naukowa

Szanowni Państwo,
ostatnio Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa wydała oświadczenie, że genetyka to opresyjno-patriarchalny przeżytek, bo po prostu istnieje całe mnóstwo płci w zależności od samopoczucia jednostki.

Ponieważ wszyscy na Zachodzie wiedzą o tym już od dawna, mogłoby się wydawać, że taka instytucja jak NASK jest zupełnie niepotrzebna. Otóż nic bardziej mylnego. Za publiczne pieniądze jej pracownicy mogliby np. dokonać przełomowego dla „nauki" odkrycia, że nie tylko płeć, lecz także czas odczuwany jest subiektywnie, a zatem niektórzy mogą sobie nie życzyć, by pytano ich o wiek.

Okazywanie np. legitymacji emeryta w pociągu stanowi dla nich duży stres, skoro w duszy czują się nadzwyczaj młodo.

W razie jakichkolwiek wątpliwości konduktora i – nie daj Boże – mandatu zawsze można przecież wezwać na pomoc ministra Żurka i jego Brygadę 100 Prokuratorów do Walki z Dezinformacją.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

„Kościół przemilczenia", Jerzy Karwelis, „DRz" nr 41/2026

Szanowny Panie Redaktorze!
Dawno nie widziałem/nie słyszałem tak znakomitego komentarza jak Pana wypowiedź na temat stanowiska Kościoła hierarchicznego w sprawie mordu w Jarosławiu: komentarza celnego rzeczowo i wspaniałego językowo. Chociaż od wielu dziesięcioleci zajmuję się – na marginesie swojej roboty filozoficzno-logicznej – problematyką etyki katolickiej, to nie umiałbym postawić lepszej diagnozy w sprawie pomieszania pojęć, które następuje w głowach wielu osób powołanych do kultywowania tej etyki (z ich głównym „przesłaniem" o wybaczaniu bez zadośćuczynienia i – o horrorze – w imieniu innych). Niestety, obawiam się, że są oni nie do odratowania.

Dziękuję!
Jacek Jadacki,
prof. em. Wydziału Filozofii UW

Rynkowe ceny benzyny

Szanowna Redakcjo,
ponieważ w tygodniku kolejny raz przywoływana jest wypowiedź Donalda Tuska z czerwca 2022 r., dotycząca jego „sprawczości" w ustalaniu rynkowych cen benzyny, jak tylko zdobędzie władzę w naszym kraju, proponuję dokonanie pewnej – zgodnej z faktami – modyfikacji jego deklaracji. Otóż w czerwcu 2022 r. średnie czerwcowe notowania ropy naftowej wynosiły 113,74 dol. za baryłkę, a średni kurs dolara wynosił 4,37 zł.

Oznacza to, że w czerwcu 2022 r. średni koszt nabycia jednej baryłki ropy wyniósł 497,04 zł.

1 października 2026 r. notowania ropy naftowej mówiły o cenie baryłki 102,68 dol. oraz kursie dolara 3,89 zł.

Oznacza to, że 1 października 2026 r. średni koszt nabycia jednej baryłki ropy naftowej wyniósł 399,43 zł.

Porównanie tych danych informuje nas, że koszt nabycia jednej baryłki ropy naftowej w okresie czerwiec 2022 r.–październik 2026 r. zmniejszył się o ponad 20 proc.

Komentując zatem dzisiaj ówczesną wypowiedź Tuska, powinniśmy ją dostosowywać do aktualnych cen i kursów, w świetle których rządy premiera powinny zapewnić cenę nie 5,18 zł, a raczej jej zmniejszenie o 20 proc., tj. 4,14 zł.

Mam wrażenie, że porównanie aktualnych cen paliw z powyższymi faktami czyni jakiekolwiek komentarze zbędnymi.

Pozdrawiam serdecznie
Andrzej Stokłosa

Wyjaśnienie

W felietonie pt. „Mordercza tabela" („DRz" nr 41/2026) chodziło mi oczywiście o 243,6 (w 2015 r.) oraz 304,5 (w 2024 r.) miliona, a nie tysiąca świadczeń medycznych.

Za błąd przepraszam.

Piotr Gabryel

eprasa.pl 0fbd615457



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Europa się bawi

W siedzibie Parlamentu Europejskiego w Strasburgu od kilku dni można podziwiać przyciągającą wzrok rzeźbę. Dzieło duńskiego artysty Jensa Galschiøta nosi tytuł „Pomarańczowa plaga" (alternatywna nazwa: „Król niesprawiedliwości"). Ta 2,5-metrowa rzeźba przedstawia nagiego, złotego Donalda Trumpa siedzącego na barkach chuderlawego mężczyzny.

Autor opatrzył swoją „instalację" tabliczką z napisem: „Siedzę na barkach mężczyzny. Ugina się on pod moim ciężarem. Jestem gotów zrobić, co się da, by mu pomóc. Z jednym wyjątkiem – zejścia z jego barków".

Obecna szefowa Parlamentu Europejskiego Roberta Metsola nie skomentowała pojawienia się tak prowokacyjnej rzeźby w siedzibie kierowanej przez siebie instytucji. W jej zastępstwie rzecznik PE wyjaśniła, że jest to czasowa ekspozycja, która została oficjalnie zaakceptowana przez tzw. kwestorów, czyli członków ciała administrującego PE, złożonego z reprezentantów wszystkich frakcji tej izby. Rzecznik zaznaczyła również, że ekspozycja jest zgodna z przepisami Parlamentu, który pełni rolę sponsora różnych wydarzeń artystycznych.

Jak można było się domyślać, większość europosłów uznała wystawienie rzeźby za świetny żart. Członkowie PE, pytani przez dziennikarzy o tę „instalację", odpowiadają, że Parlament powinien wspierać swobodę artystyczną. Jeszcze inni wskazują na to, że nieprzypadkowo rzeźba jest dziełem artysty z Danii, który to kraj właśnie w ten sposób odreagowuje przechwałki Trumpa o gotowości przejęcia kontroli nad Grenlandią. Tylko nieliczni konserwatywni europosłowie, m.in. ze Szwecji i Belgii, uznali sprawę za hańbę. Była wśród nich belgijska europosłanka Barbara Bonte z konserwatywnej partii Interes Flamandzki, która dość rozsądnie wskazała: „Ludzie, którzy pouczają świat na temat godności, nie potrafią nawet wyrazić podstawowego szacunku do prezydenta przyjaznego kraju". Jednak pani Bonte reprezentuje tu mniejszość.

Gdy przeczytałem informacje na ten temat, pomyślałem, że jest to wyjątkowo ciekawy przypadek europejskiej hybris, czyli niewiarygodnej pychy eurokratów. Nasz kontynent znajduje się w gigantycznym kryzysie. Dwa czołowe państwa aspirujące do roli „silnika europejskiej integracji" przeżywają właśnie spektakularne kompromitacje. We Francji policja nie może dać sobie rady z rozszerzającym się protestem licealistów, którzy palą swoje szkoły i łączą siły z uwielbiającymi zadymy imigrantami.

Z kolei w stolicy Niemiec, dzięki znaczącemu zaangażowaniu wyborców „o profilu muzułmańskim", wygrywa kandydatka skrajnej lewicy. Ponadto cały kontynent stoi wobec groźby eskalacji wrogich działań ze strony Rosji.

I właśnie w tak specyficznym momencie ktoś w europarlamencie podejmuje decyzję o eksponowaniu skandalizującego dzieła, uważając całą sprawę za świetny żart.

Wrażenie zabawy na Titanicu to już dzisiaj banalna konstatacja. Zaczyna brakować słów, aby nazwać ten przedziwny stan samouwielbienia eurokratycznej bańki. ©℗



FOT. AA/ABACA/ABACA PRESS/FORUM

ISLAMSKIE NATO W AKCJI

Pakistan i Turcja zgodziły się na szybkie wysłanie żołnierzy do Arabii Saudyjskiej w celu wsparcia Saudów w walce z jemeńskimi rebeliantami Huti. Taką decyzję podjęto 5 października w Rijadzie na nadzwyczajnej sesji sygnatariuszy zawartego w sierpniu Mekkańskiego Porozumienia o Wspólnej Obronie (zwanego w mediach islamskim NATO). Turcja dysponuje drugą co do wielkości armią w NATO, z kolei Pakistan to jedyne państwo nuklearne w świecie muzułmańskim. ©℗

RPP: STOPY NADAL BEZ ZMIAN

Rada Polityki Pieniężnej, zgodnie z oczekiwaniami, pozostawiła stopy procentowe bez zmian. Stopa referencyjna wynosi 3,75 proc. w skali roku. Według ekspertów w kolejnych miesiącach RPP może już jednak zdecydować się na zacieśnianie polityki pieniężnej. Według rynkowych przewidywań w 2027 r. główna stopa procentowa może wynosić 4,25 proc. To zaś oznacza, że inwestorzy, patrząc m.in. na rosnącą inflację, a zwłaszcza na szybujące ceny energii, spodziewają się co najmniej jednej podwyżki. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tym razem zaczynamy od rządu. Wieść niesie, że Zły Donald z Sopotu bardzo mocno namawia Wielkiego Przewodniczącego Czao – znanego też jako marszałkissimus Czarzasty – żeby lewica poszła do wyborów na jednej liście. Powody są dwa. Po pierwsze, wciąganie Nowej Lewicy na wspólną listę z KO i PSL odrzuci wyborców PSL. Po drugie, gdyby lewice szły osobno, to ryzykują pozostanie pod progiem.

Tenże Tusk miał na pewnym zamkniętym spotkaniu powiedzieć, że dla niego punktem odniesienia nie jest już PiS. Że należy skupiać się na atakowaniu Brauna. PiS bowiem już nikt się nie boi, natomiast Brauna – owszem. To po pierwsze. Po drugie, atakowanie Brauna przez KO pompuje jego ugrupowanie, a to znaczy, że przy okazji tracą i Konfa Mentzenobosakowa, i PiS.

W PiS tymczasem zaskoczenie. Ludzie się zastanawiają, jak to jest, że kiedy atakują Brauna, to rośnie Mentzenowi. A jak atakują Mentzena – to rośnie Braunowi. Cóż, chcielibyśmy przypomnieć hasło: „Nie ma wroga na prawicy", ale co tam będziemy wołać po próżnicy na puszczy. Może powodem do otrzeźwienia powinno być odnotowanie tego, że niezależnie od tego, którą Konfederację PiS zaciekle atakuje, to samemu PiS nie rośnie, a nawet wręcz przeciwnie.

Pierwsze sprawdzenie przyszłych jedynek list wyborczych u Grzegorza Brauna w IPN wypluło bardzo fajne wyniki. Jak się okazuje, jeden z liderów, który opowiadał o swojej służbie wojskowej w PRL, odbył ją Pododdziałach Centralnego Podporządkowania. Pewnie nic wam to nie mówi. Tłumaczymy zatem – PCP to odbywanie zastępczej służby wojskowej w ramach ZOMO. A to już chyba skrót, którego rozwijać nie musimy. Żeby było jeszcze ciekawiej, w tym czasie wpadł w oko II Zarządowi Sztabu Generalnego, a konkretnie zespołowi Z oddziału 21. Czyli wojskowej bezpiece.

Prawda jest taka, że lista ludzi, którym brauniści proponowali jedynki, jest bardzo długa i różnorodna. Są na niej redaktorzy naczelni, specjaliści od wyborczej statystyki czy od youtube'owych pogodnych pogadanek wcale nie o pogodzie. Nie są jednak za bardzo chętni. Gruchnęła też plotka, że jedną z jedynek dostanie Richard Henry Czarnecki. My jednak słyszeliśmy od ludzi, którzy znają Richarda, że chciałby on walczyć o Senat, ale tylko w ramach paktu senackiego – jeśli takowy powstanie.

Pozostaje pytanie, skąd kandydować będzie sam Grzesiek Braun. Niby ma to być Wrocław. Ale nie jest powiedziane, że Grzesiek nie będzie się chciał sprawdzić z Tuskiem i Kaczyńskim. Podpowiadamy – nie wystartują z jednego okręgu.

Niebawem światło dzienne mają ujrzeć kolejne taśmy Grzegorza Brauna. Pierwsze – o sprowadzaniu do roboty Hindusów i Afgańczyków – szczególnej furory nie zrobiły. Może dlatego, że słabo tam słychać Grześka. Na drugich jakość dźwięku jest znacznie lepsza i słychać, jak Grzegorz wyraźnie wymawia słowo „Judenrat".

Àpropos taśm – jak pamiętacie, o tych taśmach z Hindusami to informowaliśmy już ze dwa miesiące temu. Ale nikt nie chciał tego dotykać. Wielu za to zadaje sobie pytanie: Kto je wypuścił w świat? Otóż prawda jest bardzo ciekawa – to nie PiS, to nie KO, tylko jedno ze środowisk wokół Brauna. Kotłuje się tam bowiem bardzo mocno i każdy walczy o wpływy tak, jak umie.

Z funkcją ambasadora w Watykanie żegna się Adam Kwiatkowski. Kiedy obserwujemy jego profil na portalu X, przychodzi nam do głowy tytuł powieści Chandlera „Długie pożegnanie". Kwiat naszej dyplomacji, jak nazywany jest ambasador, co rusz zamieszcza wpis z kolejnej imprezy pożegnalnej. Złośliwi mówią, że problem polega na tym, że ambasadora w Polsce nikt nie chce powitać z otwartymi rękami i żegnać chce się jeszcze do przyszłorocznych wakacji. To zresztą prawdopodobne, bo nie ma na razie szans na wyłonienie jego następcy. Osoba głowy państwa chciałaby bowiem za Spiżową Bramą mieć swojego człowieka, a to wymaga zmiany rządu.

Àpropos osoby głowy państwa. Niezależne środowiska twórcze są nieco rozżalone, bo w czasie gdy odbywał się w Gdyni filmowy „Festiwal Niepokorni Niezłomni Wyklęci", prezydent Karol Tadeusz przebywał w Koszalinie na gali boksu. A wraz z nim jego najważniejsi ministrowie, jak Bogucki czy Szefernaker. Wychodzi na to, że osoba głowy państwa nie zachowała się patriotycznie – przynajmniej tak żalą się środowiska twórcze. Powiemy tak: my miłość do boksu rozumiemy, podobnie jak potrzebę budowania wizerunku silnego człowieka. Ale jednak wysłanie chociaż jakiegoś Rabendy, żeby odczytał w Gdyni list od prezydenta, byłoby na miejscu.

Tymczasem w europarlamencie. Kadencja jeszcze nie dobiegła końca, a już okazuje się, że złożono w jej trakcie rekordową liczbę wniosków o uchylenie immunitetu. Liczba przekroczyła setkę i rośnie. Doszło do tego, że z natłoku wniosków zarzucono ich jakieś szczególnie dokładne rozpatrywanie, tylko głosuje się jak leci. Przyjmujemy te wieści z zadowoleniem. Cieszy nas, gdy elitarne grono staje się coraz bardziej elitarne. Oczywiście mamy na myśli tych, którym immunitetu nikt zabrać nie chce, bo nie ma powodu. Grupka ta topnieje, więc elitarność rośnie.

Ciekawa wiadomość z Niemiec – a także z europarlamentu, bo i tu, i tu głośno o AfD. Otóż mamy dowody na to, że sprytna AfD idzie po normalsów, czyli chce rozszerzyć wpływy na wyborców centrowych. Otóż od niedawna obowiązuje nowa linia programowa w sprawie waluty euro. AfD już ją polubiła, choć jeszcze jakiś czas temu bardzo chciała strefę euro likwidować. Widzimy w tym i drugie dno. Otóż tajemnicą poliszynela jest fakt, że AfD cieszy się w Niemczech cichym wsparciem wielkiego biznesu, który ma dosyć Zielonego Ładu. Ten sam wielki biznes wciąż jednak zarabia krocie na drenowaniu poprzez strefę euro różnych państw typu Grecja czy Słowacja. Proste. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Klein według Tuska

Wszelkiego rodzaju tragedie obrosły w III RP swoistą rutyną. W największym skrócie państwo reaguje na nie intensywnym, ale bardzo krótkim wzmożeniem, a potem się o wszystkim zapomina, do następnego nieszczęścia. Zawali się dach, rząd z punktu nakazuje w trybie natychmiastowym inspekcje wszystkich dachów i zapowiada specjalną ustawę dachową. Wybuchnie gaz – to samo, tylko z instalacjami gazowymi. Ktoś spłonie w pożarze, premier posyła w teren inspekcje przeciwpożarowe, a Sejm proceduje ekspresowo ustawę gazową… itd.

Seria tragedii w szkołach, jakie dotąd widzieliśmy tylko w części zagranicznej dzienników, też oczywiście zaowocowała transmisją posiedzenia „sztabu kryzysowego", zapowiedzią inspekcji we wszystkich szkołach itd. Ale pojawiło się coś nowego. Zamiast zapowiedzi specustawy padło żądanie, aby prezydent podpisał rządowi coś, co już raz zawetował, a mianowicie ustawę wdrażającą tzw. eurodyrektywę DSA, czyli, mówiąc prosto, cenzurę Internetu.

W kwestii cenzury, niestety, polska konstytucja przeczy „wartościom europejskim", ponieważ jej wprost zabrania. Dlatego właśnie prezydent odmówił złożenia podpisu pod aktem, na mocy którego jacyś wskazani arbitralnie przez Komisję Europejską i przed nikim nieodpowiadający „factcheckerzy" mają arbitralnie oceniać treści i usuwać z sieci te, które uznają za „szkodliwe". Ale jak wiadomo z orzeczenia TSUE, opartego na dawniejszym orzecznictwie TSUE (to nie żart, to oficjalna wykładnia), konstytucje krajów członkowskich są aktami prawnymi podrzędnymi wobec „prawa europejskiego".

Polakom trudno się z tym zgodzić, zwłaszcza w sprawie tak fundamentalnej, jak wolność słowa. Dlatego Tusk prawą ręką do lewego ucha wiążąc tragedie z brakiem cenzury Internetu, drugą ręką sięga po coś, co Naomi Klein nazwała „doktryną szoku". A nuż ludzie wstrząśnięci tragedią dadzą się zmanipulować i obciążą winą wetującego cenzurę prezydenta? Z cenami paliw się udało, więc spróbujmy raz jeszcze… ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Ukryta opcja rosyjska

Jakkolwiek wicepremier Kosiniak-Kamysz nie próbowałby sprzedać spotkania z prezydentem USA, wymowa faktów jest nieubłagana. Brak zdecydowanych działań rządu w sprawie Fort Trump, obstrukcja budowy CPK, blokowanie programu szkoleń wojskowych i zamrożenie Strategii Bezpieczeństwa Narodowego ujawnia rzeczywiste intencje ekipy Tuska. Na nic się zda tropienie na prawicy wpływów rosyjskich, powoływanie kabaretowych speckomisji i rozniecanie histerii wokół Grzegorza Brauna.

Żeby rozwiać wątpliwości, proponuję myślowy eksperyment. Kilka dni po objęciu władzy przez Donalda Tuska na oficjalną stronę MON powrócił raport końcowy KBWLLP z 2011 r. (tzw. komisji Jerzego Millera) dotyczący katastrofy Tu-154M w Smoleńsku. Według raportu katastrofa, w której zginął Prezydent RP i cała delegacja, nastąpiła na skutek zejścia we mgle poniżej dopuszczalnej wysokości zniżania przy nadmiernej prędkości opadania. Winni są piloci i obsługa naziemna lotniska Siewiernyj.

Inną wersję, jak wiemy, ustaliła podkomisja smoleńska. Według badań naukowców i ekspertów podkomisji rozpad samolotu nastąpił w powietrzu w wyniku serii eksplozji wewnątrz konstrukcji maszyny. Podkomisja tę wersję przyczyn i przebiegu katastrofy osadza w obszernych naukowych badaniach i materiale dowodowym. Mimo to wiceminister obrony narodowej Cezary Tomczyk za jedyny, obowiązujący dokument wyjaśniający przyczyny i przebieg tragedii przyjął raport ministra Millera i Macieja Laska. Tak oto w warunkach nasilającej się eskalacji i zagrożenia ze strony Kremla, MON, instytucja powołana do obrony Polski, przywraca wewnętrznie sprzeczny dokument, ignorujący logikę, zasady mechaniki i masę dowodów, w dodatku będący kopią raportu rosyjskiego.

Odpowiedzmy sobie zatem, gdzie w Polsce jest ukryta opcja rosyjska? ©℗

eprasa.pl 0fbd615457

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Dziwne rzeczy



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Prezydent Nawrocki poleciał na Filipiny. Po części oficjalnej spotkał się na ringu z absolutną legendą boksu, jedynym człowiekiem na świecie, który zdobył mistrzostwo świata w ośmiu (!) kategoriach wagowych, z 48-letnim Mannym Pacquiao. Stop. Mistrz trzymał naszemu prezydentowi tarcze i był zaskoczony umiejętnościami Karola Nawrockiego. Stop. Rewelacyjna promocja Polski i polskiego prezydenta nie mogła się spodobać różnym takim. Stop. Tomasz Trela z Lewicy napisał na portalu X: „To jest jednak kompromitacja, wstyd i dziadostwo. Prezydent Polski leci z oficjalną wizytą do Republiki Filipin i chętnie dałby komuś w mordę. Boże, widzisz i nie grzmisz!" Stop. Komentarze nie były dla posła Treli nazbyt korzystne, pozwolę sobie przytoczyć jeden: „Nawrocki jedzie za granicę i boksuje z mistrzem świata. Lewicę łączy z boksem tylko fakt, że Biedroń bił matkę. To jest ta różnica". Stop.

Bardzo to jest dziwne podwójnie, otóż prokurator Ewa Wrzosek oskarżyła z art. 212 Kodeksu karnego redaktora Samuela Pereirę, bo ten w roku 2021 zamieścił następujący wpis: „Jeśli przestępcy kreują się na ofiary operacyjnych działań państwa polskiego, to jak mają się czuć wszyscy ci ludzie, których oni skrzywdzili? Pomyślcie o tym. Mafiosi, dilerzy narkotyków i terroryści chwycą się każdej linii obrony, żeby uchronić się przed odpowiedzialnością". Stop. Dziwne jest to, że tam nie było nic o Wrzosek, no nic, normalnie nic! Dziwne. Stop. Drugie dziwne jest to, że sąd uniewinnił Pereirę. Stop. Oczywiście nie było żadnych powodów, żeby go skazać, oprócz tego, że... oskarżająca nazywała się Wrzosek, a oskarżony jednak Pereira. Stop. Samuelowi gratulujemy, niemniej to dziwne. Sprawiedliwe wyroki? Dziwne.

Znowu będzie dziwne, ale amerykańsko. Stop. Było to tak, w roku 2024 Donald Tusk wpisał rozporządzeniem TVN na listę spółek strategicznych objętych ochroną państwa. Stop. Z grubsza chodziło o to, żeby Rosjanie przez jakiś tam kapitał nie kupili spółki medialnej odpowiedzialnej za propagandę, wróć, za informację oczywiście i akurat sprzyjającej Tuskowi. Stop. W ubiegłym tygodniu TVN, który należał do amerykańskiej spółki, odkupiła inna amerykańska spółka, ale właściciele lubią Trumpa, a Trump lubi ich. Stop. W związku z tym Tusk nakazał Ministerstwu Aktywów Państwowych sprawdzić chyba to, czy ci Amerykanie to przypadkiem nie Ruscy? Sprawdzają! ©℗

eprasa.pl 0fbd615457



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

WINI TYLKO INNYCH

Raper „Wini" zdobywa tytuł „króla hipokryzji". Powód? Krytyka pod adresem kolegów z branży, którzy mają dobre relacje z prezydentem. Winicjusz „Wini" Bartków w programie „Hear Me Out" wylał żale.
– Czy jest jakiś, k...a, konkretny teraz rap, k...a, anty, k...a, nie wiem, rządowy, stary? No bo aktualnie raperzy legitymizują, k...a, polityków. K...a, nas ich je.ać. Raperzy są od je.ania polityków, k...a – grzmiał.
Dopytywany, czy ma na myśli Eldo, który pojawił się na uroczystości z okazji rocznicy zaprzysiężenia prezydenckiego Karola Nawrockiego, potwierdził. – Uważam, że to było beznadziejne, k...a. Zdjęcia w ogóle z prezydentem Nawrockim, k...a, innych



FOT. RAFAŁ GUZ/PAP

raperów uważam za beznadziejne, k...a – stwierdził. Internauci bardzo szybko wytknęli, że Wini przed wyborami prezydenckimi w 2025 r. zaprosił na wywiad Rafała Trzaskowskiego i była to raczej rozmowa sympatyczna – przez co wielu komentatorów zarzuciło twórcy ocieplanie wizerunku polityka. Podobną rozmowę Bartków odbył z ważnym politykiem KO Sławomirem Nitrasem. Może po prostu prezydent go nie zaprosił i stąd wściekłość?

KASIA PODNOSI CUKIER

Monika Goździalska, celebrytka znana z reality show „Żony Warszawy", która ma na koncie krótką współpracę z Kanałem Zero, nieustannie szuka rozgłosu. Najlepszym sposobem na zdobycie go jest klepanie językiem na temat innych. Podczas rozmowy z Kozaczkiem temat zszedł na Katarzynę Cichopek. Goździalska wprost przyznała, że nie przepada za jej osobą. – Ja jej nie lubię. Ja jej po prostu nie lubię. Ona mnie tak denerwuje – powiedziała.
Dopytywana o powody tak silnej niechęci pokusiła się o zaskakujące skojarzenie ze znaną bajką, porównując prezenterkę do Buni z „Gumisiów". Według celebrytki ten przesłodzony wizerunek jest fałszywy i kryje pod spodem zupełnie inną osobę. Monika dodała, że jej wątpliwości wobec Cichopek potwierdziła sytuacja z przeszłości – panie spotkały się w knajpie. – Siedziałam kiedyś koło niej w restauracji i zachowywała się zupełnie inaczej [...]. Była taka bardziej, wiesz, żywiołowa. [...], a tu jest tak: „No dobrze, proszę państwa, dzisiaj mamy na ambonie o dwunastej wystąpienie Katarzyny Cichopek i ona wam dzisiaj powie, jak się zachować w małżeństwie i w życiu".
To wszystko jest takie za słodkie. Rozumiesz? – opisywała. Na koniec Monika podkreśliła, że jej emocje nie wynikają ze znajomości na stopie prywatnej, lecz ze zmęczenia otoczką medialną.
– Po prostu denerwuje mnie jej osoba. Poza tym ten cały rozwód, który był, to pranie brudów przez jedną stronę, drugą, trzecią i ten ślub w tym Izraelu.
Ja nie wiem, czy tego nie jest po prostu za dużo – podsumowała.

NA SZCZĘŚCIE BYŁ RABAT

Angelika Trochonowicz znana jest z zamiłowania do sezonowych dekoracji. Jednak nie takich dyskretnych – jeżeli Andziaks dekoruje dom, to musi być na bogato. I to dosłownie. Jesień to sezon na dynie, a więc influencerka wybrała się na farmę dyń. Na taczkach wylądowały sztuki w różnych rozmiarach i kolorach. Ostatecznie do kasy Angelika podjechała z warzywami ważącymi ponad... 360 kilogramów. Prawdziwy problem pojawił się jednak podczas pakowania. Bagażnik samochodu szybko się zapełnił i stało się jasne, że całego dyniowego zapasu nie uda się zabrać jednym autem. Andziaks postanowiła więc zadzwonić po pomoc do swojej mamy. – Jest sprawa. Możesz podjechać tu na dynie, bo się nie zmieścimy do samochodu. Bo ja za dużo dyń wybrałam i się nie zmieścimy – poprosiła. Mama influencerki zjawiła się w trymiga. Gdy zobaczyła skalę całego przedsięwzięcia, trudno było jej ukryć zaskoczenie. – Twoje pomysły zawsze mnie trochę przerażały – stwierdziła z rozbawieniem. To jednak nie koniec. Uwagę Trochonowicz przyciągnęła gigantyczna dekoracja w kształcie dyni, której cena wynosiła niemal 10 tys. zł. Andziaks skwitowała całą sytuację prostym stwierdzeniem, że „ma osiem procent rabatu jako stały klient".

KOSMOS W GŁOWIE

Lecimy w kosmos. Instagramerka makijażowa Inchidris, czyli Gabriela Orzechowska, podzieliła się z widzami przemyśleniami na temat wszechświata. Wyznała, że wierzy w teorię spiskową głoszącą, iż człowiek nigdy nie był na Księżycu. – To jest moja teoria nr 1 z tych spiskowych teorii, w które ja wierzę, i naprawdę ciężko mi jest posłuchać argumentów tzw. drugiej strony. Ja mam taką teorię, że człowiek nie postawił stopy na Księżycu. Ja mam taką teorię i zawsze, kiedy to mówię, to ktoś mówi: No ale jak to, że człowiek już był, że był wtedy i wtedy, i wtedy, tam w latach chyba 60. itd. Więc ja wtedy mówię, że no to dlaczego go nie ma teraz? – wskazywała. – I wtedy ktoś mówi, że teraz to jest drogo. A wtedy nie było drogo? No ale że się nie opłaca, bo już był. A ja myślę: hola, hola. Ludzka ciekawość świata i wszechświata, i w ogóle ludzka ciekawość jest taka, że człowiek to się zesra, a tam pójdzie i postawi tę stopę. Że po prostu będzie się chciał przejść po tym Księżycu – kontynuowała. – Uważam, że [...] jesteśmy w stanie polecieć w kosmos i sobie tam okrążyć tego Księżyca czy coś tam jakiegoś mniejszego, ale uważam, że człowiek na tym Księżycu nie wylądował – zakończyła Inchidris. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, zauważyliśmy ostatnio w dyskusjach prowadzonych w social mediach pewien trend, który skutecznie kończy każdą dyskusję z przedstawicielem ciemnogrodzkiego patriarchatu, który zapuści się pod jakąś dyskusję, której nie rozumie i na której próbuje odcisnąć swoje prymitywne piętno. Są to słowa: „Co, spłakałeś się, faceciku?" xD.

No powiemy wam, iż jest to absolutny sztos. Dyskusja o abortomacie: przychodzi jakiś mentalny Janusz i mówi, że tak nie wolno. Komentarz świadomych swoich praw waginoosób: „O, jak się facecik spłakał". Gdzie indziej rozmowa na temat wieku emerytalnego, nie napiszemy, że nierównego, iż „równość" nie oznacza „tak samo" albo „po równo, no ale to podstawy i o tym wiecie – przychodzi mieszkaniec mentalnego Podkarpacia i się gorączkuje, że przecież tak nie można, że Polska jedynym takim krajem w Unii, że mężczyźni krócej żyją itd. Reakcja: „Nie zapłacz się, faceciku".

No i są jeszcze dyskusje dotyczące ostatniej inby wokół słów Mentzena o kobietach w służbach mundurowych. No, kochani, tam stężenie spłakanych facecików to jest takie, że nie sposób nadążyć z tym, aby każdego wypunktować. No i najlepsze jest to, iż taki spłakany facecik w sytuacji sporu w mediach społecznościowych nie wie, co ma powiedzieć i zazwyczaj odchodzi z podkulonym ogonem, iż nie jest tak męski, jak przez lata patriarchalne wychowanie mu wpajało, że jest.



Przy okazji objawiła się nam nowa kategoria fallusosób: członków młodzieżówek partii lewicowych, feministów czy innych reprezentantów czułej męskości, którzy też wytykają spłakanym facecikom, iż są spłakani. Jesteśmy wzruszeni, obserwując taką postawę, iż widzimy, że odpowiedzialne postawy nie są kreowane przez fakt biologicznej przypadkowej przynależności do jednej z 4529489 płci, ale mają podłoże socjologiczne, poznawcze, behawioralne i często są świadomym wyborem.

Postanowiliśmy przetestować to podejście na Nowym z Tarnowa i niestety okazało się, iż postępowy i elitarny język Internetu nie zawsze ma przełożenie na komunikację z co bardziej prymitywnymi jednostkami w realnym świecie. Otósh Nowy kiedyś przyszedł do nas na open spejs z pretensjami, że zamiast dzwonić i sprzedawać pakiety internet + telefon + badanie kręgosłupa, my zajmujemy się głupimi dyskusjami. Na co jedna z naszych osób kolektywnych powiedziała mu: „Nie spłacz się, faceciku".

Nowy zrobił zdziwioną minę i powiedział, iż przypomniały mu się czasy z dzieciństwa pod Tarnowem, jak osoby płodzące mu powtarzały, iżby „nie płakał, bo nie jest baba" i że on się nie spodziewał po nas takiego stereotypowego podejścia, że jak mężczyzna okazuje emocje i łzy, to należy go za to wyszydzić. Prawdę mówiąc, mieliśmy lekkiego mindfucka, co z tym zrobić, ale ostatecznie to nie Nowy nam będzie dyktował, z jakich emocji się można śmiać, a z jakich nie i że tak naprawdę to istnieje różnica między progresywną docinką z X (dawniej Twitter) a tekstem, który przez lata powtarzały dzieciom ich ciemnogrodzkie osoby płodzące z niewielkich ośrodków. Dlatego też zdziwienie Nowego cancellujemy i serio, lepiej, iżby się facecik nie spłakał, jak zobaczy kwartalne wyniki sprzedaży xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Trochę wstyd

Magda, Donek mi kazał też iść na strzelnicę. Jak tam jest?
Bo ty byłaś.
Spoko, Aga. Cykniesz sobie dwie fotki jak ja i koniec.

No, ale ty pistolet trzymałaś. A to przecież strzelić może!
E, żeby strzelił, to by naładowany musiał być. Mnie to wytłumaczyli dokładnie.

A nie był?
No co ty. Myślisz, że inaczej bym do ręki wzięła to cholerstwo?
Tylko wiesz co? Jeden błąd zrobiłaś.
Jaki?
Instruktor stał obok. Mężczyzna, rozumiesz? Że niby mężczyzna musiał cię pilnować. Trochę wstyd.
©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Siedzicie tutaj, panie, jak te kwoki na grzędzie i dokuczacie młodym kobietom".

JOANNA WICHA, *posłanka Nowej Lewicy, do pro-liferek podczas posiedzenia sejmowej komisji aborcyjnej*

eprasa.pl 0fbd615457


POLICJA
POLICJA
POLICJA
POLICJA

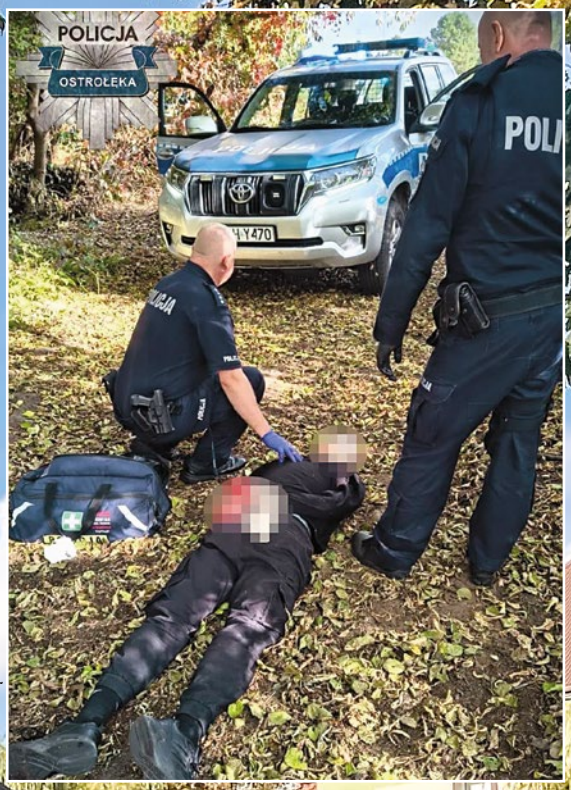

FOT. KMP W OSTROŁĘCE

SERIA KRWAWYCH ATAKÓW NOŻOWNIKÓW W SZKOŁACH WSTRZĄSNĘŁA POLSKĄ

W środę 19-latek (na zdjęciu powyżej) ranił w szkole w Ostrołęce dziewięć osób – dwie nauczycielki, pięcioro uczniów i dwie osoby postronne. Nastolatek miał też ze sobą plecak z materiałami wybuchowymi domowej roboty. Zaledwie dzień później 15-latek zamordował ostrym narzędziem pracownicę szkoły w Leszczydole-Nowinach pod Wyszkowem oraz ranił dwie inne osoby. Jak ujawnił premier, napastnik miał na głowie kask z zamontowaną kamerką.

Jak poinformowała Komenda Główna Policji, po tych atakach skontrolowano ponad 10 tys. placówek oświatowych. Funkcjonariusze z Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości sprawdzali z kolei media społecznościowe, strony oraz fora internetowe. Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" zatrzymano 10 osób, które w większości odpowiadać będą za kierowanie gróźb karalnych. Wśród zatrzymanych są m.in. dwaj 15-latkowie z Pruszkowa, 13-latek ze stołecznego Bemowa oraz 15-latek ze Mszczonowa, którzy publikowali w mediach społecznościowych nagrania z groźbami pozbawienia życia innych osób. Z kolei w Józefowie na Mazowszu policjanci zatrzymali 14-latka, który planował przynieść do szkoły nóż. Wcześniej, w środę, policja zatrzymała 17-latka z Sierpca, który miał chwalić się kolegom, że planuje „zrobić coś złego w szkole". Na terenie Przasnysza zatrzymano z kolei 17-letniego autora nagrania, który w Internecie zapowiedział, że bierze udział w „wyścigu zabójstw" określanym jako „krwawy piątek". © ℗

FOT. JAROSŁAW SENDER/EAST NEWS

eprasa.pl 0fbd615457



Komu nie podobają się przedsięwzięcia takie jak „Lalka", „1670" czy kinowy „Kos" Pawła Maślony (w którym zrównano czarnych niewolników w Ameryce z polskimi chłopami), ten ani chybi musi być z PiS, a może i z Radia Maryja FOT. ROBERT PAŁKA/NETFLIX

Polska według Netflixa



Piotr Gociek

Wielkie zachodnie koncerny rządzą streamingiem. Ich produkty na rynki lokalne mają być takie jak na Zachodzie: walka z patriarchatem, nacjonalizmem, rasizmem. Plus feminizm i afirmacja mniejszości (zarówno etnicznych, jak i seksualnych)

Jeśli sami nie będziemy opowiadali o swojej historii, inni będą robili to za nas w sposób, który niekoniecznie będzie się nam podobał. Tego argumentu używałem wielokrotnie w rozmaitych dyskusjach i publikacjach na temat polskiego kina historycznego i wielkiej niemożności popkultury III RP w kwestii zmierzenia się z dziejami Polski na tyle odważnie i ciekawie, by wymazać z umysłów propagandę PRL.

SKOLONIZOWANA POLSKA

Dziś pora wreszcie zauważyć, że nie chodzi jedynie o kwestie historyczne, tylko o cały rynek produkcji serialowej i filmowej. Polska jest pod tym względem skolonizowana na dwa sposoby. Po pierwsze mentalnie, współcześni polscy scenarzyści i reżyserzy w przeważającej większości chcą kręcić filmy, które przede wszystkim podobać się będą na zagranicznych festiwalach, gdzie nacisk lewicowej ideologii od lat staje się nie do zniesienia. Po drugie najważniejszy dziś segment rynku popkultury, jakim jest streaming, kontrolowany jest niemal w całości przez zagraniczne korporacje. Owszem, owe korporacje mają w Polsce swoje oddziały, zatrudniają polskich menadżerów i produkują kontent w języku polskim. Ale nie łudźmy się, najważniejsze decyzje zapadają w centralach. Te decyzje to oprócz spraw oczywistych (strategii finansowej i reklamowej) polityka programowa.

Pierwsza polska produkcja Netflixa była w istocie koprodukcją polsko-amerykańską. Serial „1983" wymyślił i napisał Joshua Long, a reżyserię powierzono Agnieszce Holland i trzem innym polskim reżyserkom. Wybór Holland był zrozumiały z amerykańskiego punktu widzenia. Wyrobiła sobie nazwisko w świecie amerykańskiej telewizji, kręcąc m.in. epizody słynnego „House of Cards" czy serial „Treme" dla HBO. Zamiast ryzykować z jakimiś nieznanymi (i nie wiadomo, czy utalentowanymi) tubylcami, robotę nadzorowała sprawdzona siła fachowa.

Była to nudna opowieść alternatywna, w której zwrotnica dziejów przestawiona została w roku 1983 po serii zamachów terrorystycznych w Polsce. Władza porozumiała się z opozycją (zawarto tzw. porozumienie prymasowskie), Polska zaczęła się rozwijać (choć nadal była komunistyczna). Akcja rozgrywała się 20 lat po porozumieniu, a głównymi czarnymi charakterami byli Amerykanie, biskupi oraz polscy nacjonaliści w mundurach wojskowych, żądni atomowej zagłady

eprasa.pl 0fbd615457

Zachodu i szykujący się do antysemickich czystek. Pomieszanie z poplątaniem, jak widać, od samego początku Netflix nie zamierzał ani się na serio przejmować polską historią, ani tym, czy kogoś tu nie ogłupia. Drzwi do serialu „Lalka" Pawła Maślony zostały otwarte.

MEBLOWANIE GŁÓW POLSKIM WIDZOM

Od tamtych czasów minęła dekada. Polskojęzyczne produkcje Netflixa to już norma, a nie wyjątek. Niektóre cieszyły się dużym powodzeniem także na innych rynkach, jak choćby niesławna ekranizacja erotycznego gniota Blanki Lipińskiej „365 dni". Nie wszystkie były absurdalne, np. nowa ekranizacja „Znachora" była filmem zgrabnym. Czasem są to proste robótki zlecone, jak choćby kolejne miniserialowe ekranizacje thrillerów Harlana Cobena. Te ostatnie pokazują, jakie mniej więcej miejsce w imperium streamingu zajmuje polski rynek: jesteśmy dostarczycielami średniej jakości hamburgerów. O rozmachu na miarę wielkiego studia produkcyjnego Netflixa w Madrycie nie ma co marzyć. Ale oczywiście rynek hiszpańskojęzyczny jest dużo większy od polskiego.

Omówienie wszystkich polskojęzycznych produkcji Netflixa zajęłoby kilka obszernych artykułów, natomiast zastanawiając się nad tym, jak gigant chce meblować polskim widzom głowy, wskazać należy kilka produkcji, z których wynika to najbardziej. Zasada jest prosta, produkty na rynki lokalne mają być formatowane wedle tych samych zasad, które centrala wyszykowała na rynek amerykański. Zatem przede wszystkim silne postacie kobiece, zatem walka z patriarchatem, zatem docenianie i promowanie mniejszości (zarówno etnicznych, jak i seksualnych). Przypominają się słynne słowa Moniki Olejnik, która zapytana kiedyś, jakie ma poglądy, odparła: „Ja? Normalne, znaczy europejskie".

Kto śledzi choćby ceremonie oscarowe, ten wie, czym dziś karmi się kultura masowa, jakie wzorce promuje. W tym roku mieliśmy pochwały dla marksistowskiej propagandy Paula Thomasa Andersona („Jedna bitwa po drugiej"), rok wcześniej dla musicalu trans o szefie meksykańskiego kartelu narkotykowego, który przerabia się na kobietę. W dorobku polskiego Netflixa też mamy hołd dla przebieranek, w serialu „Królowa" (2022) Andrzej Seweryn grał wiekową drag queen o ksywie Loretta, powracającą po latach sukcesów scenicznych na Zachodzie do ciemnogrodzkiej Polski. Rok wcześniej w filmie „Hiacynt" Piotr Domalewski opowiadał historię kryminalną z czasów PRL inspirowaną archiwami SB z kompromatami na osoby homoseksualne. Film nakręcony był sprawnie, ale teza, że PRL był zły głównie dlatego, że prześladowano w nim gejów, jest jednak wątpliwa.

Oczywiście równie ważna we współczesnych agendach gigantów medialnych (a więc Netflixa) jest walka z rasizmem. O obsadach decydują więc akcje afirmacyjne i okazuje się wtedy, że nawet wśród średniowiecznych wikingów pojawiają się czarnoskóre kobiety. W przypadku produkcji Netflixa zabiegi te stały się na tyle częste i nachalne, że zaowocowały powiedzonkiem, które weszło (przynajmniej w Polsce) do języka obiegowego: „gdyby to robił Netflix, to pewnie – tu wpisujemy dowolnego bohatera – byłby czarnym gejem".

WYMYŚLANIE POKRZYWDZONYCH

Co jednak zrobić z produkcjami lokalnymi w kraju, w którym żadnej mniejszości o odmiennym kolorze skóry nie ma? Cóż, trzeba ją wymyślić. I tak okazało się, że w pozycję zarezerwowaną w amerykańskich produkcjach Netflixa dla Latynosów w polskiej odnodze serwisu otrzymali Cyganie. Czy też Romowie, gdyż – jak wiadomo – w dzisiejszych czasach mówienie i pisanie czegoś tak, jak nakazuje to wielowiekowa tradycja, czyli normalnie, jest działaniem haniebnym i nienormalnym.

Dobrym przykładem takiego zabiegu był drugi sezon serialu „Rojst". Pierwszy sezon powstał dla nieistniejącego już Showmaxa; drugi nakręcił Jan Holoubek na zamówienie Netflixa („Rojst' 97" w roku 2021). W drugim i trzecim sezonie pojawia się policjantka Anna Jass (Magdalena Różczka), której dopisano romskie pochodzenie, czyniąc z niej przedstawicielkę uciskanej mniejszości, która musi walczyć o swoje w nietolerancyjnym białym społeczeństwie. Co do lekcji polskiej historii, „Rojst" uczy nas, że Polacy to źli sąsiedzi dla innych narodów. Co prawda u Holoubka nie prześladują Żydów jak w „Pokłosiu" Pasikowskiego, ale znęcają się nad Niemcami (akcja rozgrywa się na tzw. Ziemiach Odzyskanych).

Serial „Infamia" (2023) w reżyserii Anny Maliszewskiej i Kuby Czekaja to z kolei opowieść, która niemal w całości rozgrywa się w społeczności romskiej. Nastolatka Gita Burano wraca z Anglii do Polski, gdzie zmagać się musi z opresyjnym patriarchatem w wersji cygańskiej (aranżowane małżeństwo z bogaczem, aby podreperować sytuację finansową rodziny) oraz oczywiście z polskim nacjonalizmem i rasizmem. Na tym poszukiwania krzywdzonych mniejszości etnicznych w Polsce Netflix zakończył, zapewne chwilowo, podejrzewam, że prędzej czy później ktoś wpadnie tam na pomysł zrobienia serialu o tym, jak źli Polacy prześladują dobrych Ukraińców lub może ktoś inny wpadnie na koncept, że Ślązacy to właściwie tacy polscy Indianie.

Również w roku 2023 Netflix powrócił do mody na opowieści o prześladowaniach osób transpłciowych, w filmie Marty Karwowskiej mamy nastolatkę, która odkrywa, że tak naprawdę jest chłopcem, następnie wchodzi w relację z innym chłopcem, ale potem szybko wszystko zmierza w kierunku dramatu, bo główna bohaterka pada ofiarą transfobii zarówno w szkole, jak i we własnej rodzinie, nie mówiąc już o Internecie. Film był adaptacją powieści Natalii Osińskiej, o której można z internetowych encyklopedii dowiedzieć się, że jest „polską autorką literatury młodzieżowej, poruszającą w swej twórczości wątki LGBT", jej debiut („Fanfik" właśnie) ukazał się nakładem Krytyki Politycznej, a dwa tomy kontynuacji już w Agorze. Wiadomość o tym, że powieść „Fanfik" została wpisana na „Listę Skarbów Muzeum Książki Dziecięcej 2016", sprawia natomiast, że człowiekowi szybko przechodzi ochota na to, by sprawdzić cóż to właściwie za muzeum, gdzie się znajduje i co jeszcze kryć się może na jego listach skarbów.

Czy to oznacza, że Polacy nie uprawiają w produkcjach Netflixa zwyczajnego heteroseksu? Otóż uprawiają, ale są w tym bardzo kiepscy. Tak przynajmniej przekonywali twórcy serialu „Sexify" (2021–2023), czyli Kalina Alabrudzińska i Piotr Domalewski. Z komedii tej dowiedzieć

eprasa.pl 0fbd615457

się możemy, że Polacy i Polki są wyjątkowo wstydliwi i nieporadni w sprawach seksu, nie wiedzą, jak się nim cieszyć, są pełni zahamowań itd. Szczególnie dotyczyć to ma polskich kobiet, które zaznają przyjemności i odkryją słowo „orgazm" dopiero wtedy, gdy bohaterki „Sexify" wymyślą do tego odpowiednią aplikację. Absurdalność pomysłu jest obezwładniająca. Pozwolę sobie zacytować fragment mojej recenzji sprzed lat („Do Rzeczy" nr 19/2021). „Gdyby te hasła wznoszone były pół wieku temu, w czasach pierwszej fali feminizmu, można byłoby pochwalić je za aktualność. Ale dziś? Kochani, czy wy pamiętacie – zwracam się do twórców serialu – że Michalina Wisłocka napisała swoją »Sztukę kochania« w roku 1978? »Monologi waginy« Eve Ensler to rok 1996 – ćwierć wieku temu! Wyważacie drzwi, które już dawno temu zostały otwarte na oścież. W polskich księgarniach łatwiej można znaleźć »Wielką księgę cipek« od poradników »Jak zachować czystość przedmałżeńską«. Seks tematem tabu? Popatrzcie sobie na współczesną popkulturę. Kobiece orgazmy tematem zakazanym? Ręce opadają".

ANTYSEMICI I CIEMNOGRÓD

Zapewne w centralach wielkich graczy rynku streamingowego, (którzy są zarazem liderami rynku produkcyjnego), jeśli ktoś w ogóle Polskę zauważa, to kojarzy ją wedle propagandy uprawianej od dekad przez tzw. polski salon: antysemici, ciemnogród, nietolerancja, zabobonna religijność. No bo właściwie na jakiej podstawie mieliby sobie wyrobić inną opinię? Oczywiście centrale wyznaczają ogólne ramy (stylebooki) produkcji, które mają obowiązywać na wszystkich rynkach penetrowanych przez inwestora. Za wprowadzanie zaleceń w życie biorą się już kierownictwa lokalnych oddziałów Netflixa, Disneya czy Warnera (HBO, TVN). Ten ostatni przejęty został przez Paramount Skydance, ale czy przełoży się to na zmianę polityki programowej w Polsce, nie wiadomo.

A lokalni decydenci też wydają się być typowymi przedstawicielami postkolonialnych elit kulturalnych III RP. To znaczy, przepełnia ich przekonanie, że z tymi Polakami to generalnie coś jest nie w porządku, więc trzeba demaskować, cywilizować. Nawet gdy wspomniane kwestie pojawiają się gdzieś na marginesie głównej opowieści. Spójrzmy na głośny serial Netflixa „Wielka woda" (2022) Jana Holoubka i Bartłomieja Ignaciuka. Niby w tej historii wszystko się zgadza, jest powódź, jest zalewany Wrocław, są rozpaczliwe wysiłki, by powstrzymać żywioł, ale wbrew prawdzie historycznej wszyscy przedstawiciele administracji rządowej, lokalnej oraz wszystkie ważne figury policji, wojska i straży pożarnej pokazane są jako stado idiotów oraz szkodników. Dobra jest główna bohaterka, bo to wyedukowana za granicą pani ekolog. A Polak miejscowy? Wiadomo: „Polak nie potrafi". No i jest trochę jajcowania: wojsko niby nie może ratować Wrocławia, bo „ćwiczy na poligonie z NATO", a Wrocław się nie przygotował na powódź, bo „przygotowywał się do wizyty Ojca Świętego". Na szczęście Polakom pomogą francuscy strażacy, którzy pływają po zalanych ulicach w nowoczesnych łódkach i rozdają wygłodniałym mieszkańcom świeże bagietki. Kabaret.

À propos kabaretu. Wielką karierę zrobił kostiumowy komediowy serial Netflixa „1670", szydzący z polskiej szlachty. W wielu przypadkach nie ma czego bronić, bo polska historia miała swoje ciemne strony. Tym, co różni dziełko Macieja Buchwalda i Kordiana Kądzieli od np. bezlitosnej brytyjskiej „Czarnej Żmii", jest to, że w serialu Curtisa źródłem humoru była komedia charakterów. A w „1670" grepsy są dużo bardziej nierówne, najbardziej męczące, gdy to kpiny z podobno czysto polskich przywar.

TYLKO CIEMNOTA NIE BIJE BRAW?

Jak widzimy, szydera z „Lalki" Bolesława Prusa, jaką dostaliśmy w serialu Pawła Maślony kilka tygodni temu, nie jest niczym wyjątkowym w dziejach polskich produkcji Netflixa. Na pewno jednak okazuje się najbardziej radykalnym retellingiem, reinterpretacją czy po prostu przemieleniem polskiej klasyki. Jak wieść niesie, projekt ten na początku miał być serialem współczesnym: „Lalką" XXI w. Ale koncepcja się zmieniła. Ciekaw jestem, na ile stało się tak w wyniku odkrycia przez twórców i producentów, że współczesny Wokulski musiałby być jakimś przedsiębiorczym konfederatą czy nowoczesnym endekiem (wolny rynek, patriotyzm i własna ciężka praca), a odrzucająca go warstwa panująca musiałaby składać się z Giertychów, Kulczyków, Solorzów, Czarzastych, czyli jak na warunki III RP „starych" pieniędzy.

Prawda o dzisiejszym rynku streamingu jest taka, że to, co robi Netflix, nie jest wyjątkiem. Na tle produkcji koncernu Disneya z ostatniej dekady można nawet uznać, że wypada… umiarkowanie. Netflix jest jednak najważniejszym punktem odniesienia, bo jest najbardziej w Polsce popularny. Wedle badań JustWatch opublikowanych w lipcu 2026 r. struktura rynku streamingu w naszym kraju wygląda następująco: numer jeden to Netflix (21 proc.), na miejscu drugim jest Disney+ (16 proc/), na trzecim HBO (14 proc.), a dalej plasują się Apple TV+ (12 proc.) oraz SkyShowtime (7 proc.). Netflix stracił jednak 5 p.p. udziału rynku w porównaniu z rokiem poprzednim. Nie zmienia to faktu, że najbardziej zaangażowane w rozmaite ideologiczne projekty serwisy, czyli Netflix i Disney+, kontrolują razem niemal 40 proc. rynku streamingu nad Wisłą, więc mają największą rolę w meblowaniu głów widzów.

Protesty przeciw wybrykom niesmacznym wmontowywane są w narrację polityczną, komu nie podobają się przedsięwzięcia takie jak „1670", „Lalka" czy kinowy „Kos" Maślony (w którym zrównano czarnych niewolników w Ameryce z polskimi chłopami), ten ani chybi musi być z PiS, a może i z Radia Maryja. I już zgodny chór mediów zblatowanych z salonami, z tymi, którzy są samozwańczymi właścicielami III RP, przekonuje, że tylko ciemnota nie bije braw. Zachodni giganci są więc bezpieczni, bo wiedzą, że główne kanały dystrybucji prestiżu nad Wisłą poprą każde ich przedsięwzięcie. Dla debaty o tym, co w tych produkcjach jest dobre, a co nie, jest to oczywiście zabójcze, bo tam, gdzie w ruch idą polityczne pałki, miejsca na kluby dyskusyjne czy rzetelne recenzje już nie ma. Z perspektywy czasu widać, jak ważne w tej wojnie kulturowej było pośpieszne przejęcie TVP, która jednak od czasu do czasu coś idącego pod prąd postępowych narracji wyprodukować potrafiła. To, na ile wykorzystała swój potencjał w czasach poprzedniej władzy, jest już tematem do rozważań przy innej okazji.

Tymczasem strach się bać, bo Netflix zapowiada nową wersję „Nocy i dni". Patriarchat i ciemnogród niech mają się na baczności!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457

Jaka niepiękna katastrofa!



Krzysztof Masłoń



Kamila Urzędowska i Marcin Dorociński jako filmowi Izabela Łęcka i Stanisław Wokulski w ekranizacji „Lalki" w reżyserii Macieja Kawalskiego FOT. NETFLIX

Wbrew rozpowszechnionej opinii to nie Donald Tusk ani nie Barbara Nowacka są najznakomitszymi analitykami od pewnego czasu uchodzącej za najlepszą polską powieść „Lalki" Bolesława Prusa. Krytykami filmowymi są także nienajwybitniejszymi, a jednak zachwycają się nowymi ekranizacjami dzieła Prusa, z których jedna ma z nim wspólnego tylko tytuł, druga zaś stała się okazją do łabędziego śpiewu nestorów polskiej sceny. Udało się to tak sobie; jednym wyszło belcanto, innym późny Himilsbach. Odnośnie do odcinkowego przeboju Netflixa, to po ewidentnym sukcesie tego kryminału Tusk z Nowacką niecierpliwie czekać będą na kolejne sezony „Lalki", roboczo nazwane „Wokulski i Magdalenka", „Lalka w burdelu", „Sutener Rzecki". Będzie się działo!

Przed laty, w słusznie zapomnianych czasach PRL, gdy z pozytywistycznej powieści Prusa materiał do swoich filmów czerpali Wojciech Jerzy Has i Ryszard Ber, panowała jeszcze przedziwna zasada, że adaptacja utworu literackiego może wprawdzie pewne wątki uwypuklać, a inne marginalizować, niemniej twórców rozliczano z wierności wobec dzieła, bez którego musieliby zadbać o oryginalne scenariusze, a tych – jak zawsze – pełno było, z tym że wszystkie do niczego. Taki Prus, Orzeszkowa, Żeromski, a już Sienkiewicz szczególnie byli samograjami. Pilnowano tylko tego, by np. „Emancypantek" nie pomylić z „Rodziną Połanieckich", a „Faraona" z „Krzyżakami". No i nie odwracać biegunów w postaciach bohaterów. Książę Radziwiłł był be, a Kmicic, choć spalił Wołmontowicze, jednak cacy. Tak samo Maćko z Bogdańca zabił pod Grunwaldem Kunona von Lichtensteina, a nie odwrotnie. I, tu wracam do „Lalki", to jednak ze Stachem sympatyzować ma czytelnik powieści, a nie z panną Izabelą. Tak, tak, choć po ostatnich osiągnięciach tego, co kiedyś było polską szkołą filmową, niepodobna w to uwierzyć.

A jednak na jaką to kobietę trafił Stanisław Wokulski? „Powiedzmy od razu – swego czasu przeciął ten węzeł, bynajmniej nie gordyjski, profesor Zygmunt Szweykowski – gorzej trafić nie mógł. I nie dlatego nawet, że panna Łęcka stoi na tak niskim poziomie moralnym, że jest wcieleniem egoizmu, że ma wypaczony pogląd na świat – bo to są czynniki, które można przy odpowiednich warunkach przekształcić lub złagodzić (na przykład pani Wąsowska). Ale niestety nie ma takich warunków, które mogłyby przekształcić pannę Izabelę: kto uważa, że jest aniołem, że jego poglądy i postępowanie są idealne, kto na cień samokrytyki zdobyć się nie może, kto jest niedokształcony pod względem uczuciowym i wypaczony w swoich instynktach, dla tego ratunku nie ma. Pomiędzy Wokulskim a panną Izabelą stoi szereg zasadniczych przeciwieństw, których absolutnie nic usunąć nie może i choć stosunek jej do Wokulskiego będzie przybierał szereg najróżnorodniejszych faz, żadna z nich nawet minimalnej zmiany psychiki panny Łęckiej nie będzie oznaczała. Wszystko ich dzieli, nic nie łączy".

Kim jest dla niej Wokulski? „[...] to człowiek niższy – cytuję dalej »Twórczość Bolesława Prusa« Zygmunta Szweykowskiego – gdyż nie pochodzi ze sfery arystokratycznej, następnie niepociągający jako typ, gdyż nie należy do odpowiadającego jej fizjologicznie gatunku, wreszcie jako kupiec jest wcieleniem strasznej, odpychającej prozy. Miłość Wokulskiego musiała się skończyć katastrofą, ale i bez katastrofy nie mogło zakończyć się życie panny Łęckiej: żelazne prawa natury musiały wyrzucić poza nawias jednostkę, która od początku do końca urągała rzeczywistości".

A rzeczywistość skrzeczała. „»Straszna rzecz! – woła doktor Szuman [obsadzenie w tej roli Macieja Stuhra to jeszcze jeden chichot historii – przyp. K.M.] w zakończeniu powieści, mając na myśli idealistów polskich. – Ci giną, wy wyjeżdżacie... Któż tu w końcu zostanie?

– My!... – odpowiedzieli jednogłośnie Maruszewicz i Szlangbaum.

– Ludzi nie zabraknie – dorzucił radca Węgrowicz«.

Maruszewicz, Szlangbaum i Węgrowicz – przyszli przedstawiciele społeczeństwa polskiego! Pierwszy – wcielenie łajdactwa wszelkiego rodzaju, drugi – spekulacji i lichwiarstwa, trzeci wreszcie – lenistwa, arogancji i oszczerstwa. Szlangbaum ma specjalne jeszcze dane, by wołać: »My!« – »Lalka« kończy się wyraźnym tryumfem społeczeństwa żydowskiego nad polskim: Żydzi zaczynają przejmować kierownictwo życia w swoją rękę; nie tylko sklep zdobyli, nie tylko po owładnięciu spółką do handlu ze Wschodem uzależnili od siebie arystokrację, aby ją zniszczyć, ale projektują w przyszłości »połączenie« się z ludem polskim, by stać się »jego inteligencją«. »Nauczymy go – powiada Szuman – naszej filozofii, naszej polityki, naszej ekonomii i z pewnością lepiej wyjdzie na nas aniżeli na swoich dotychczasowych przewodnikach«. Oto do jakiego kresu może dojść życie w Polsce".

A co ze Stachem? Pisarz „z Wokulskiego celowo uczyni jednostkę wybitną, obdarzy go rozumem, zdolnym do twórczej, samodzielnej pracy, uczuciowością silną, ogarniającą bogatą skalę zjawisk, i wolą żelazną, konsekwentną, budzącą do czynu, do męskiej, odważnej realizacji postanowień". A czemu nie wspomniał nawet o tym, że – jak wynika z ekranizacji – był idiotą? ©℗

eprasa.pl 0fbd615457

Dlaczego nienawidzą Polski?



Krystian Kratiuk

Naszym państwem rządzi człowiek, który twierdził, że polskość to nienormalność. Czy może więc dziwić, że jego poplecznicy od lat prześcigają się w udowadnianiu, jak bardzo się z nim zgadzają?

Teza zawarta we wstępie do tego tekstu byłaby zbyt prosta, aby pozostawić ją bez komentarza. Nie jest bowiem do końca tak, jak chcieliby najzagorzalsi przeciwnicy Donalda Tuska – w swym słynnym tekście sprzed prawie 40 lat nie nazywał on „nienormalnością" polskości jako takiej, lecz polskość rozumianą przez konkretny kontekst historyczny. Późniejszy premier pisał bowiem, że historia, geografia i „dziejowy pech" nałożyły na Polaków ciężar, przez który Polacy nie mogą po prostu żyć tak jak inne narody, bo inni „budują, kochają się i umierają", a my „walczymy, powstajemy i giniemy". Innymi słowy: „Nienormalnością" była przede wszystkim sytuacja narodu skazanego na walkę, katastrofy, powstania, utratę państwa i nieustające życie historią. Tusk pisał jednocześnie, że „szarpie się między goryczą i wzruszeniem, dumą i zażenowaniem". Jednak kończy tekst deklaracją, że mimo całego „uciążliwego dziedzictwa i tragicznych skojarzeń" polskość pozostaje „naszym wspólnym świadomym wyborem".

To ważne wyjaśnienie, gdyż ani do radykalnych przeciwników Tuska, ani do jego radykalnych zwolenników szerszy kontekst tamtego tekstu rzadko trafia. Stąd irracjonalna sytuacja, w której gdy ktoś o prawicowych poglądach wyraża krytyczny stosunek do niektórych podejmowanych przez Polaków decyzji w wiekach XIX czy XX, albo nie deklaruje się jako romantyk, z miejsca wrzucany jest do worka zdrajców narodu i fanów Tuska. Z drugiej strony sporu mamy jednak podobny problem – wielbiciele formacji intelektualnej wspierającej obecnego premiera też nie przeczytali tamtego tekstu i również zapamiętali zeń tylko jedno zdanie: że polskość to nienormalność. I stosują to jako wyznacznik oceny wszystkiego, co tutejsze.

Tusk jednak już dekady temu porzucił wszelkie rozważania intelektualne na rzecz politycznej praxis, a jego późniejsze decyzje rzeczywiście mogą świadczyć o tym, że nie ma nic przeciwko rozszerzaniu własnych słów o nienormalnej polskości na więcej segmentów niż tylko historyczno-polityczny romantyzm. A środowiska pokładające w nim nadzieję od lat bardzo twórczo obrzydzają Polskę i Polaków sobie, rodakom i światu.

FAŁSZYWA HISTORIA MATKĄ PRAWDZIWEJ OJKOFOBII

Jednym z najbardziej klasycznych przykładów polskojęzycznej ojkofobii – niechęci do tego, co własne – były słowa Olgi Tokarczuk wypowiedziane po otrzymaniu Nagrody Literackiej Nike, przyznawanej przez środowisko „Gazety Wyborczej", od lat sączącej



Paweł Maślona podczas gali Złotych Taśm w warszawskim Kinie Kultura, 10 lutego 2025 r. FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

wszak Polakom do głów pedagogikę wstydu. W 2015 r. Tokarczuk twierdziła, że stworzyliśmy sobie historię Polski jako kraju tolerancyjnego i nieskalanego, podczas gdy „robiliśmy straszne rzeczy" jako kolonizatorzy, większość tłumiąca mniejszości, właściciele niewolników i mordercy Żydów. Według pisarki „jesteśmy rasistowskimi ksenofobami".

Późniejsza noblistka najpewniej uczyła się historii z książek Jana Toma-

eprasa.pl 0fbd615457



sza Grossa, Barbary Engelking i Jana Grabowskiego, którzy od lat próbują przekonać Polaków, że z naszej historii nie należy być dumnym, ale wręcz przeciwnie – trzeba się jej wstydzić. To i tak ambitniejsze źródła niż to, z którego historii uczył się Maciej Stuhr, głoszący dumnie, że wiedzę na ten temat czerpie z dziennika Michnika. Stamtąd właśnie dowiedział się, że pod Cedynią Polacy używali dzieci jako żywych tarcz.

Jednak książki, a nawet wywiady z pisarzami czy aktorami mają znacznie mniejszą siłę rażenia niż filmy, wszak aktualna pozostaje propagandowa zasada Lenina, wedle której kino jest najważniejszą ze sztuk.

I to właśnie tą drogą do mas trafić miały poglądy na polskość twórców wstydzących się własnego narodu i jego dziejów. Wystarczy przypomnieć sobie choćby nagrodzoną Oscarem „Idę" Pawła Pawlikowskiego, w której zagraniczny widz dostaje mocny obraz Polaków mordujących Żydów, przy bardzo słabym przedstawieniu całego niemieckiego kontekstu okupacyjnego. Wspomnijmy też drugie „Wesele" Wojciecha Smarzowskiego, film zestawiający współczesną polską prowincję – przedstawioną przez pryzmat pijaństwa, kombinatorstwa, nacjonalizmu i homofobii – z polską zbrodnią na Żydach w czasie wojny. Reżyser najpewniej

eprasa.pl 0fbd615457

poczuł, że po „Wołyniu", chwalonym przez patriotów, niechętnie patrzą nań koledzy z branży, stąd radykalny krok zrobienia kolejnego filmu o znanym już wcześniej tytule, aby pokazać, że Polacy wstrętni byli, są i będą.

W tej wyliczance nie może zabraknąć również „Pokłosia" Władysława Pasikowskiego. Tu mieliśmy do czynienia z historią luźno nawiązującą do Jedwabnego. Reżyser przedstawił kolejnych mieszkańców polskiej wsi jako prostaków, potomków uczestników zbrodni na – jakżeby inaczej – Żydach, po latach broniących tajemnicy w obawie przed utratą niewielkich majątków.

Można by pomyśleć, że gdyby Kazimierz Wielki nie osiedlił w Polsce Żydów w XIV w., to polscy reżyserzy filmowi wieku XXI nie mieliby o czym kręcić filmów.

Na szczęście dla wszelkich ojkofobicznych kręgów twórcy zaczęli sięgać też do czasów dawniejszych niż druga wojna światowa, dzięki czemu otrzymaliśmy film Pawła Maślony pt. „Kos". W tym obrazie to już nie polscy prostacy sprzed 80 lat, ale szlachcice sprzed trzech stuleci są bandą niemytych degeneratów, wykorzystujących dobrotliwe chłopstwo i masowo molestujących chłopki, nawet te niepełnosprawne. Reżyser najwyraźniej zna horyzonty umysłowe własnej publiczności, dlatego też w wywiadach postanowił uczynić przypis do swego dzieła, określając je wprost mianem „anty-Potopu", tak by wszyscy zrozumieli, jak bardzo brzydzi się Sienkiewiczem, Kmicicem i atmosferą historii, która ukształtowała w miłości do ojczyzny całe pokolenia jego rodaków. Te same barwne kontusze, te same podgolone głowy, te same szable, które przez pokolenia przywoływały Polakom Wołodyjowskiego, Zagłobę, Podbipiętę czy Skrzetuskiego, odtąd mają budzić niechęć – już nie mają kojarzyć się z odwagą, fantazją i rycerskością, ale z przemocą, pijaństwem, zdziczeniem, podłością, małostkowością, nikczemnością, plugastwem i zwyczajnym ześwinieniem. Maślona promując „Kosa", powoływał się też na wiele popularnych dziś w kręgach lewicowych książek o „historii ludowej". Warto w tym miejscu dodać, że owa „historia ludowa" – jak określił to prof. Andrzej Nowak w rozmowie z PCh24.pl – to „prosty jak cep nurt ideologiczny, mający pokazać, że polskość równa się ucisk".

Lektury z tego nurtu wyjątkowo mocno wpłynęły na reżysera „Kosa", ponieważ także na ich podstawie postanowił zbudować obraz arystokracji w wyprodukowanym na potrzeby Netflixa serialu „Lalka". Choć tutaj Maślona miał zadanie o tyle łatwiejsze, że Prus – inaczej niż Sienkiewicz – szerzej i bardziej otwarcie krytykował polską szlachtę. Oryginalna „Lalka" stanowi wszak oskarżenie tej warstwy społecznej o ekonomiczną nieodpowiedzialność i życie ponad stan. Tyle że Prus był zbyt dobrym pisarzem i zbyt przenikliwym obserwatorem człowieka, aby z całej warstwy społecznej uczynić zbiorowy czarny charakter, więc bywali u niego szlachcice dobrzy, niezepsuci. Ale dzisiejsi twórcy wykazują się prostotą wspomnianego już cepa i walą we wszystkich jak popadnie.

Sienkiewicza czytano chłopom na wsiach, a oni sami przyznawali, że to właśnie słuchanie „Trylogii" uczyniło z nich Polaków, gdyż dotychczas uznawali samych siebie co najwyżej za „tutejszych". Dziś hejterzy polskości próbują tamto zjawisko odkręcić

Arystokracja w „Lalce" zostaje więc, niczym szlachta w „Kosie", pokazana przede wszystkim jako zbiorowisko pijaków, kłamców, rozpustników, pasożytów, gwałcicieli i przemocowców. Nie ma tam ani jednego pozytywnego bohatera. Ale skoro w myśl „historii ludowej" podstawową kategorią interpretacji przeszłości staje się relacja uprzywilejowanego z podporządkowanym, to przedstawiciel dawnej elity z góry staje się podejrzany, a jego pochodzenie z automatu staje się oskarżeniem.

Kiedy napisałem o tym na Facebooku, wiele osób – również niemających nic wspólnego z lewicą – pytało mnie, dlaczego bronię szlachty przed współczesnymi artystami. Otóż dlatego, że co najmniej przez ostatnie półtora wieku to właśnie obraz tej warstwy przedstawiany w kulturze masowej (niegdyś w książkach, potem w filmach) budował w ludziach poczucie polskości i patriotyzmu. Sienkiewicza czytano chłopom na wsiach, a oni sami przyznawali, że to właśnie słuchanie „Trylogii" uczyniło z nich Polaków, gdyż dotychczas uznawali samych siebie co najwyżej za „tutejszych". Dziś hejterzy polskości próbują tamto zjawisko odkręcić.

A przecież przez kilkanaście dziesięcioleci stale wracaliśmy do szlacheckich bohaterów nie dlatego, że Polacy nie wiedzieli o liberum veto, pijaństwie, prywacie czy krzywdzie chłopów. Wiedzieli o nich doskonale – wystarczy przeczytać Krasickiego, Fredrę, Prusa, Wyspiańskiego czy Żeromskiego. Mimo to właśnie dwór funkcjonował w polskiej literaturze jako symbol tradycji narodowej, a ideał ziemiański przetrwał dłużej niż samo ziemiaństwo.

Nieprzypadkowo zatem bohaterowie polskiej kultury tak często nosili kontusz, szablę albo przynajmniej odziedziczyli po szlacheckich przodkach pewien kodeks zachowania. W czasie rozbiorów, gdy Polacy nie mieli własnego państwa, pamięć o polskości i naszych tradycjach zachowała się w rodzinnych pamiątkach, języku, religii, bibliotece, obrazach przodków, opowieściach o powstaniach, świętach, obyczaju, pieśniach i gestach przekazywanych dzieciom przez polską szlachtę. Trudno się więc dziwić, że tak bardzo nienawidzą jej lewicowe środowiska.

Trudno też być zaskoczonym, że to właśnie Paweł Maślona został wybrany do roli reżysera szykowanego filmu „Morfina" na podstawie głośnej powieści Szczepana Twardocha. To po tamtej powieści salon po latach zaprosił w końcu Twardocha do siebie, zachwycając się nią m.in. dlatego, że autor „demitologizował" w niej postawy Polaków podczas drugiej wojny światowej, a jego bohater toczył wewnętrzną walkę między własną polskością a niemieckością. No i seksu, brudu, narkotyków oraz opróżniania kiszek jest tam niemało.

CELEBRYCTWO ANTYNARODOWE

Jednak jako że przeszłość to nie wszystko, mamy też przemysł antypol-

eprasa.pl 0fbd615457

skiej pogardy dotyczący teraźniejszości. Za uprawianie go wzięła się Agnieszka Holland, nie tylko wypowiedziami medialnymi, zresztą poniekąd nawiązującymi do „Potopu". Przytoczmy choćby te słowa: „Problem polega na tym, że zakompleksione narody, takie jak nasz, w momencie, kiedy ktoś, jakiś twórca, mówi o ich ciemnych stronach, natychmiast rzucają się do obrony Częstochowy". Pani Agnieszka nakręciła więc film „Zielona granica", w którym ukazała polskich funkcjonariuszy podczas kryzysu na granicy polsko-białoruskiej niemal jak nazistowskie bestie. Narracja przenosiła odpowiedzialność za tragedię migrantów na stronę polską i przedstawiała nasz kraj jako państwo słynące z brutalności. No i taki obraz Polski poszedł w świat.

Nie zapominamy jednak, że pomysł na film Holland powstał po serii mniej lub bardziej histerycznych wybryków członków artystowskiego półświatka, którzy uznali, że będą pluć na polski mundur – na żołnierzy i funkcjonariuszy Straży Granicznej. Wszyscy pamiętamy w tym kontekście występy Mai Ostaszewskiej czy – szczególnie głośny – występ Barbary Kurdej-Szatan.

Celebryci zresztą bardzo lubią się pławić w odmętach ojkofobii, najwyraźniej czując się wtedy lepszymi od swych rodaków. Już w 2012 r. Maria Peszek wdarła się na salony piosenką „Sorry Polsko". Artystka odrzucała w niej tradycyjny wzorzec patriotyzmu oparty na gotowości do walki i ofiary z życia, przeciwstawiając mu codzienne obowiązki obywatelskie, jak udział w wyborach, płacenie za bilet czy abonament. „Nie oddałabym ci, Polsko, ani jednej kropli krwi" – śpiewała, „lepszy żywy obywatel niż martwy bohater". W 2021 r. Peszek deklarowała, że „Polski już w niej nie ma". Najzabawniejsze jednak jest to, że rok później – a dekadę po „Sorry Polsko" – śpiewaczka mocno angażowała się w koncerty wspierające Ukrainę, a więc kraj, którego przetrwanie zależy właśnie od gotowości setek tysięcy obywateli do walki i ofiary, do przelania krwi. A więc od tradycyjnego rozumienia patriotyzmu. No ale nie tego wstrętnego, nienormalnego, polskiego patriotyzmu. Tego należy się przecież wstydzić.

Mówimy jednak o środowisku, dla którego autorytetem i swoistym rozdzielnikiem pieczątek ojkofobicznego fajno-Polaka stał się już lata temu Kuba Wojewódzki, wobec którego podziw i sympatia rozmaitej maści artystów nie osłabły, nawet gdy postanowił zabłysnąć, zachęcając gości do wkładania polskiej flagi w psie odchody. Kilkukrotnie gościł u niego chociażby Andrzej Seweryn, antybohater internetowego zamieszania sprzed kilku tygodni, zarejestrowany w obiektywie kamery, gdy odwracał się z czymś na kształt obrzydzenia na twarzy na dźwięk… polskiego hymnu.

„Newsweek" czy „Polityka" nieraz publikowały pogardliwe materiały o Polsce jako swoistej potędze „ludowej religijności", opisując cuda eucharystyczne czy świadectwa uzdrowień w wyraźnie ironicznym tonie

POLAK BURAK, JANUSZ I SANDAŁ

Aby przekonać się, jakie przeświadczenie o Polakach mają nadwiślańskie elity, a także skąd wśród wielu naszych rodaków pogarda dla wszystkiego, co polskie, wystarczy sięgnąć do lewicowo-liberalnej prasy. Nie ma miesiąca, by nie ukazał się w niej artykuł o tym, jak bardzo nadal jesteśmy zacofani i zabobonni.

Polaków przedstawia się tam jako zbiorowość niedojrzałą, prowincjonalną i wymagającą nieustannej modernizacji z zewnątrz, z mitycznej Europy lub Zachodu. W „Newsweeku" niezastąpiony w tej dziedzinie Krzysztof Varga pisał wręcz, że „Polacy nie mogą żyć w normalnym kraju", zestawiając Polskę z wyobrażoną normalnością Skandynawii czy Szwajcarii („Newsweek", 2021).

Cóż, przecież – jak już ustaliliśmy – polskość to nienormalność.

W innych tekstach salonowych mediów polskość powraca jako synonim nieudolności, chaosu, resentymentu i wiecznego zapóźnienia. Uwaga – nie chodzi tu o państwo czy jego instytucje, lecz właśnie o Polaków. W podobnym duchu część publicystyki po 2015 r. tłumaczyła poparcie dla prawicy chłopskim pochodzeniem, resentymentem i kulturową niedojrzałością warstw ludowych. Jerzy Stuhr z Tomaszem Lisem mówili o potomkach chłopów folwarcznych, którzy mieliby odreagowywać wielowiekowe upokorzenie, a Janusz A. Majcherek został skrytykowany nawet przez lewicowych polemistów za pogardliwy język wobec „plebejuszy" i zacofanych mieszkańców blokowisk.

Osobną kategorię stanowią rzecz jasna teksty o polskiej religijności, która w liberalnej publicystyce stała się jakimś zupełnie egzotycznym zbiorem zabobonów, lęków i praktyk magicznych. Ironizuje się z wiary w Najświętszy Sakrament, z kultu świętych, z czci dla Maryi i ludowego sposobu przeżywania katolicyzmu. „Newsweek" czy „Polityka" nieraz publikowały pogardliwe materiały o Polsce jako swoistej potędze „ludowej religijności", opisując cuda eucharystyczne czy świadectwa uzdrowień w wyraźnie ironicznym tonie. Ludzie religijni w mediach tego typu przedstawiani są głównie jako znani z memów brzuchaci Janusze nosacze, których życiową ambicją jest zjeść żurek i schabowego.

Zresztą pogarda wobec codziennych gustów i obyczajów Polaków, również zwyczajów kulinarnych, stanowi ciągły element publicystyki pism rzekomo „elitarnych", drukowanych dla „młodych, wykształconych z wielkich ośrodków". Wizerunek wspomnianego „Janusza" – i nieodzowne wąsy, passat, kiełbasa, parawan, skarpety do sandałów, Biedronka i disco polo – stał się już jednym z najtrwalszych kodów klasowych części polskojęzycznych mediów.

A przypomnijcie sobie państwo, ile razy w ostatnich latach czytaliście cały katalog narodowych przywar w tekstach zapowiadających sezon wakacyjny? Jak to redaktorzy wszelakich portali czy tygodników antypolskiej opinii muszą się wstydzić za rodaków za granicą, do tego stopnia, że wolą nie rozmawiać między sobą po polsku.

Podobnie atakowane są polskie święta, rodzina i obyczajowość. Wigilia czy śniadanie wielkanocne coraz częściej opisywane są przede wszystkim jako

eprasa.pl 0fbd615457

męczący obowiązek, źródło rodzinnych konfliktów, presji, obżarstwa i hipokryzji. I – rzecz jasna – zacofania. Lepiej wyjechać gdzieś pod palmy.

To, co swojskie, jest jednocześnie tym, od czego człowiek aspirujący do elity powinien się odróżnić. A to, że większość owej samozwańczej elity wywodzi się – jak miażdżąca większość Polaków – z tej samej warstwy społecznej, a więc z dawnego chłopstwa, tylko potęguje efekt komiczny.

RYBA PSUJE SIĘ OD GŁOWY

Jak jednak w tej kwestii mają zachowywać się publicyści, skoro sami politycy – w dodatku cieszący się sporym społecznym autorytetem i przez lata reprezentujący Polskę za granicą – również uważają, że polskość jest raczej balastem, którego należy się wstydzić, ewentualnie próbować dostosować się do lepszych, w domyśle „normalniejszych", od niej graczy w międzynarodowej układance.

Wszyscy pamiętamy Władysława Bartoszewskiego porównującego Polskę do „brzydkiej panny bez posagu", która nie może przesadnie wybrzydzać w polityce międzynarodowej. Radosław Sikorski na nagraniach z 2014 r. mówił z kolei o polskiej „murzyńskości" w relacjach ze Stanami Zjednoczonymi, opisując politykę Warszawy w dość wulgarnych słowach. W obu przypadkach punktem wyjścia była krytyka konkretnej polityki, ale język był uderzająco pogardliwy wobec reprezentowanego przez siebie państwa.

Czymś nieco innym są wypowiedzi, w których krytyka władzy łatwo przechodzi w język wstydu za Polskę. Donald Tusk w 2019 r., komentując związki polityków PiS z ojcem Tadeuszem Rydzykiem, mówił np., że gdy widzi takie sceny, „wstydzi się za Polskę", a rządy prawicy określał jako „dewocyjne", „nieznośnie prowincjonalne" i „zatęchłe". Mówił to oczywiście z perspektywy człowieka Zachodu, w końcu przewodniczącego Rady Europejskiej.

Nic zatem dziwnego, że później – już jako premier – zatrudnił do promocji „Marki Polska" osobę mówiącą dziwacznym korposlangiem, przypominającym mieszaninę języka polskiego i angielskiego. Miało być bowiem postępowo, nowocześnie, europejsko i – co chyba w tym kontekście najważniejsze – nie za bardzo po polsku. A więc bez tego całego balastu zaściankowości i nienormalności. Doprawdy, to symbol niebywałego zakompleksienia.

ZATRZYMANI W ROZWOJU

Definicję ojkofobii opracował wiele lat temu brytyjski filozof Roger Scruton. W najbardziej zwięzłej formie brzmi ona mniej więcej tak: „Silnie odczuwana potrzeba poniżania zwyczajów, kultury i instytucji, które są rozpoznawalnie nasze". To postawa, w której człowiek ma skłonność do podejrzliwości wobec własnej tradycji, umniejszania własnej kultury i historii, traktowania narodowej lojalności jako czegoś prymitywnego, idealizowania tego, co obce, oraz – co bardzo charakterystyczne – stawania po stronie „ich" przeciw „nam", gdy konflikt dotyczy własnego społeczeństwa, państwa czy cywilizacji.

Scruton pisał o tym w kontekście powojennego Zachodu. W jego ujęciu ojkofobia stanowi część szerszej „kultury odrzucenia" – kultury, która z większą surowością ocenia własne dziedzictwo niż obce. Żeby była jasność, brytyjski filozof nie uważał za ojkofobię każdej krytyki własnego kraju – dopuszczał rzecz jasna, że można bardzo ostro krytykować własne państwo, historię czy kulturę, pozostając z nimi związanym. Ojkofobia jednak – pisał – zaczyna się wtedy, gdy krytyka staje się „odruchem odrzucenia własnego domu jako takiego", a nie próbą jego naprawienia.

Scruton zauważał, że ojkofobia jest etapem, przez który zazwyczaj przechodzi buntujący się... umysł nastolatka. Ale, co zdumiewające, na tym etapie rozwoju niektórzy ludzie – szczególnie tzw. intelektualiści – potrafią się zatrzymać

Znaczna część polskich elit – politycznych, społecznych, naukowych i artystycznych – doskonale wypełnia tę definicję.

Co szczególnie warte podkreślenia, Scruton zauważał, że ojkofobia jest etapem, przez który zazwyczaj przechodzi buntujący się... umysł nastolatka. Ale, co zdumiewające, na tym etapie rozwoju niektórzy ludzie – szczególnie tzw. intelektualiści – potrafią się zatrzymać.

IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE

Analizując wyniki badań Laboratorium Poznania Politycznego Instytutu Psychologii PAN sprzed kilku lat, trudno nie dostrzec, że promocja ojkofobii jest coraz skuteczniejsza. Oto w badaniu przeprowadzonym w 2023 r. na ogólnopolskiej próbie 1504 dorosłych wyodrębniono pięć grup różniących się stosunkiem do Polski i polskości. Aż 14 proc. respondentów zakwalifikowano do segmentu nazwanego „Zawstydzeni Polską" – ludzi nieidentyfikujących się z Polską, słabo związanych z jej tradycją i negatywnie odnoszących się do narodowej wspólnoty. Kolejne 28 proc. stanowili „Wycofani Pesymiści", dla których Polska była w dużej mierze obojętna.

Łącznie oznacza to, że ponad cztery osoby na dziesięć znalazły się poza grupami określonymi przez badaczy jako „zaangażowane patriotycznie". A działo się to już w trakcie wojny na Ukrainie, która rzekomo wywołała wśród Polaków patriotyczne uniesienie i zainteresowanie chociażby kwestią konieczności obrony polskich granic.

Powtórzmy to raz jeszcze – możemy mieszkać w jednym kraju z ponad 40 proc. Polaków, którym ojczyzna jest obojętna, którzy są Polską zawstydzeni lub się z nią nie identyfikują.

To olbrzymia skala polskiego dramatu. Ale to także wielki sukces ojkofobów. Tylko pogratulować. Jeśli kiedyś rzeczywiście na czołgach przyjedzie tu Rosja, której wkroczeniem tak nas straszą, to z całą pewnością w pierwszej kolejności, by umierać za skarpety do sandałów i kiełbasę, za ojca Rydzyka czy nieprzyjemną wigilię, za zaściankowość i współrodaków-morderców Żydów czy potomków kolonizatorów, za zabobonność i wstyd na wakacjach, pójdą walczyć wychowankowie ojkofobów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 0fbd615457

OPEN TEXAS HORIZONS

MISJA POLSKIEGO BIZNESU DO TEXASU

30.11 - 4.12 2026

Jak zrobić **biznes w Texasie** i znaleźć partnera biznesowego?
Co musisz wiedzieć o inwestycjach?

TEXAS

- Weź udział w 3 dniowej konferencji YTEXAS w Bryan / Collage Station
- Spotkaj się z Victoria Economics Development Corporation
- Zobacz największą fabrykę SPACE X TeraFab
- Spotkaj się ze środowiskiem biznesowym podczas Polish American Chamber of Commerce w Texasie

ORGANIZATOR

INSTYTUT MIĘDZYMORZA

PATRONAT NAD MISJĄ

wprost · TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ · tysol · Radio Wnet · DO RZECZY

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ! WWW.INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

691 502 025 SEKRETARIAT@INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

eprasa.pl 0fbd615457





Z Romanem Fritzem, posłem Konfederacji Korony Polskiej
rozmawia Ryszard Gromadzki

Tylko Polski szkoda

RYSZARD GROMADZKI: Czy Polakom mogą zostać ukradzione wybory? Nawiązuję do niedawnej wypowiedzi Ireneusza Rasia, polityka Centrum dla Polski, w Radiu Wnet. Raś mówił tam, że w sytuacji dalszej eskalacji ze strony Rosji przyszłorocznych wyborów może nie być.

ROMAN FRITZ: To jest pytanie do przedstawicieli koalicji rządzącej. Oni nam się nie spowiadają ze swoich planów, ale wypowiedź pana Rasia bardzo koresponduje z tym, co na poprzednim posiedzeniu Sejmu powiedział premier Donald Tusk, w swoim – nazwijmy to – „exposé". Tusk powołał się w nim na nieistniejący raport CIA, strasząc posłów i słuchających jego przemowy Polaków nieuchronnością eskalacji ze strony Rosji.

Myślę, że nieprzypadkowo premier połączył domniemaną rosyjską eskalację z podnoszeniem łba przez „prawicową hydrę" w Europie, nawiązując do sukce-

eprasa.pl 0fbd615457



FOT. LUCA MATTIA VIGILANTE/FORUM

sów AfD w Niemczech w wyborach lokalnych i wysokich notowań Zjednoczenia Narodowego we Francji. A że wybory można unieważnić pod pretekstem rosyjskiej ingerencji czy zagrożenia ze strony Rosji, pokazał przykład Rumunii.

Sądzi pan, że taki manewr jak w Rumunii przeszedłby w Polsce? Sondaże pokazują, że pomimo propagandy strachu uprawianej przez media i rządzących z premierem Tuskiem i szefem MSZ Radosławem Sikorskim na czele, większość Polaków nie wierzy w napaść Rosji na nasz kraj.

Myślę, że „czarnym snem" dla Tuska i całej jego kamaryli światowej rewolucji jest start w przyszłorocznych wyborach Konfederacji Korony Polskiej. Sądzę, że rządzący mają dwa scenariusze. Pierwszy, ekstremalny, ale całkiem realny, o którym mówił w Radio Wnet wiceminister Raś, zakłada, że wyborów może nie być. Będzie on polegał na tym, że w którymś z województw czy powiatów na wschodzie kraju wprowadzony zostanie stan wojenny lub wyjątkowy, i wtedy rządzący będą mogli przesuwać termin wyborów.

Jak na Ukrainie, gdzie mandat prezydenta Zełenskiego dawno wygasł, ale rządzi nadal, zasłaniając się niemożnością przeprowadzenia wyborów z powodu toczącej się wojny.

Dokładnie tak. Drugi scenariusz, który biorą pod uwagę rządzący, zakłada wyeliminowanie z wyborów ugrupowań „niepoprawnych". Temu moim zdaniem służy powołanie tzw. Centrum Walki z Dezinformacją, którego twarzą stał się mało eksponowany w ostatnich latach wiceminister cyfryzacji, Paweł Olszewski. Zdążył on zrobić już tour po mediach; w jednym z wywiadów powiedział wprost, że „niektórzy powinni pójść siedzieć", a w innym, że „nie podobają mu się takie ugrupowania jak Konfederacja Korony Polskiej czy Kamraci, bo te dwie formacje szerzą dezinformację", oczywiście w konotacji prorosyjskiej, co jest wierutną bzdurą, ale może być pożytecznym pretekstem do wyeliminowania naszej partii z udziału w wyborach. Mniejsza o to, że takie działania nie będą miały żadnej podstawy prawnej. Ważne, żeby obrzucić Koronę błotem, iluś ludzi to kupi i uwierzy, że może rzeczywiście z tą Koroną coś jest nie tak.

I na wszelki wypadek, lepiej byłoby, żeby nie rządziła...

No właśnie. To jest, moim zdaniem, jednym z głównych celów działań Donalda Tuska, Ireneusza Rasia, Pawła Olszewskiego i innych ludzi władzy.

Czy ten scenariusz nie jest także na rękę innym ugrupowaniom szeroko pojętej prawicy? Korona z wozu, pozostałym będzie lżej o mandaty... PiS odżegnuje się od budowy paktu senackiego z Konfederacją Korony Polskiej jak diabeł od święconej wody. Z otoczenia prezydenta Karola Nawrockiego też słychać głosy, że nie będzie żadnego paktowania z Koroną, bo ta jest prorosyjska i antysemicka.

Ale taka taktyka ma krótkie nogi. Istotna część wyborców jest niezdecydowana. Jeżeli nagonka na Koronę, o której pan mówi, ruszy na dobre, bo teraz mamy do czynienia zaledwie z „podgotowką", a PiS i inne środowiska prawicowe nie będą przeciw niej protestować, to definitywnie stracą wiarygodność. A my będziemy w oczach jeszcze większej grupy wyborców jedynymi sprawiedliwymi, którzy przeszkadzają „systemowi". A ten „system" jest zepsuty do cna. Jest zdradziecki i złodziejski. Nie wiem, czy udział w „polowaniu" na Koronę im się politycznie opłaci. Wyszło to na wierzch w Krakowie przy okazji I tury wyborów prezydenta miasta, gdzie żadne z ugrupowań prawicowych nie odniosło sukcesu.

Prawica „zakiwała się" w wyborczych rozgrywkach w Krakowie?

Nasz kandydat Michał Klimek był pomijany w debatach. Ani razu nie został zaproszony do większych mediów. Tymczasem to Michał Klimek już na początku kampanii przewidział, że nominalny kandydat środowiska, które zainicjowało referendum, Jan Hoffman, przekaże swoje głosy panu Gibale. Oznacza to, że w Krakowie tworzy się kolejny układ, którego beneficjentami będą i Gibała, i Hoffman, który prawdopodobnie zostanie wiceprezydentem miasta. Jak słyszałem, a dużo na ten temat można przeczytać w Internecie, podobno to z pieniędzy klanu Gibałów, chodzi o 2 mln zł, zostało sfinansowane referendum w Krakowie, którego twarzą stał się Hoffman.

Wygląda na to, że referendum w Krakowie zostało wykorzystane jako wehikuł, przy pomocy którego jeden układ władzy zastąpi drugi...

No tak. Sprawy żywotne dla mieszkańców jak Strefa Czystego Transportu lub, jak mówią inni, „Strefa Czystego Terroru", były w zasadzie nieobecne w debatach kandydatów. Odwoływano się do zupełnie innych emocji niż to, co obiecywali inicjatorzy referendum, czyli odejście od lewackiej agendy, w myśl której kształtuje się obecnie rzeczywistość w największych polskich miastach. O rozliczeniu machlojek przypisywanych poprzedniemu prezydentowi Krakowa Miszalskiemu, nawet nie wspominając. Była wielka radość po odwołaniu Miszalskiego, która szybko opadła, kiedy okazało się, że rady miasta odwołać się nie udało. Teraz Krakowianie mają wybór między kandydatem słabym i słabym, co oznacza brak jakichkolwiek zmian. Zmiany gwarantował nasz kandydat Michał Klimek. Przed kampanią w Krakowie koledzy z Konfederacji

eprasa.pl 0fbd615457

śmiali się, że wystawiamy w wyborach kandydata „bez nazwiska". Ale Michał Klimek pokazał pazur, i świetnie się przy okazji wyborów prezydenta Krakowa politycznie wypromował. Zresztą będzie on naszym reprezentantem w kolejnej odsłonie „Ligi Debat" w Kanale Zero.

Wróćmy do paktu senackiego. Czy pomimo niechęci ze strony PiS w tej sprawie toczą się jakieś sondażowe rozmowy? Czy wobec Korony już obowiązuje kordon sanitarny?

Po wielu miesiącach oczekiwania na jakikolwiek sygnał ze strony partnerów na prawicy, a przypomnę, że nawoływaliśmy do zawiązania paktu senackiego prawicy już w grudniu ubiegłego roku, rozpoczęły się harce polityczne w tej sprawie. Podobno prezydent Nawrocki zaprasza wszystkie partie prawicowe i centroprawicowe do rozmów, aby stworzyć wspólny pakt senacki pod jego patronatem. Tyle że my jako Konfederacja Korony Polskiej nie dostaliśmy absolutnie żadnego zaproszenia ze strony prezydenta.

Jak to nie? Przecież jednoznacznie wypowiedział się minister Wojciech Kolarski, który zapytany o pakt senacki z udziałem Korony, podał wam, że tak to określę, „czarną polewkę"...

Rzeczywiście. Pan Kolarski wyraził się, że Konfederacja Korony Polskiej musi być wykluczona z jakiegokolwiek paktu pod patronatem prezydenta. Nie obrażamy się z tego powodu na rzeczywistość. Jak powiedziałem, bezpośrednio po tym, jak obwieścił to minister Kolarski, w tej sytuacji Koronie nie pozostaje nic innego jak wystartować samodzielnie. Wystawimy 100 kandydatów w 100 okręgach senackich i dalej będziemy próbować naszych ludzi. Zresztą robimy to już teraz, bo w Zielonej Górze odbędą się wkrótce wybory uzupełniające po śmierci senatora Różańskiego. Naszym kandydatem będzie w nich Tomasz Naruszewicz. Życzę naszym rywalom politycznym wszystkiego najlepszego w bojach o stworzenie paktu senackiego na prawicy, tylko szkoda Polski.

Wydaje się, że fiasko paktu senackiego znacząco ogranicza szanse prawicy na sukces w przyszłorocznych wyborach, jeśli odbędą się one zgodnie z planem.

Zgadzam się. Prawdopodobnie rządząca dziś lewica zachowa pakiet większościowy w Senacie, co pozwoli im przynajmniej na sianie destrukcji, gdyby przegrali wybory do Sejmu. Obstrukcja wokół paktu senackiego na prawicy to, moim zdaniem, jeszcze jeden dowód na brak niepodległości Polski. Jeżeli słyszy się ze strony Kaczyńskiego czy innych czołowych polityków PiS, że z Grzegorzem Braunem absolutnie nie można współpracować i te wypowiedzi padają bezpośrednio po spotkaniu z ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Polsce, to wnioski nasuwają się same, dla przywódców PiS znacznie ważniejsze jest to, co powie ambasador amerykański niż to, czego oczekują albo wręcz domagają się polscy wyborcy. To bardzo zła praktyka, ujawniająca wasalstwo naszych elit politycznych. Wyborcy to widzą. Prywatnie mogę się nawet ucieszyć z kolejnych tego rodzaju wypowiedzi prezesa Kaczyńskiego, bo skutkują one wzrostem poparcia dla Korony, ale powtórzę: szkoda Polski. Nie patrzę na to z perspektywy partyjniaka, ale polskiego obywatela. Ta ostentacyjna podległość wobec obcych ośrodków musi się wreszcie skończyć. Jeżeli PiS traktuje stanowisko ambasady USA jak wyrocznię, to znaczy to ni mniej, ni więcej, że przez osiem lat rządzili oni Polską pod dyktando USA.

Co musi się wydarzyć, żeby pakt senacki prawicy jednak doszedł do skutku?

Kluczowe jest stanowisko Konfederacji. Z wypowiedzi Krzysztofa Bosaka i Michała Wawera wynika, że nie chcą oni budować paktu senackiego z PiS-em czy Rozwojem Plus bez Korony, bo nie chcą brać udziału w projekcie, który jest skazany z góry na klęskę.

W podobnym tonie wypowiadał się Sławomir Mentzen.

Wykazał to dokładnie na liczbach pan Marcin Palade. Z jego analizy wynika, że pakt senacki bez Korony oznacza trzydzieści kilka mandatów dla prawicy. Z Koroną tych mandatów może być nawet 58. Wniosek jest jeden, ci, którzy nie chcą Korony w pakcie senackim, opowiadają się za kontynuacją rządów obozu Tuska, przynajmniej w Senacie. Jeśli chodzi o wybory do Sejmu, tu o żadnych blokach na prawicy nie może być mowy. Problem może mieć inicjatywa byłego premiera Morawieckiego, która balansuje na granicy progu wyborczego. Prawdopodobnie na początku roku dowiemy się, czy Morawiecki pójdzie do wyborów samodzielnie, czy nastąpi jednak reunifikacja z Prawem i Sprawiedliwością, a jego ludzie zostaną przyjęci na listy PiS.

Czy jesteście gotowi na scenariusz, w którym wskutek szykan sądowych Grzegorz Braun zostanie wyeliminowany z udziału w czynnej polityce, niedopuszczony do kandydowania w wyborach?

Jesteśmy gotowi na taki scenariusz. Proszę pamiętać, że od ponad dwóch lat Grzegorza Brauna nie ma w Polsce i partia sobie radzi. Ma swoich posłów w Sejmie. Wiadomo, że hipotetyczne skazanie w procesie Grzegorza Brauna to marzenie obecnego establishmentu. Ale ten kij ma dwa końce. Korona może zyskać dodatkowe poparcie, bo wyborcy dostrzegą to, że jest jedynym wiarygodnym przeciwnikiem wrażego systemu rządzącego Polską.

Grzegorz Braun, nawet jeśli hipotetycznie posadzą go w więzieniu, czego oczywiście mu nie życzę, ale widząc determinację niektórych funkcjonariuszy tego systemu, wszystko jest możliwe, nadal pozostanie szefem partii. Nawet jeśli nie będzie mógł wystartować w wyborach do Sejmu, to też świat się nie zawali. Będziemy działać dalej. Zmieni się tylko to, że Grzegorz Braun przez jakiś czas nie będzie parlamentarzystą. To nie jest najgorszy scenariusz. Mamy w zanadrzu jeszcze kilka innych, których na razie wolałbym nie zdradzać.

Procesy, które wytoczono Grzegorzowi Braunowi, są groteskowo dęte, skrajnie upolitycznione. Kolejnym rozprawom w sądzie przy ulicy Terespolskiej w Warszawie regularnie towarzyszą prowokacje. Niestety, w tym wszystkim zasmuca postawa policji, która dopuszcza do tego, że prowokatorzy przed polskim sądem puszczają na cały regulator przez megafony hymn Rosji. W głowie mi się nie mieści, że polska policja przechodzi obok tego obojętnie. Rosyjski hymn odtwarzany przed sądem, w którym sądzony jest polski parlamentarzysta. Wielokrotnie prosiliśmy policjantów o interwencję, ale pozostawali niewzruszeni, twierdząc, że wszystko jest lege artis. Ale ludzie Korony są twardzi, zahartowani w licznych bojach jeszcze za komuny i za „komuny maseczkowej", i za każdej innej. Więc jestem spokojny o przyszłość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457

W pętli „rozliczeń”



Rafał A. Ziemkiewicz

Donald Tusk po raz kolejny wraca do obietnicy „rozliczeń”. W zamieszczonym w sieci filmiku cytował „Lokomotywę” Tuwima i jako dowód, że podobnie jak w wierszu powoli, ale jednak się ona rozpędza, wyliczył, ile to śledztw trwa, ile osób zatrzymano i ilu postawiono zarzuty. Jak na złość, zaraz po publikacji tego filmu sąd skompromitował jego prokuratorów, przyznając „list żelazny” Marcinowi Romanowskiemu

W satyrycznej operetce Janusza Szpotańskiego „Zenon”, czyli towarzysz Kliszko, poucza „Gnoma”, Gomułkę: „stara zasada ci się tu przyda: gdy źle się dzieje, bij Żyda”. Oczywiście w dzisiejszym świecie kreuje się raczej innych wrogów, ale stara zasada pozostaje równie niezmienna, jak za czasów Nerona, gdy o spowodowanie klęski pożaru oskarżono chrześcijan, czy Jakuba I Stuarta, który angielską koronę zdobył dzięki wielkiemu procesowi czarownic, oskarżonych o wywoływanie magią klęsk żywiołowych i próbę ludobójstwa. Nawet Donald Tusk, choć z zawodu historyk, nie zdaje sobie prawdopodobnie sprawy, jak głęboko sięgającą w przeszłość tradycję ma prowadzona przez niego polityka „rozliczeń”.

Oczywiście Tusk nie jest z nią pierwszy nawet w krótkiej historii III RP. Leszek Miller przez pierwsze lata swego premierowania niemal w każdym wystąpieniu „jechał” po poprzednim, solidarnościowym premierze Jerzym Buzku jak po przysłowiowej burej suce, zrzucając nań winę za wszystkie niedomagania państwa, a Zjednoczona Prawica urządziła na inaugurację swej władzy sejmowy spektakl wyliczania przez ministrów odkrytych w objętych resortach nieprawidłowości i nadużyć. Z tego jednak nic nie wynikało, poza chwilowym efektem propagandowym. Dopiero Tusk przekroczył granicę, której nie odważyli się przekroczyć poprzednicy, i fizyczną zemstę na poprzednikach, eufemistycznie nazwaną „rozliczeniami”, uczynił zasadniczym celem swej polityki. Wychodziło to w istocie naprzeciw oczekiwaniom jego żelaznego elektoratu, który ośmioletnie rządy PiS i jego mniejszego koalicjanta, odpowiadającego za aparat sprawiedliwości, zapamiętał jako czas upokorzenia, lęku o zagrożoną pozycję i kwestionowane przywileje. Fakt, że „dezubekizacyjne” i „repolonizacyjne” zapędy Zjednoczonej Prawicy czy zapowiedzi rozbicia „nadzwyczajnej kasty” trzymającej władzę nad sądami okazały się w większości czczymi pogróżkami, bynajmniej żądzy zemsty w zagrożonych prawicowymi rządami środowiskach nie osłabił, wręcz przeciwnie – spełniła się przestroga Machiavellego, że nie należy zadawać ciosów, które bolą, ale nie zabijają, gdyż prowokują nieuchronną i silniejszą zemstę.

NIENAWIŚĆ I POGARDA

Polityk tak wytrawny i cyniczny jak Donald Tusk nie mógł nie wyczuć tej koniunktury i z taką samą zręcznością, z jaką w 2007 r. odpowiadał na oczekiwanie społecznego pokoju, pojednania i radosnej konsumpcji deklaracjami „polityki miłości”, w 2023 r. oparł się na czystej, niemaskowanej niczym nienawiści, nie tylko do politycznych przeciwników, lecz także – co też stanowiło precedens – do całego ich społecznego zaplecza, które zdefiniował jako „ludzi, którzy „chleją, biją kobiety i dzieci i pracą się nie zhańbili”. Połączył w ten sposób pragnienie zemsty elit za doznane poczucie zagrożenia zapowiadaną przez PiS rewolucją z poczuciem klasowej pogardy wielkomiejskiej „klasy aspirującej”, propagandowo dopieszczanej nadanym jej na wyrost mianem „klasy średniej”, dla „hołoty kupionej za pięćset plus”, tworząc niezwykle silną negatywną emocję, nad którą panuje i na której opiera swe rządy do dziś.

To ostatnie nie było chyba w planach. Wydaje się, że posłużenie się wspomnianą nienawiścią i pogardą – niezwykle podłe oczywiście, ale nikt przecież nie rozlicza na serio polityków z etyki – miało w jego zamysłach być równie chwilowe, jak o kilkanaście lat wcześniejsze zapowiedzi kierowania się „miłością”. Tusk zamierzał, jak się zdaje, powtórzyć na szerszą skalę i z większą intensywnością zabieg Millera. Wykorzystać pastwienie się nad pokonanym przeciwnikiem w pierwszym okresie rządów, a potem stopniowo przesunąć legitymizację swej władzy na dokonania, sukcesy w podnoszeniu poziomu życia, które – jak wierzył – miały szybko nastąpić dzięki odblokowaniu unijnych pieniędzy i powierzeniu de facto zarządzania Polską mądrzejszym od nas elitom unijnym, przy zachowaniu dla siebie jedynie funkcji administrowania polską częścią budowanych „stanów zjednoczonych Europy”, który to plan, jako były prominent Europejskiej Partii Ludowej, doskonale znał i weń uwierzył.

W sytuacji, z którą po trzech latach od wyborczego zwycięstwa koalicji anty-PiS rzeczywiście mamy do czynienia, nienawiść i pogarda, domagające się zemsty, pozostały jednak nie pomostem do

eprasa.pl 0fbd615457

importowanego z Europy dobrobytu, ale wciąż jedynym realnym przesłaniem obozu władzy.

SZUKANIE PODSTAW PRAWNYCH

Tusk uwierzył nie tylko w nieuchronny sukces projektu „pogłębiania integracji europejskiej" i jego błogosławione, „modernizacyjne" skutki dla „tego kraju". Uwierzył też, że konkretne „zbrodnie PiS" do „rozliczania" znajdzie się bez wielkiego trudu. Strzelając kwotą „co najmniej stu miliardów złotych", które miał za swych rządów „ukraść PiS", oparł się prawdopodobnie na własnym doświadczeniu – że nie można rządzić przez osiem lat, by co najmniej tyle nie przykleiło się ludziom związanym z władzą do rąk. Dzieląc się jednak publicznie swą intuicją, postawił podwładnych, którym zlecił dokonanie „rozliczeń", w niezwykle trudnej sytuacji. Z ogłoszonych przez Tuska „stu miliardów" w wypowiedziach ministra finansów a potem ministra sprawiedliwości zrobiło się kilkadziesiąt milionów, i to nie ukradzionych, a „wydanych niezgodnie z przeznaczeniem", w której to rozciągliwej kategorii dawało się jako „aferę" propagandowo pomieścić np. pieniądze wydane niepotrzebnie na organizację nieprzeprowadzonych ostatecznie „kopertowych wyborów"

Tusk uwierzył w nieuchronny sukces, że konkretne „zbrodnie PiS" do rozliczania znajdzie się bez większego trudu

w czasie epidemii COVID. Kilkadziesiąt milionów rzeczywiście zostało zmarnowanych, ale nikt ich nie ukradł, można więc mówić co najwyżej o niegospodarności. A gdyby zacząć wykorzystywać na serio ten artykuł Kodeksu karnego, można by wsadzić praktycznie ponad połowę każdego kolejnego rządu i samorządu.

„Musimy przywrócić praworządność i szukamy do tego podstawy prawnej" – wyrwało się w chwili szczerości byłemu ministrowi Bodnarowi (byłemu właśnie dlatego, że nie potrafił przekonać dyszącego oczekiwaniem zemsty elektoratu, iż oczekiwanie to jest spełniane). Słowa te, obok zapowiedzi samego Tuska „wszystko odbędzie się zgodnie z prawem, takim jak my je rozumiemy", pozostaną zapewne w przyszłych podręcznikach jako symbol absurdu obecnych rządów. Jeśli „praworządność" została naruszona i wymaga przywrócenia, to żądnej podstawy prawnej nie ma po co szukać, jest nią to właśnie prawo, które naruszono. A skoro minister musi szukać, to najlepszy dowód, że naruszenie zostało zmyślone.

Według najnowszego badania CBOS, „rozliczenia" są wciąż dla elektoratu koalicji rządzącej ważne – wyborcy obozu władzy umieszczają je na liście priorytetów zadań władzy na miejscu piątym, podczas gdy ogół Polaków na przedostatnim, dziewiątym (mniej ważne są dla ogółu tylko aborcja i „związki partnerskie", wysoko umieszczane tylko przez wyborców Nowej Lewicy). Dlatego ilekroć „źle się dzieje", tylekroć Tusk powraca do hasła: „Bij pisowca!" i usiłuje przekonać swoje najwierniejsze zaplecze, że „rozliczenia" trwają, postępują i już niedługo będzie mógł mu pokazać znienawidzonych „pisowców" w kajdankach.



POWRÓT DO STARYCH HASEŁ

Właśnie odnotowaliśmy kolejny z tych powrotów. W minionym tygodniu premier zamieścił w sieci filmik, w którym najpierw cytuje „Lokomotywę" Tuwima, by potem wywodzić, że „rozliczenia", podobnie jak lokomotywa z wiersza, rozpędzają się „najpierw powoli, jak żółw ociężale", ale coraz bardziej i bardziej. Wywód ten podparł, niczym Gomułka, wyliczaniem liczb: „314 spraw w toku. W 152 sprawach przedstawiono zarzuty 678 podejrzanym. Łącznie 1598 zarzutów. I zabezpieczono majątek o wartości ponad 484 mln zł!", by na koniec powrócić do swego starego bon motu, że „po żurku będzie drugie danie i deser" – a raczej że właśnie są podawane.

Ludzie, do których ten film skierował, nie są oczywiście dociekliwi i nie zadadzą oczywistego pytania: Ale co z tych „spraw w toku" wynika? Zabrakło kluczowej liczby: ile przez trzy lata „rozliczeń" napisano aktów oskarżenia. „Zarzuty" postawić można każdemu, zwłaszcza każdemu, kto piastował jakiekolwiek funkcje publiczne. Pojęcia „nadużycia władzy w celu osiągnięcia korzyści osobistej" czy „wywierania nieuprawnionego wpływu" są na tyle podatne na stronnicze interpretacje, że odpowiednio poinstruowany prokurator łatwo przypisze je do dowolnych zachowań. A jeśli postawi zarzuty kilku osobom, które się znają, to bez problemu może do tych zarzutów dodać „działanie w zorganizowanej grupie przestępczej", a to już jest formalną podstawą do wystąpienia o areszt i „zabezpieczenia" majątku.

48 GODZIN

Teoretycznie oczywiście za stawianie zarzutów w oczywisty sposób bezpodstawnych grożą prokuratorowi postępowanie dyscyplinarne i konsekwencje dla dalszej kariery, ale właśnie dopóki obowiązuje „prawo jak my je rozumiemy", dopóty tylko teoretycznie. Wielu prokuratorów jednak, a liczba ich rośnie z czasem, obawia się, że „demokracja walcząca" w którymś momencie się skończy i wtedy to, co dziś „teoretyczne", stanie się realne.

Postępowania, z których tak dumny jest Tusk, wloką się więc niemiłosiernie i nie owocują aktami oskarżenia, tylko

eprasa.pl 0fbd615457



Ilekroć „źle się dzieje", tylekroć Donald Tusk wraca do hasła: „Bij pisowca!" i usiłuje przekonać swoje najwierniejsze zaplecze, że „rozliczenia" trwają i postępują FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

generowaniem „newsów". Zatrzymano tego a tego! Postawiono zarzuty tamtemu! Zatrzymania stały się za rządów Tuska odpowiednikiem PRL-owskiego „cztery-osiem", czyli używania do nękania działaczy ówczesnej opozycji prawa do aresztowania przez MO każdego na 48 godzin bez postawienia zarzutów. KOR-owców czy solidarnościowców zatrzymywano więc nieustannie, często tuż po wypuszczeniu po właśnie odbytych 48 godzinach. Podobnie prokuratura Żurka nachodzi o godz. 6 ludzi, którzy nie ukrywają się ani nie odmawiają zeznań, i wywozi ich na drugi koniec kraju, by postawić zarzut, często idiotyczny (że np. działając w grupie przestępczej dla osiągnięcia korzyści osobistej awansował jednego ze swych podwładnych). Wracać trzeba oczywiście samemu.

Takie akty złośliwości, ogłaszane w rządowych mediach, cieszą oczywiście przepojony nienawiścią elektorat Tuska, ale to nie jest to, na co on czeka. Nawet gdy nękane są osoby pracujące dziś w kancelarii państwa czy opozycyjnych mediach, nie są one tak znane, by pokazanie ich w kajdankach zaspokoiło rozbudzane od trzech lat oczekiwania na „drugie danie i deser".

SWOI W SĄDACH?

Akurat w wypadku powyższego filmiku „tajming" wyliczania „sukcesów" rozliczeń wyjątkowo się premierowi nie udał. Zaraz po jego publikacji gruchnęła bowiem wieść, że sąd przyznał w najbardziej nagłośnionej przez rządowe media sprawie Marcina Romanowskiego tzw. list żelazny. Czyli de facto uznał za bezzasadny wniosek o tymczasowy areszt dla ściganego. Fakt, że mimo „efektu mrożącego", którym było spektakularne ukaranie sędziego Łubowskiego za odmowe wydania za tymże samym Romanowskim Europejskiego Nakazu Aresztowania, znalazł się kolejny sędzia zdecydowany zagrać na nosie Żurkowi i Tuskowi, sam w sobie jest już ciosem dla srożącego się ministra, który chciał mieć w sądach „swoich ludzi". Ale ciosem bardziej bolesnym było zmuszenie prokuratury do publicznego przyznania, że śledztwo prowadzone jest, by gonić króliczka, a nie by wyjaśnić rzekomą aferę.

Taki jest bowiem logiczny wniosek ze złożenia przez prokuraturę zażalenia na decyzję, która przecież otwiera prokuraturze drogę do wznowienia śledztwa w sprawie Funduszu Sprawiedliwości, które od dawna ogranicza się do regularnie wydawanej decyzji o jego przedłużeniu do medialnych pogróżek. Zresztą ministrowi Żurkowi puściły nerwy i w bezprzykładny sposób zaatakował personalnie sędziego Mielcarka, nie tylko odmawiając mu prawa do orzekania jako „neosędziemu" (kolejna pułapka logiczna: jeśli Żurek odwołuje się do od stanowienia, to przyznaje czynem, że wyroki „neosędziów" nie są nieistniejące, jak mówi), lecz także oskarżając o polityczną stronniczość. Ten atak nawet przez sprzyjających władzy sędziów odebrany został z niesmakiem, jako precedens groźny dla całej „kasty".

Media rządowe oczywiście przedstawiły decyzję kłamliwie: „neosędzia uwolnił Romanowskiego". W istocie list żelazny nie chroni od kary, oznacza jedynie, że kara ta musi być wymierzona przez sąd. A obóz władzy przyznaje otwarcie – nie jesteśmy w stanie „dowieźć" aktów oskarżenia, chcemy więc dokonać zemsty, wykorzystując areszt tymczasowy, w prawie „środek zapobiegawczy", jako uwięzienie bez wyroku. Analogicznie do tego, jak wykorzystujemy jako formę represji procedurę zatrzymania i przymusowego doprowadzenia do prokuratury. Obiecaliśmy to naszym wyborcom.

Ciekawa częścią komentarza Żurka, powtarzana w oddanych rządowi mediach, jest teza, że neosędzia neosędzią, ale także „zawiodła prokuratura". Kto wie, jeśli przykład sędziów Łubowskiego i Mielcarka okaże się zaraźliwy, pozostanie teraz Żurkowi i Tuskowi zapętlić rozliczenia niczym w sławnej „Policji" Mrożka i zacząć rozliczać „ziobrystowski dipstejt" w prokuraturze, który sabotuje rozliczenia, nie przygotowując trzymających się kupy aktów oskarżenia. Na początek zacząłbym od sprawdzenia powiązań z PiS byłego ministra Bodnara, a po nim, jako drugie danie i deser, czekają Korneluk, Woźniak, Wełna i wreszcie sam Żurek. Może w ten sposób da się podtrzymać w wyborcach przekonanie, że „rozliczenia wciąż się rozpędzają" i kiedyś, w końcu, oczekiwanej zemście stanie się zadość?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457



Dziki kryzys na własne życzenie



Łukasz Warzecha

Część ekspertów uznaje, że właściwie nic strasznego się nie dzieje, a spotkania z dzikami są po prostu „niesamowite". Państwo powinno jednak podejść do tego poważnie: te zwierzęta stanowią zagrożenie dla ludzi i wyrządzają szkody, więc należy się ich pozbyć z miast. Skoro zaś nie jest możliwe ich sukcesywne wywożenie, to należy rozpocząć wielką akcję ich uśmiercania

FOT. LECH GAWUC/REPORTER

Dziki biegające na skrzyżowaniu ulic Targowej i Alei Solidarności w Warszawie to Praga-Północ, praktycznie środek miasta i jedno z największych stołecznych skrzyżowań. Dziki w Alei Waszyngtona, również na wschodnim brzegu Wisły, spacerujące jezdnią równoległą do głównej ulicy, którą oddziela od niej jedynie wąski trawnik. Dzik potrącony przez samochód na ulicy Wąwozowej, na Ursynowie. To już nie są pojedyncze przypadki, ale norma.

Mnie samemu większa wataha przeszła niedawno przed maską w peryferyjnej warszawskiej Radości, obok lasku sąsiadującego z kościołem pw. Matki Bożej Anielskiej. Dziki wyszły z zagajnika, służącego mieszkańcom jako miejsce codziennych spacerów, i wbiegły truchcikiem w sąsiadującą z nim wąską uliczkę pomiędzy domami jednorodzinnymi. Był wczesny wieczór, tuż obok przechodzili ludzie.

To tylko Warszawa, a takich sytuacji w całym kraju są już tysiące. Niektóre kończą się niebezpiecznie. Najtragiczniejsze było zdarzenie, do którego doszło wiosną tego roku na Białołęce w stolicy. Kobieta w ciąży, zaatakowana przez dzika, schroniła się w taksówce, ale w konsekwencji poroniła. Szczegóły nie są znane, nie wiadomo, czy doszło do fizycznego kontaktu ze zwierzęciem czy też poronienie było skutkiem stresu i strachu. Zdarzało się już jednak wielokrotnie, że dziki atakowały spacerujące psy czy biegnąc, potrafiły potrącić i przewrócić wózek z dzieckiem.

ATAK ZAMIAST UCIECZKI

Na ten problem można teoretycznie patrzeć z czysto praktycznego punktu widzenia, ale nawet wtedy okaże się, że mamy do czynienia ze sporem politycznym czy nawet ideologicznym. W starciu ekspertów po jednej stronie stoją myśliwi czy leśnicy praktycy, po drugiej zaś naukowcy bliscy władzy czy środowiskom prozwierzęcym. Myśliwi podkreślają, że nie mamy do czynienia z dzikami, które postanowiły umykać przed polowaniami do lasu, to teza lansowana przez ekspertów przywoływanych przez wojującą lewicę. Wskazują na to, że w takim wypadku dziki musiałyby inteligencją przewyższać kilkadziesiąt innych gatunków, na które także się poluje, ale które masowej inwazji do miast nie dokonują. Na naszych ulicach nie pojawiają się przecież co chwila łosie, sarny czy zające. Według myśliwych mówimy już o potężnie rosnącej populacji dzików miejskich, która w samej Warszawie szacowana jest, na podstawie akcji liczenia sfinansowanej przez miasto, nawet na 5 tys. sztuk.

Jak tłumaczył w moim programie „Rozmowa Niekontrolowana" Paweł Budzyński ze związku zawodowego „Wspólna Sprawa", skupiającego m.in. myśliwych i leśników, są to dziki urodzone w mieście i nauczone całkiem innych reakcji niż dziki żyjące w swoim naturalnym środowisku. „Dzik nauczony bytowania w środowisku zurbanizowanym jest bardzo agresywny – wyjaśniał Budzyński. – Wie, że nie ma ucieczki, bo wokół są betonowe ściany, ogrodzenia. Taki dzik, kiedy coś mu staje na drodze, atakuje i dlatego jest tak dużo incydentów tego rodzaju". Budzyński tłumaczy, że w naturalnej dla nich przestrzeni instynkt dzików w razie zagrożenia nakazuje w pierwszej kolejności ucieczkę, a nie atak.

Myśliwi przypominają również, że ewentualny odstrzał redukcyjny nie jest polowaniem, bo w warunkach miejskich

eprasa.pl 0fbd615457

– zgodnie z prawem łowieckim – polowanie nie jest możliwe. Nie jest również możliwe odławianie tych zwierząt i wywożenie ich poza miasto, bo transportu żywych dzików w związku z zagrożeniem afrykańskim pomorem świń zakazuje obowiązujące od 2021 r. rozporządzenie delegowane Komisji Europejskiej.

Myśliwym odpowiadają zaangażowani ideologicznie naukowcy, którzy swoje stanowiska i autorytet wykorzystują dla zaciemniania oczywistej kwestii, że dziki i ludzie nie mogą bezproblemowo koegzystować w jednym środowisku oraz że w miastach to ludzie mają bezwzględne pierwszeństwo. A skoro dzików nie można wywozić czy skutecznie odstraszać (trudno zresztą sobie wyobrazić, jak miałoby wyglądać odstraszanie dzików, które urodziły się już w miastach), to należy rozpocząć poważną akcję ich wybijania i pozbyć się ich miejskiej populacji.

DZIK NIE KROKODYL

Obecna władza na stanowiska państwowe powołuje „ekspertów", którzy wciąż głoszą niedorzeczną tezę, że winnymi ekspansji dzików w miastach są myśliwi. Przykładem może być dr Michał Żmihorski, niedawno mianowany wicedyrektorem państwowego Instytutu Ochrony Środowiska, swego czasu gorliwy propagator tezy, że rząd PiS dokonywał rzekomej rzezi Puszczy Białowieskiej.

Z kolei po decyzji Sejmiku Województwa Mazowieckiego o nieograniczonym odstrzale dzików w Warszawie odezwały się w debacie teoretycznie eksperckiej głosy wręcz kuriozalne. Doktor hab. Jakub Gryz z Instytutu Badawczego Leśnictwa, którego prezydent stolicy powołał w czerwcu do zespołu zajmującego się problemem, oznajmił: „Generalnie prawdą jest to, że liczba spotkań z dzikami rośnie, ale nic się z tym specjalnego nie wiąże. A poza tym, nikt tych zgłoszeń nie weryfikuje. Nie ma też określonych kryteriów, w jakich okolicznościach informować o obecności dzika. Są grupy ludzi, których obecność dzików denerwuje i takie zgłoszenia można generować w nieskończoność". Naukowiec kontynuował: „Co to znaczy, że zaatakował kogoś dzik? Każdy może powiedzieć, że poczuł się zaniepokojony, bo dzik szedł w jego stronę. I zgłosi to przez telefon jako atak […]. Dzik to nie jest krokodyl ani tygrys mogący polować na człowieka. Jeszcze nigdy nie spotkałem się z agresją ze strony dzika na ulicy czy w lesie, a miałem z nimi naprawdę wiele niesamowitych spotkań". Jak widać, część ekspertów uznaje, że właściwie nic strasznego się nie dzieje, a spotkania z dzikami są po prostu „niesamowite".

„DZICZKA"

Monika Beuth, rzecznik warszawskiego ratusza, oznajmiła, że odstrzał „to możliwość, z której korzysta się jedynie w ostateczności, w sytuacji zagrożenia, gdy wyczerpane lub niedostępne są inne metody, np. płoszenie". To absurd – problemem jest to, że mamy do czynienia z dzikami stale mieszkającymi w mieście. Jak miałoby w praktyce wyglądać ich płoszenie? Miałyby być przeganiane z jednej ulicy na drugą albo z jednego trawnika pod blokiem na inny trawnik pod innym blokiem?

W mieście doszło już do demonstracji przeciwników odstrzału dzików, podczas której występowały osoby sprawiające wrażenie, najdelikatniej mówiąc, zaburzonych, opowiadające z rozczuleniem np. o niemal oswojonej „dziczce" na Ursynowie. Ta demonstracja pokazała najlepiej, z czym naprawdę mamy do czynienia. Patrząc bowiem na sprawę z, wydawałoby się, naturalnego punktu widzenia dyskusja o celu działania powinna być zbędna. Ten powinien być oczywisty: dziki stanowią zagrożenie dla ludzi, ograniczają swobodę mieszkańców, wyrządzają szkody, zatem należy się ich pozbyć z miast. Skoro zaś nie jest możliwe ich sukcesywne wywożenie poza ich obręb, należy rozpocząć wielką akcję ich uśmiercania, tak aby zredukować namnażającą się w zastraszającym tempie populację dzików miejskich ostatecznie do zera. Co więcej, nie powinna to być decyzja podejmowana na poziomie samorządowym, choć oczywiście współpraca z samorządami byłaby tutaj konieczna, ale na szczeblu Ministerstwa Klimatu i Środowiska.

Jak się jednak okazuje, ministerstwo w tej sprawie głosu właściwie nie zabiera. Jeszcze w kwietniu utrzymany w dramatycznym tonie list do minister Pauliny Hennig-Kloski wystosowała sekretarz podwarszawskiej gminy Wołomin Małgorzata Izdebska. Pisała w nim: „To, co dziś dzieje się z dzikami w miastach, to nie jest już problem przyrodniczy – to dziki zachód w polskich miastach: chaos, brak procedur i brak odpowiedzialności […]. Mamy rannych mieszkańców, rosnącą liczbę interwencji i coraz większy strach ludzi, a jednocześnie brak jednej, jasnej strategii państwa, co z tym zrobić […]. Dlatego pytamy wprost – dlaczego państwo nie zarządza tym kryzysem?".

Ledwo kilka tygodni temu Paulina Hennig-Kloska w radiu RMF tłumaczyła się pokrętnie, że ona w tej sprawie nie ma nic do powiedzenia, bo w miastach nie ma obwodów łowieckich. Oznajmiła za to, że Ministerstwo Klimatu i Środowiska przygotowuje „poradnik" dla samorządów, jak radzić sobie z dzikami. Nie wiadomo jednak, kiedy materiał zostanie ukończony. To jawne kpiny.

BAMBINIZM W DNA

Przyczyny dziczego kryzysu są dwie. Pierwsza to bezwład państwa, które postanowiło udawać, że problem nie istnieje, a jeśli nawet istnieje, to jego rozwiązanie nie należy do niego. To paradoks, bo to samo państwo gotowe jest mieszać się w nasze najdrobniejsze decyzje i regulować nasze postępowanie w najdrobniejszych sprawach, także dotyczących środowiska (tak jak paranoiczna selekcja śmieci), jednak tam, gdzie obywatele oczekują od niego działania w związku z problemem zagrażającym ich zdrowiu i życiu, państwo umywa ręce.

Drugi powód to ideologia. W składzie obecnej koalicji są przecież Zieloni. Ich przedstawicielką w resorcie klimatu i środowiska jest słynna tytanka intelektu, Urszula Zielińska, która zresztą we wrześniu przejęła po Mikołaju Dorożale stanowisko głównego konserwatora przyrody. Zatem niejako w DNA obecnej władzy wpisany jest bambinizm. Ukłony wobec tego środowiska wykonywał wielokrotnie sam Rafał „Planeta Się Pali" Trzaskowski, a i premier musi uwzględniać jego istnienie. Z tego nastawienia wynika, że odbywają się deliberacje nad tym, co właściwie należy czynić, podczas gdy decyzja powinna być oczywista i powinna zapaść już dawno, a ludzie bredzący o przyjaznych „dziczkach" powinni być traktowani jak niebezpieczni szaleńcy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457

Konfederacja słono zapłaci za flirt z prezydentem



Aleksander Majewski

Politycy Konfederacji często okazują sympatię Karolowi Nawrockiemu. Prezydent również nie stroni od życzliwych gestów. Tyle że beneficjentem porozumienia może być tylko głowa państwa



FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

Wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak, odnosząc się do pierwszej rocznicy zaprzysiężenia Nawrockiego, nie krył satysfakcji. Polityk powiedział w sierpniu na antenie Radia Wnet, że bardzo się cieszy, iż urzęduje prezydent, „który po prostu w wielu sprawach myśli tak, jak ja czy my".

Rocznicę skomentowała w mediach społecznościowych również europosłanka Konfederacji Ewa Zajączkowska-Hernik. „W imieniu swoim oraz swoich wyborców dziękuję Prezydentowi za asertywną postawę wobec eurodługu ukrytego pod propagandową nazwą »SAFE« oraz za zmianę polityki wobec władz Ukrainy. Wściekłość politycznego salonu i oburzenie, że ktoś odważył się kierować polskim interesem, są najlepszym dowodem na to, że były to dobre decyzje" – zaznaczyła deputowana do PE.

LAURKA DLA PREZYDENTA

Zajączkowska-Hernik podkreśliła, że „prezydent wielokrotnie bronił polskich interesów także na arenie międzynarodowej – często w sytuacjach, gdy rząd Donalda Tuska reagował w sposób, delikatnie mówiąc, niezrozumiały".

Z kolei Sławomir Mentzen poprosił Karola Nawrockiego o spotkanie, do którego doszło w lutym tego roku. Jednym z tematów rozmowy był pakt senacki z prezydentem jako jego patronem. Prezes partii Nowa Nadzieja uznał po spotkaniu, że porozumienie jest możliwe.

Mimo koncyliacyjnego tonu Mentzen i tak pozwala sobie na nieco bardziej cięte uwagi pod adresem Karola Nawrockiego niż jego koledzy z Konfederacji. Tak było choćby w sierpniu br., gdy Karol Nawrocki podpisał ustawę wdrażającą unijną dyrektywę Women on Boards. – Czemu pan prezydent podpisuje ustawy, w wyniku których cieszą się razemki i Lewica? Nie rozumiem. Powinien podpisywać takie ustawy, żeby Lewica płakała, a nie się cieszyła – przyznał z rozbrajającą szczerością Mentzen podczas spotkania w Krakowie. To jednak i tak dość łagodny ton, jak na prezesa partii Nowa Nadzieja, który dużo ostrzejszych określeń używał np. wobec Jarosława Kaczyńskiego („polityczny gangster").

PATRON PRAWICOWEGO BLOKU

Zbliżenie na linii Konfederacja – Pałac Prezydencki może być zrozumiałe, biorąc pod uwagę budowę prawicowego paktu senackiego, któremu miałby patronować właśnie Karol Nawrocki, nieustannie cieszący się wysokimi notowaniami w rankingach zaufania.

Warunek Konfederacji pozostaje niezmienny: w skład paktu muszą wejść wszystkie prawicowe siły, które mają swoją reprezentację w Sejmie, czyli Prawo i Sprawiedliwość, Rozwój Plus, Konfederacja, a także ugrupowanie Grzegorza Brauna, czyli Konfederacja Korony Polskiej. – Jeżeli nie będzie jakiejkolwiek partii prawicowej z tych przekraczających próg w pakcie senackim, to pakt senacki nie ma sensu, ponieważ i tak tych głosów zabraknie – zaznaczył prezes partii Nowa Nadzieja w niedawnej rozmowie z Bogdanem Rymanowskim na kanale Rymanowski Live (YouTube). Mentzen przyznał, że możliwy jest tylko układ, który współtworzy również Konfederacja Grzegorza Brauna. – Tylko w tym wypadku uda się przejąć Senat. W każdym innym będzie to niemożliwe, a celem jest przejęcie Senatu – podkreślił polityk. Jednocześnie Sławomir Mentzen zapowiedział, że „zaraz się zaczną" rozmowy w tej sprawie i będą to dyskusje organizowane przez prezydenta Karola Nawrockiego.

Jeszcze wcześniej, bo 6 lipca br., z prezydentem Karolem Nawrockim spotkał

eprasa.pl 0fbd615457

się wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak. Politycy rozmawiali właśnie o pakcie senackim. Współlider Konfederacji, zapytany o patronat głowy państwa nad przedsięwzięciem, odpowiedział: „Pan prezydent ma stanowisko podobne do mojego". – To znaczy, że dobrze by było, żeby powstała formuła dająca zwycięstwo w Senacie ludziom o prawicowych poglądach – wyjaśnił w rozmowie z portalem DoRzeczy.pl.

CUI BONO?

Projekt polityczny pt. „Prawicowy pakt senacki" byłby pewnym przełomem na polskiej scenie politycznej. Oto wiecznie zwaśniona prawica zwiera szeregi, mimo dzielących ją różnic, by osiągnąć wspólny cel. Klątwa Konwentu Świętej Katarzyny przestałaby działać. Część obserwatorów za taki przełom uważała już rok 2015 i start Prawa i Sprawiedliwości, Suwerennej Polski oraz Porozumienia Jarosława Gowina z jednej listy. Trudno jednak było uznać ówczesny układ za sojusz trzech równoprawnych partnerów. Pozycja partii Jarosława Kaczyńskiego była zdecydowanie najmocniejsza, a dwa pozostałe ugrupowania stanowiły języczek u wagi – niezwykle istotny, biorąc pod uwagę arytmetykę sejmową, ale bez szans na narzucenie swojej agendy Nowogrodzkiej. W dodatku wszystkie siły startowały z jednej listy, a decyzje o ich kształcie zapadały w siedzibie PiS. Teraz mówi się o sojuszu rywalizujących ze sobą ugrupowań, między którymi nie ma aż tak znaczącej dysproporcji poparcia jak w 2015 r. Właśnie nad takim konglomeratem pieczę miałby sprawować Karol Nawrocki.

Ta sytuacja jest wręcz wymarzona dla obecnego prezydenta. Inicjatywa realnie umacnia jego wizerunek autonomicznego gracza na polskiej scenie politycznej. Zastanawiać może tylko fakt, że swoją solidną cegiełkę do kreowania takiego obrazu Nawrockiego dokłada właśnie Konfederacja. Karol Nawrocki nie wziął się znikąd. Wizerunek katechona wyłaniającego się ze wzburzonego morza demoliberalnego chaosu jest przerysowany. Nawrocki, jak sam o sobie powiedział, był po prostu „decyzją prezesa Kaczyńskiego".

Owszem, politycy PiS i sam kandydat w kampanii wyborczej chętnie szermowali określeniem „obywatelski kandydat", ale nie wolno zapominać o drugim członie: „popierany przez PiS".

Cała działalność publiczna i znaczna część aktywności zawodowej Karola Nawrockiego są od lat związane ze środowiskiem postsolidarnościowym. Funkcje dyrektora Muzeum II Wojny Światowej czy prezesa Instytutu Pamięci Narodowej w praktyce oznaczały realizację linii polityki historycznej, która jak najbardziej odpowiadała przekazowi Prawa i Sprawiedliwości.

Mimo to polska alt-prawica widzi w Nawrockim egzemplifikację jej politycznych oczekiwań. W zwycięzcy ostatnich wyborów prezydenckich dopatruje się symbolu – człowieka spoza układu, chłopaka z blokowiska, który nie miał zamiaru bić pokłonów świętościom III RP, a mimo to wygrał. W dodatku były prezes IPN ze swoim akcentowaniem znaczenia tężyzny fizycznej i zamiłowania do boksu wpisuje się w oczekiwany przez wspomniane kręgi wizerunek.

Słychać tu melodię dobrze znaną za oceanem, gdy pada nazwisko J.D. Vance'a. Tyle że obecny wiceprezydent Stanów Zjednoczonych potrafił zyskać wielki rozgłos, działając poza systemem politycznej czy okołopolitycznej rekomendacji. Zanim objął funkcję prawej ręki Donalda Trumpa, zyskał popularność jako autor bestsellerowej „Elegii dla bidoków". Wcześniej, aby podjąć studia, służył w Korpusie Piechoty Morskiej. Rys self-made mana jest tu dużo bardziej wyraźny niż w przypadku Nawrockiego, który od lat orbitował w środowiskach zbliżonych do Nowogrodzkiej.

ALT-PRAWICA WYBACZA WIĘCEJ

Sympatia kręgów polskiej alt-prawicy do urzędującego prezydenta jest tym bardziej zagadkowa, że Karol Nawrocki nie wyrzucił swojego postsolidarnościowego emploi wraz z wygraną w wyborach. Głowa państwa buduje jednak przekaz, w którym naczelną rolę zajmują ludzie tacy jak Anna Walentynowicz, Joanna i Andrzej Gwiazdowie czy Krzysztof Wyszkowski, a nie postacie promowane do tej pory przez Koalicję Obywatelską, a wcześniej Unię Wolności czy Kongres Liberalno-Demokratyczny. To jednak spór z gatunku „Ile Solidarności w Solidarności?". Tymczasem rodzima alt-prawica, której siła rosła na manifestacjach pod hasłem „PiS, PO – jedno zło", nigdy nie akcentowała tego dziedzictwa. Konfederacja i partia Grzegorza Brauna wyrosły głównie z połączenia retoryki konserwatywnej (o tradycjonalistycznym odcieniu) czy też konserwatywno-liberalnej, endeckiej i libertariańskiej, gdzie tzw. etos Solidarności był ciałem zupełnie obcym.

Również Karol Nawrocki nigdy nie działał w takich środowiskach jak Młodzież Wszechpolska, ONR, UPR czy KoLiber, które przed laty tworzyły fundament pod popularność obu Konfederacji. Jego nazwisko nigdy nie było kojarzone z kręgami integrystycznymi czy konserwatywno-liberalnymi, choć wielu polityków czy PiS, czy nawet KO (a raczej jej poprzedniczki – PO) miało takie karty w swoich politycznych biografiach. Można odnieść wrażenie, że alt-prawica jest w stanie więcej wybaczyć Karolowi Nawrockiemu niż Andrzejowi Dudzie, nawet jeśli w wielu sprawach obaj mówią tym samym głosem.

Wszystko wskazuje na to, że politycy Konfederacji podążają za emocjami swojego elektoratu. Ten z kolei widzi w Nawrockim lidera. Bosak i Mentzen powinni jednak zdawać sobie sprawę, że to tendencja samobójcza dla ich środowiska. Środowiska, które już udowodniło, że nie chce być przy PiS jedynie ubogim krewnym, ale pisać swój własny scenariusz polityczny.

To, co Sławomirowi Mentzenowi udało się stworzyć swoją asertywną postawą wobec Jarosława Kaczyńskiego (niekiedy wręcz konfrontacyjną), może szybko rozlecieć się jak domek z kart za sprawą oddania pola Karolowi Nawrockiemu. Urzędujący prezydent udowodnił, że potrafi być bezlitosnym fighterem politycznym, który w kluczowym momencie nie zawaha się zadać ciosu. I po tym ciosie, wyprowadzonym z nieoczekiwanej strony, Konfederacja może podzielić los LPR czy Samoobrony. Jej kapitał polityczny nie jest bowiem przypisany do nazwisk i struktur. Nawrocki zyskuje pełną swobodę, by go zagospodarować – i to nie tylko pod kątem następnych wyborów prezydenckich.

To oddanie własnej niezależności za darmo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457

Jak Palikot z popiołów



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Jeszcze niedawno przekonywał, że jest bezdomny i nie ma co jeść. Dziś Janusz Palikot znów udziela porad biznesowych, poleca inwestycje, szuka winnic i oferuje kolacje za krocie



FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Szukam polskich winnic" – ogłosił niedawno w mediach społecznościowych Janusz Palikot. Były polityk prosił zainteresowanych o kontakt poprzez prywatne wiadomości. Najwidoczniej Palikot nie chce rezygnować z branży, która najpierw przyniosła mu fortunę, a później największe problemy w życiu. Jego alkoholowe imperium upadło, Browar Tenczynek trafił na sprzedaż, a śledczy badają, co stało się z pieniędzmi inwestorów. Czas na winnice.

Jednak nie jest to jedyna propozycja biznesowa człowieka, który jeszcze niedawno przedstawiał siebie jako bankruta pozbawionego własnego domu. Janusz Palikot zaleca swoim obserwującym zainteresowanie się zakupem ziemi w Tajlandii, na Jamajce, w Dominikanie i w Wenezueli. „Jest wiele krajów, które od niedawna albo już od dłuższego czasu są takimi stabilnymi miejscami inwestycji właśnie w ziemię" – przekonuje, dodając, że bez problemu można znaleźć działki, których wartość wzrośnie o 5, 10 czy nawet 20 proc.

ROZSTANIE Z WOJEWÓDZKIM

Wciąż trwa postępowanie, w którym były polityk nie przyznaje się do winy (śledztwo zostało przedłużone do 27 stycznia 2027 r.). Janusz Palikot został zatrzymany przez CBA 3 października 2024 r. i początkowo przedstawiono mu osiem zarzutów, w tym siedem dotyczących oszustwa i jeden przywłaszczenia mienia. Według Prokuratury Krajowej podejrzani mieli doprowadzić ponad 5 tys. osób do niekorzystnego rozporządzenia majątkiem w związku z emisją akcji oraz kampaniami pożyczkowymi. Śledczy twierdzą, że inwestorzy otrzymywali nieprawdziwe informacje dotyczące zarówno wykorzystania pozyskanych pieniędzy, jak i rzeczywistej kondycji finansowej spółek. Prokuratura szacowała wartość szkody objętej tym wątkiem na 70 mln zł. Ostatecznie liczba zarzutów wzrosła do dziewięciu. W areszcie biznesmen spędził niemal cztery miesiące. Wyszedł w styczniu 2025 r., po wpłaceniu 2 mln zł poręczenia. Dodatkowo sąd ogłosił upadłość Manufaktury Piwa, Wódki i Wina.

Według danych przekazanych przez syndyka w postępowaniu zgłoszono ok. 1 400 wierzycieli, których roszczenia przekraczają 240 mln zł. Wśród nich są inwestorzy, kontrahenci i byli pracownicy. Majątek pozostały po „imperium" wart jest wielokrotnie mniej. Browar Tenczy-

eprasa.pl 0fbd615457

nek wraz z wyposażeniem wystawiono za 23,7 mln zł, pierwsza próba sprzedaży nie zakończyła się powodzeniem.

Spektakularnie zakończyła się „przyjaźń" Palikota z Kubą Wojewódzkim, który reklamował produkty alkoholowe browaru. Showman z TVN odciął się od kolegi, twierdząc, że nie wiedział nic o nieprawidłowościach. Obecnie swoje pieniądze próbuje odzyskać długa kolejka wierzycieli Palikota. On sam zachowuje się tak, jakby sprawy nie było.

Palikot niemal od razu po wyjściu z aresztu rozpoczął medialną ofensywę. Udzielał wywiadów, występował u youtuberów, opowiadał o więzieniu, rozpadzie swojego życia i utracie majątku, zawsze podkreślając, że jest niewinny. Żalił się, że nie ma własnego domu i zdarza mu się, że nie ma co jeść. „– Mocno to przeżyłem. Więzienie było dla mnie szokiem. Człowiek nagle z pięknego domu i z superżycia ląduje po prostu w pomieszczeniu, w którym odpadają tynki, w którym śmierdzi, w którym prycza ma 120 lat. Ja się na niej nie mieszczę, żeby się rozprostować, to nogami albo głową wjeżdżam na ścianę. To taka totalna ruina życia – mówił „Faktowi". Przekonywał też, że został „odarty z godności", pozbawiony majątku i ma „złamane życie", a także opowiadał, że podczas pobytu za kratami miał problemy ze zdrowiem i pięciokrotnie przebywał w szpitalu, bo podejrzewano u niego zawał.

„– Więźniowie np. codziennie wieczorem o 19, wszyscy, te kilkaset osób, krzyczą „k..wo, pedofilu, powieś się". I to jest codziennie potworny wrzask. Nie da się tego wytrzymać, bo to jest jak w średniowieczu przy ścinaniu głowy" – żalił się Palikot.

POMIDOR PALIKOTA

W tamtym czasie prosił internautów o postawienie mu wirtualnej „kawy", czyli wpłacenie drobnej kwoty na dalszą działalność. Szybko wyszło na jaw, że upadły krezus przedstawiający się jako bezdomny przez pewien czas korzystał z gościny w pięciogwiazdkowym Hotelu Warszawa. „– Jak ja mam nie bywać wśród milionerów, skoro chcę wrócić do biznesu?" – pytał Palikot, nie widząc w swoim zachowaniu sprzeczności.

Nie czekał z powrotem. Najpierw zaczął sprzedawać „lekcje biznesu". Pięciogodzinne spotkanie z Palikotem kosztowało 5 tys. zł. Były polityk zapewniał, że klienci wychodzą zaskoczeni i zadowoleni, bo podaje im na tacy proste rozwiązania skomplikowanych problemów. Kolejne w ofercie „magika z Biłgoraja" są kolacje, podczas których gotuje on dla gości. Reporterka portalu Jawny Lublin umówiła się na „brunch z żurem biłgorajskim". Cena? 700 zł od osoby. „W moim mieszkaniu w centrum Warszawy. Podaję 6–8 dań. Gotuję przy stole, gdzie siedzimy" – reklamował się Palikot.

Jednego trudno mu odmówić, umiejętności budowania widowiska wokół siebie. Człowiek, który jeszcze niedawno opowiadał o utracie 180 mln zł, zaczął sprzedawać możliwość wysłuchania opowieści o tym, jak radzić sobie z sukcesem i porażką.

Założyciel partii Twój Ruch w marcu uruchomił w serwisie YouTube kanał Jestem Palikot. Można znaleźć tam wywiady z Krzysztofem Rutkowskim, Lechem Wałęsą, Agnieszką Holland czy Bronisławem Komorowskim. Nikt z tego grona nie poczuł niestosowności legitymizowania człowieka, który jest winien innym ludziom grube tysiące.

Serwis Jawny Lublin dotarł do oferty kierowanej do potencjalnych inwestorów. Palikot porównywał swój projekt do Kanału Zero, Żurnalisty czy Szalonego Reportera. Przewidywał, że za kilka miesięcy przychody mogą sięgać setek tysięcy złotych miesięcznie, a w przyszłości kanał miał przekształcić się w telewizję internetową. Potrzebował, jak to Palikot, tylko kapitału. Za 1,2 mln zł oferowano inwestorowi możliwość objęcia połowy biznesu. Można było również zacząć od mniejszej kwoty (60 tys. zł), a następnie zwiększyć zaangażowanie. Ciekawie brzmi odpowiedź Janusza Palikota na pytanie reporterki o ryzyko związane z wierzycielami i komornikami. „Nie ma ryzyka, firma jest na syna i jest bezpiecznie" – zapewniał. Według KRS 90 proc. udziałów spółki Dziękuję posiadał wówczas syn Palikota Franciszek.

Były polityk snuł bardzo ambitne prognozy. „Na teraz zarobiłem 14 tys., ale to pierwszy miesiąc. A duże dochody się pojawią po 3–4 miesiącach" – przewidywał. Przekonywał też, że po trzech latach firma będzie warta ok. 100 mln zł. Pamiętajmy: to wszystko działo się w czasie, gdy wierzyciele jego poprzedniego biznesu nadal czekali na swoje pieniądze.

Janusz Palikot nie odnalazł się jednak w roli podcastera, bo częściej niż wywiady publikuje kilkuminutowe przepisy kulinarne. Wszystko utrzymane w nonszalanckim stylu – proste produkty, najwyższa jakość, niewielki wysiłek włożony w przygotowanie. Internetowym memem stał się najsłynniejszy przepis Palikota, czyli pomidor z cytryną. „Ludzie zatrzymują mnie na lotnisku, na dworcu, na korytarzu w hotelu i mówią: »Robię pańskiego pomidora, jest absolutnie genialny«" – opowiada.

POPIÓŁ BEZ DIAMENTÓW

Biznesmen nie ogranicza się do kuchni. Aktywnie komentuje krajową i światową politykę. Jego zdaniem Donald Trump miał porozumieć się z Xi Jinpingiem i Władimirem Putinem w sprawie nowego podziału stref wpływów na świecie. Były poseł snuje wizję, w której Putin miałby dostać wolną rękę na Ukrainie, Xi – wobec Tajwanu, a Trump – na Bliskim Wschodzie i w Wenezueli. „To ewidentna zdrada Trumpa wobec Polski i całej UE" – przekonuje. W innym nagraniu Palikot stwierdza, że naiwnością jest wierzyć, że w razie zagrożenia uruchomiony zostanie art. 5 traktatu północnoatlantyckiego, a Amerykanie ruszą Polsce z pomocą. Podkreśla, że zamiast zacieśniać sojusz z USA, należy jeszcze pogłębiać współpracę unijną, która powinna docelowo zastąpić naszego głównego partnera zza oceanu. Z kolei po medialnych doniesieniach o rozmowie wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza z przywódcą USA stwierdził: „To skandal, jeśli rozmowa Trumpa z Kosiniakiem i propozycja zamachu stanu w Polsce to prawda. Ale też już jest jasne, jak Nawrocki został prezydentem!".

Choć jego kanał na YouTube ma zaledwie nieco ponad 11 tys. subskrybentów, Janusz Palikot nie rezygnuje z wielkich planów. „W Polsce nie ma niezależnych mediów. Czas to zmienić. Jeśli myślisz tak samo, to napisz. I zostań wspólnikiem. Zróbmy popiół i diament. Im popiół, nam diament" – zachęcał niedawno, na co jeden z internautów odpowiedział: „Popiół to zrobiłeś z ludzkich oszczędności".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457

Nieznośna lekkość pióra



Wiesław Chełminiak

Jej imieniem nazwano ser pleśniowy, podobiznę umieszczono na znaczkach pocztowych. Zaborcza miłość trampoliną do nieśmiertelnej sławy? Takie rzeczy tylko nad Sekwaną

Francuzi lubią być rycerzami spraw przegranych. Mimo klęski, którą w wojnie o kulturę zadali im Anglosasi, stawiają opór ekspansji cyfrowych gigantów z USA. Tak samo zaciekle bronią przed zapomnieniem własnych luminarzy. Urodzoną 400 lat temu madame de Sévigné tytułują gigantem literatury, choć owa dama nie popełniła żadnej powieści ani poematu. Zostały po niej jedynie listy.

RĘKOPISY TEŻ PŁONĄ

Nie oszukujmy się, ten jubileusz może być pożegnaniem. Sztuka epistolarna odeszła do lamusa, podobnie jak sztuka pięknej konwersacji. Przepadły razem z salonem, snobizmem oraz innymi reliktami epoki poprzedzającej triumf demokratycznego chamstwa. Dziś en vogue są internetowe bluzgi tudzież równanie do najniższego poziomu. De Sévigné dla Francuzów jest jednym z symboli wielkiego wieku, jak nazywają XVII stulecie. Współczesna Kartezjusza, Pascala, Moliera, de La Fontaine'a, Lullego, Mansarta, Le Nôtre'a i Le Bruna wywalczyła sobie nieśmiertelność piórem. Jak na ironię, myśl o publikacji listów nigdy nie zaświtała jej w głowie. Stąd swobodny styl, całkiem odmienny od pompatycznej maniery epoki Króla Słońce.

Autorzy jubileuszowych wystaw, chcąc dotrzeć do młodzieży, nazywają markizę influencerką. Trzeba przyznać, że coś jest na rzeczy. Gwiazda paryskich salonów zza grobu nadal wpływa na rodaków. Czy dlatego, że jej korespondencja dostarcza bezcennej wiedzy o kulturze, polityce i obyczajach kraju, który długo przewodził Europie? A może do lektury zachęca to, że nasza sawantka nie stroniła od plotek, opisywania dworskich intryg tudzież to-



FOT. MUSÉE CARNAVALET - HISTOIRE DE PARIS

eprasa.pl 0fbd615457

warzyskich sensacji? Bynajmniej. Epistoły sprzed ponad trzech wieków figurują na liście szkolnych lektur, ponieważ ich autorka była mistrzynią frazy. „Zwięzły, dowcipny i obrazowy" – tak określa język madame de Sévigné Michał Mroziński, tłumacz, tudzież autor wstępu do polskiego wydania „Listów".

Historykom literatury markiza jawi się jako osoba z natury pogodna i sympatyczna. Często ironizuje, ale nigdy nie popada w sarkazm. Jeszcze żyła, gdy listy zaczęto kopiować, co notabene uratowało je od zagłady. Zdewociała wnuczka sawantki, chcąc raz na zawsze uniemożliwić ich publikację, cisnęła wydobyte z kufra rodzinne papiery do ognia i wymogła na swym spadkobiercy, by dokończył dzieła zniszczenia, gdy tylko odzyska listy powierzone osobom postronnym. Życzeniom Pauline nie stało się zadość, wciąż odkrywano kolejne odpisy. Sześć opasłych foliałów wypatrzył w sklepiku ze staroci prawnik z Dijon, co okazało się przełomowym odkryciem. Współcześni badacze mają do dyspozycji 1120 listów. Szacuje się, że de Sévigné napisała ich dwa razy tyle.

RYBY SIĘ SPÓŹNIŁY

„Bogu dzięki, mamy Hôtel de Carnavalet. To wspaniała sprawa: wszyscy się tam pomieścimy i będziemy mieszkać z odpowiednią godnością. Skoro nie można mieć wszystkiego, trzeba obejść się bez parkietów i modnych małych kominków, ale za to będziemy mieli piękny dziedziniec, piękny ogród i wspaniałą okolicę" – informowała córkę jesienią 1677 r. Wspomniany pałac znajduje się w Marais, dzielnicy Paryża ulubionej przez błękitnokrwistych Francuzów. Jej sercem jest Place Royale (dzisiejszy Plac Wogezów), gdzie Marie de Rabutin-Chantal, przyszła madame de Sévigné, się urodziła. Ta część metropolii uniknęła kilofów pasji XIX-wiecznych burzymurków, duchy arystokratów nadal mogą czuć się swojsko.

Hôtel de Carnavalet mieści Muzeum Historii Paryża. W sali 21, poświęconej najsłynniejszej lokatorce, można podziwiać biurko, przy którym pisała listy, marmurowe popiersie, słynny portret autorstwa Claude'a Lefèbvre'a oraz rąbek niebieskiej sukni, w której została pochowana. Z okazji jubileuszu wystawę wzbogacono o miejskie weduty, typowe dla epoki Ludwika XIV artefakty oraz wizerunki ówczesnych protagonistów płci obojga.

Są wśród nich konterfekty metres Króla Słońce. Markiza podziwiała urodę i rozum madame de Montespan, ale trzymała się od słynącej z kapryśnego charakteru faworyty z daleka: „Przebywanie w jej towarzystwie to spacer po polu minowym". Lepsze zdanie miała o madame de Maintenon, która wzięła pod pantofel starzejącego się monarchę. De Sévigné była osobą przezorną. Zdając sobie sprawę, że korespondencja może trafić w niepowołane ręce, wymyślała VIP-om pseudonimy. De Maintenon to „La Solidor" (Znakomita) lub po prostu „ona". Król figuruje w listach jako „Mieszkaniec", wszechwładny minister finansów Colbert jako „Północ", od chłodnego usposobienia.

Sztuka epistolarna odeszła do lamusa, przepadła razem z innymi reliktami epoki poprzedzającej triumf demokratycznego chamstwa pięknej konwersacji

Niedyskrecji naszej bohaterki zawdzięczamy wiedzę o dworskich komerażach i sensacjach. Ujawniła np. okoliczności zgonu François Vatela, mistrza ceremonii na zamku w Chantilly. Podczas trzydniowej, wspaniałej uczty wydanej przez księcia Kondeusza na cześć Ludwika XIV, zabrakło pieczeni przy dwóch (podrzędnych zresztą) stolikach. Fajerwerki się nie udały z powodu mgły, a następnego dnia rano nie dotarła na czas dostawa świeżych ryb morskich. Tego już było za wiele. Vatel, jak na człowieka honoru przystało, rzucił się na własną szpadę. Zdegustowany Król Słońce oznajmił, że pięć lat zwlekał z wizytą w Chantilly, bo wiedział, ile tym przysporzy kłopotów.

BUNTOWNIKÓW POWIESIĆ!

Madame de Sévigné przyszła na świat jako Marie de Rabutin-Chantal. Po mieczu wywodziła się ze starego szlacheckiego rodu z Burgundii. Ojciec, zmuszony podreperować stan finansów, poślubił bogatą mieszczkę. Osiągnąwszy wiek chrystusowy, zginął na wojnie z Anglikami. Matka także zmarła młodo, lecz jej rodzina zadbała o sierotę. Babką Marie była święta Jeanne de Chantal, założycielka zakonu wizytek. Stryj został biskupem, a wuj opatem, jednak dziadkowie zapewnili podopiecznej świeckie wykształcenie. Uroda panny i nadzieja na spory posag przyciągały absztyfikantów jak magnes. Wybór opiekunów padł na Bretończyka. Henri de Sévigné miał zamek, herb i uwielbiał się pojedynkować. Trzeba było przesunąć termin ślubu, bo pan młody musiał się wykurować z ran, odniesionych w kolejnym honorowym starciu.

Siedem lat później Henri spotkał lepszego od siebie szermierza i rywala o względy popularnej kurtyzany. Marie została wdową dokładnie w swoje 25. urodziny. Z dwojgiem dzieci przeniosła się do Paryża. Inteligentna, bystra i gładkolica rychło zawojowała stołeczne salony. Ceniąc sobie stan wolny, unikała wikłania się w romanse. Odporna na blichtr dworu, stroniła od wizyt w Wersalu. Mieszkała na przemian w Marais i odziedziczonej po mężu posiadłości Les Rochers w Bretanii. Zamek przetrwał, dziś mieści muzeum, chlubiące się ogrodem zaprojektowanym przez samego Le Nôtre'a tudzież pełnopostaciowym konterfektem markizy, wykonanym tuż po jej ślubie z panem de Sévigné.

W pobliskim Vitré na początku XX w. wzniesiono okazały posąg markizy z brązu. Miejscowi powitali monument, delikatnie mówiąc, bez entuzjazmu. Dowiedzieli się bowiem z listów, co wielka dama z Paryża sądziła o ich małej ojczyźnie. Raczyła np. zauważyć, że „powietrze w Vitré zabija każdego". Wieść o proteście mieszczan przeciwko królewskim podatkom skwitowała zaś słowami: „Warto by ich powiesić, żeby nauczyli się rozmawiać". Gorsze zdanie miała tylko o lekarzach. Zwyczaj puszczania krwi pacjentom napawał ją zgrozą, ze zrozumieniem odnosiła się natomiast do stawiania diagnoz na podstawie wyglądu ekskrementów. Z korespondencji

eprasa.pl 0fbd615457

co rusz wyłania się straszliwe oblicze barokowej medycyny. Pani de la Fayette walczyła z anemią, jedząc bulion ze żmii. Markiza, cierpiąca na reumatyzm, wybrała się do Vichy, gdzie w ramach kuracji potraktowano ją gorącym prysznicem. Komentowała to w swoim stylu: „Tak sobie wyobrażam czyściec".

KIEPSKI JAK KAWA

Bez ryzyka popełnienia błędu można założyć, że najsmutniejszym wydarzeniem w życiu madame de Sévigné była rozłąka z ukochaną (i rozpieszczoną) córką. Osobiście zajmowała się edukacją Françoise-Marguerite. Z dość mizernym skutkiem, gdyż latorośl nie wyrosła na intelektualistkę. Wydawszy ją za hrabiego Grignan, markiza sądziła, że wszystko zostanie po staremu. Tymczasem zięć został gubernatorem Prowansji i wyprowadził się ze stolicy, zabierając ze sobą małżonkę. Teściowa najpierw wpadła w rozpacz, potem złapała za pióro.

Dziś en vogue są internetowe bluzgi tudzież równanie do najniższego poziomu

Przez 20 lat, dwa razy w tygodniu donosiła Françoise-Marguerite, co w paryskiej i wersalskiej trawie piszczy. Dostarczała jej przepisów na modne stroje oraz koafiury. Recenzowała kościelne kazania, sztuki teatralne, koncerty, tudzież operowe spektakle. Dzieliła się refleksjami o życiu: „Młodość jest taka urocza, że gdyby jeszcze serce i umysł dorównywały wdziękom ciała, trzeba by ją wręcz uwielbiać, ale kiedy człowiek nie jest już młody, wtedy właśnie powinien się doskonalić i zyskiwać na zaletach, skoro traci na wdziękach. Od dawna zastanawiałam się nad tym i dlatego właśnie chcę stale pracować nad moim umysłem, duszą, sercem, uczuciami". Napisała to, mając lat 45.

Córka była obsesją markizy. Syn Charles był zawsze na drugim miejscu, co znosił ze stoickim spokojem. Przyjaciele? Twierdziła, że trzeba miłować ich razem z wadami, z których największą jest chorowitość. Listę otwierają książę François de La Rochefoucauld, filozof i autor słynnych „Maksym", minister spraw zagranicznych Simon Arnauld de Pomponne i słynny pamiętnikarz Jean-François Paul de Gondi, lepiej znany jako kardynał de Retz. Spośród literatów nasza bohaterka ceniła Moliera, choć ten w sztuce „Uczone białogłowy" kpił z salonowych snobów. Przedkładała Corneille'a nad Racine'a. O tym ostatnim powiedziała, że jego twórczość przeminie tak samo jak moda na picie kawy. Cóż za pomyłka!

PŁEĆ LITERATURY

Chociaż madame de Sévigné pilnowała się, by w listach nie krytykować Króla Słońce, miała doń żal o dożywotnie uwięzienie nadintendenta finansów Nicolasa Fouqueta. Szczegółowo relacjonowała proces oskarżonego o nadużycia ministra, będąc pod wrażeniem jego błyskotliwej obrony. Brzydził ją fałsz dworaków. Gdy monarcha na starość zdewociał, napisała złośliwie, że w Wersalu „nawet młodzieńcy udają, że wolą różaniec od gry w karty".

Autorzy ekspozycji w Hôtel de Carnavalet, posłuszni duchowi czasów, rzucili snop światła również na inne protagonistki wielkiego wieku. Poczynając od madame de Maintenon, która odrzucając fałszywą skromność, oznajmiła: „Kobiety decydują o wszystkim, zabierają się do oceniania książek, kazań, rządów, życia duchowego i doczesnego". Ludwik XIV, największy egomaniak, jakiego znała nowożytna historia, łagodniał przy niej jak baranek.

Drugą damą, z którą wolał nie zadzierać, była Anne-Geneviève de Longueville, siostra Wielkiego Kondeusza, faktyczna przywódczyni Frondy. Liściki, w których pouczała papieża, tudzież jej miłosną korespondencję z księciem de La Rochefoucauld opublikowano na fali zainteresowania sztuką epistolarną czasów ancien régime'u. Kuratorzy wystawy nie ośmielili się też zignorować Madeleine de Scudéry, autorki „Klelii", 10-tomowego romansidła, które naonczas zachwycało francuskojęzyczną elitę Europy, na czele z królem Janem III Sobieskim i jego umiłowaną Marysieńką.

De Scudéry, panna niezamężna, w trosce o reputację sygnowała swoją twórczość nazwiskiem brata. Jej imienniczka i konkurentka, hrabina Marie-Madeleine de la Fayette, publikowała pod pseudonimem, chociaż powieść „Księżna de Clèves", uważaną dziś za dzieło pomnikowe, wydała anonimowo. Wtajemniczeni (do których należała madame de Sévigné) oczywiście znali prawdę, lecz Akademia Francuska potrzebowała jeszcze 300 lat, by przyjąć do swego grona niewiastę.

PODZWONNE DLA SAWANTKI

„Znajduję się w kłopotliwym położeniu; gdy wkraczałam w życie, nie pytano mej zgody; muszę kiedyś odejść, to mnie gnębi; jakże bowiem odejdę? Którędy? Jakimi drzwiami? Kiedyż to będzie? W jakim usposobieniu? Czy tysiączne cierpienia sprawią, że umrę w rozpaczy? Czy umysł mój przytomność utraci? Czy umrę w wypadku? Jakże stanę przed Bogiem? Co też mu przedstawię?" – zastanawiała się markiza w jednym z listów do córki. Wiosną 1694 r. zaniepokojona stanem zdrowia Françoise-Marguerite pojechała do Prowansji. Pobyt się przedłużył i w końcu sama się rozchorowała. Organizm 70-letniej kobiety nie poradził sobie z ospą. Przy łożu umierającej zabrakło córki. Może bała się zarazić, a może znowu się o coś pokłóciły?

Lwicę paryskich salonów pochowano w krypcie kolegiaty Saint-Sauveur w Grignan. Marmurowa płyta nagrobna znajduje się tuż przed ołtarzem. Po szczątkach, zbezczeszczonych w czasie rewolucji, słuch zaginął. W ramach ekspiacji plac przed ratuszem ozdobiono pomnikiem siedzącej markizy z piórem w ręku. Château de Grignan, w którym spędziła ostatnie miesiące życia, funkcjonuje jako muzeum. Jubileusz obchodzi się tu huczniej niż w stolicy. We wrześniu zamkowe tarasy wypełnią przebierańcy, uczestnicy balu dworskiego w stylu Króla Słońce. Październik upłynie na warsztatach literackich, pojedynkach na słowa, kaligrafii oraz „czytaniu performatywnym". W planach jest również gra terenowa pod tytułem: „Afera Nicolasa Fouqueta".

Końcowym akordem obchodów będą wystawy „Madame de Sévigné i moda" w Grignan i „Wielki Wiek dusz" w Muzeum Sztuki Sakralnej w Mours-Saint-Eusèbe. Polska, kraj niemal całkowicie wyzwolony od francuskich wpływów, ma za duży kłopot z promowaniem własnej kultury, by jeszcze zajmować się cudzą. Wybór „Listów" ukazał się 45 lat temu. Żadne wydawnictwo nie planuje wznowienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 0fbd615457



Z Martą Orzeszyną, autorką książek o stolicy Francji
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Paryż nigdy nie ma końca



Antoine Cierplikowski, najsłynniejszy fryzjer świata, będzie bohaterem wystawy w Instytucie Polskim w Paryżu w ramach sezonu kulturalnego Polska – Francja 2027, współorganizowanej przez Instytut Polonika FOT. NAC

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Paryż z lat 1919–1939 to najefektywniejszy okres w dziejach miasta?

MARTA ORZESZYNA: Wydaje mi się, że belle époque była efektywniejsza w budowaniu wizerunku nowoczesnego miasta. Napoleon III i baron Haussmann z konsekwencją realizowali marzenie Bonapartego o najpiękniejszej stolicy świata. Szerokie bulwary, aleje, ogrody, parki, proporcjonalne kamienice, jasne mury, wieża Eiffla, ale też kanalizacja, czyste ulice, szerokie chodniki bez płynących ścieków. Dokonano wtedy ogromnego wysiłku i poświęcono wiele, by w tak krótkim czasie stworzyć nowy Paryż, który zaczął przyciągać tłumy.

Natomiast lata 20. i 30. były, moim zdaniem, najefektowniejszym okresem. Wizja rozbawionego Paryża, tzw. les années folles (szalone lata), wpłynęła na masową wyobraźnię, czyniąc z Paryża miasto idealne. A stolica Francji choć piękna i ciekawa, do ideałów nie należy i w tym też tkwi jej niepodrabialny urok.

W jakiej dziedzinie sztuki względnie nauki ten czas zapisał się najtrwalej?

Waham się między sztukami plastycznymi – to przecież czas art déco – a literaturą. Dla mnie ważniejszy stał się Paryż literacki. Marcel Proust, Louis Aragon, Jean Cocteau, Maurice Sachs, Louis-Ferdinand Céline, André Breton, Gertrude Stein, Blaise Cendrars, Irène Némirovsky, Catherine Pozzi, Mireille Havet, Colette, Janet Flanner, F. Scott Fitzgerald, Julien Green. Patrzę na grzbiety książek w mojej bibliotece, którą przed ponad półwieczem zaczęła budować moja mama, nauczycielka języka polskiego, ale również frankofilka. To ona podsunęła mi „Ruchome święto" Ernesta Hemingwaya. Książkę, dzięki której rozpoczęła się moja fascynacja Paryżem. Wiem też z rozmów z czytelniczkami i czytelnikami, że dla wielu osób zainteresowanie tym okresem wynika właśnie z oczarowania malarstwem Tamary Łempickiej, awangardowymi obrazami i tkaninami Soni Delaunay, meblami Jean-Michela Franka, muzyką Coe'la Portera, sukniami Elsy Schiaparelli, perfumami Coco Chanel. Woody Allen w filmie „O północy w Paryżu" tłumaczy fenomen tego okresu. Literatura, sztuki plastyczne, dekoracyjne, muzyka, moda to drogi prowadzące do Paryża.

Wtedy doszło również do zmiany wizerunku kobiet?

Pierwsza wojna światowa wymusiła zmiany w ich wyglądzie. Wygodne ubrania bez gorsetów czy falbanek i krótkie fryzury lepiej sprawdzały się w fabrykach i za kierownicami samochodów, gdy kobiety zastąpiły mężczyzn walczących na froncie. Na chodniku przed swoim salonem Antoine Cierplikowski ścinał włosy pielęgniarkom, żeby ustrzec je przed wszawicą panującą w szpitalach polowych.

Początkowo niewiele było frywolności i czystej mody w tych radykalnych przemianach. Chłopczyca wolna i świadoma swych potrzeb, jaką opisał Victor Margueritte, narodziła się z trudnych wojennych doświadczeń jej starszych sióstr, zmuszonych do samodzielności. Gdy nastał pokój, kobiety nie chciały wracać do swoich tradycyjnych ról. A mimo to Francuzki w przeciwieństwie do nas, Polek, nie otrzymały praw wyborczych w 1918 r. Musiały poczekać do końca drugiej wojny światowej. Owszem, społeczeństwo stało się bardziej tolerancyjne, przymykając oko na krótkie włosy i sukienki bez gorsetów, na noszenie spodni, na seks bez zobowiązań i papierosy, nawet na jazdę samochodem i pracę zarobkową, ale prawo do decydowania o sprawach istotnych dla kraju, do wybierania władz? Nie tak prędko, moje panie!

Radykalnie przepoczwarzyła się również obyczajowość, chociaż w tym zakresie prymat należał raczej do Berlina okresu Republiki Weimarskiej...

Rzeczywiście, Berlin był mocnym konkurentem Paryża w tamtym czasie, ale według mnie brakowało mu zawsze trudnej do opisania, acz wyraźnie wyczuwalnej paryskiej finezji w łamaniu konwenansów. Berlin ciął tasakiem, Paryż nożykiem do kopert. W Berlinie nie było granic, a Paryż dbał o pozory, karmił się niedomówieniami. Operował całym systemem sekretnych miejsc i kodów, którymi porozumiewali się zainteresowani odkrywaniem grzesznego oblicza miasta. Stosował tajemne rytuały na początku dla zabawy, z czasem dla

eprasa.pl 0fbd615457



MARTA ORZESZYNA „PARYŻ. LATA 20., LATA 30." REBIS 2026

bezpieczeństwa. Nawet erotyczne anonse w prasie brzmiały jak niewinnie ogłoszenia i tylko koneserzy wiedzieli, że np. nauczycielka angielskiego oznacza panią lubiącą eksperymenty sadomasochistyczne.

Niestety rodzący się faszyzm zniszczył życie towarzyskie Berlina i poważnie wpłynął na to paryskie. Od roku 1933 lokale znane ze swobodnej atmosfery seksualnej opustoszały. Ich dawni bywalcy woleli bawić się w komfortowym zaciszu apartamentów, ewentualnie na tylnej kanapie automobilu zaparkowanego w Lasku Bulońskim. Nikt nie chciał ryzykować, że jego nazwisko trafi do policyjnych raportów, wykorzystywanych do szantażu.

Czy w tym czasie nad Sekwaną widoczni także byli nasi krajanie?

Polacy zjeżdżali tu tłumnie od początku XX w. w poszukiwaniu lepszego życia, wykształcenia i nowych możliwości. Maria Skłodowska-Curie, Antoine Cierplikowski, Mojżesz Kisling, Tamara Łempicka, jej siostra Adrianna Górska, Sara Lipska, Mela Muter, Alicja Halicka, Ludwik Marcoussis, Alfred Savoir, Leopold Zborowski i tysiące innych znaleźli w Paryżu swoje miejsce, stając się częścią polsko-francuskiej historii. Przyjmowali francuskie obywatelstwo, ale większość z nich nigdy o Polsce nie zapomniała. Jednak to Paryż otworzył przed nimi, jak i przed niezliczonymi cudzoziemcami, perspektywy, których nie odnaleźliby gdzie indziej. Dla artystów była to nauka od najlepszych twórców, wystawianie na salonach sztuki i wymarzony rynek zbytu. Bajecznie bogaci Amerykanie chętnie wydawali pieniądze zarobione na budowie kolei czy hodowli bydła na dzieła sztuki sprowadzane prosto z Paryża.

Głośne były skandale z udziałem Polaków, inżynier Zbigniew Dunikowski, kuzyn rzeźbiarza Xawerego, twierdził, że potrafi produkować złoto z piasku, a Maria Jeleniewicz z Białegostoku, udająca aktorkę Marię Lani, namówiła kilkudziesięciu najznamienitszych paryskich artystów do wykonania jej portretów, po czym czmychnęła z płótnami sygnowanymi tak wielkimi nazwiskami.

Jestem szczególnie dumna, że to Antoine Cierplikowski, najsłynniejszy fryzjer świata, będzie bohaterem wystawy w Instytucie Polskim w Paryżu w ramach sezonu kulturalnego Polska – Francja 2027 współorganizowanej przez Instytut Polonika.

Jak na metropolię wpłynął światowy kryzys ekonomiczny?

Wielki krach nie od razu był odczuwalny w Paryżu. Francja miała wówczas silnego franka i gospodarkę niezależną od rynku międzynarodowego. Pierwsze oznaki kryzysu pojawiły się w 1931 r. Wzrosła liczba bezdomnych i bezrobotnych, którzy zamieszkiwali na paryskich ulicach, czekając na propozycję pracy. Pożywienia i ubrań szukali w koszach na śmieci. Ci, którzy pracę utrzymali, ledwie wiązali koniec z końcem, marząc o odpoczynku i czasie dla rodziny. Obawiali się poskarżyć na złe warunki zatrudnienia i niskie wynagrodzenia, żeby nie skończyć na bruku. Frustracja wzrastała, przechodząc w masowy bunt w 1936 r. Fala strajków doprowadziła do historycznych zmian w prawie pracy, w tym do pierwszych płatnych dwutygodniowych urlopów.

Jednocześnie elity nie uciekały od beztroski, reperując reputację działalnością charytatywną. Bale i rauty odbywały się zawsze na rzecz nobliwych celów. Modne stało się również zapraszanie na salony artystów, zamawianie portretów u tych biedujących na Montparnassie, a nawet pokazywanie się z nimi w artystycznych kawiarniach. Mariaż pieniądza ze sztuką zadawał szyku. A że było to życie oderwane od rzeczywistości? Od Paryża oczekuje się marzeń, nie rzeczywistości. Tak jest i dzisiaj. W pierwszej dzielnicy Paryża, gdzie mieszkałam 10 lat, bezdomni śpią pod witrynami luksusowych sklepów.

Większość Paryżan nie zauważyła zwiastunów drugiej wojny światowej?

Zwykli Paryżanie odczuwali niepokój lat 30. Bali się wojny, ponieważ niedawno wyszli z niej poranieni fizycznie i psychicznie jak nigdy dotąd. Odsuwali od siebie myśl o zagrożeniu. Poza tym, jak wiele innych nacji, wierzyli w siłę swojego państwa. Przecież niedawno Francja wyszła zwycięsko z wielkiej wojny. Pierwsza wojna światowa dla Polaków zakończyła się odzyskaniem niepodległości, dla Francuzów traumą nieprzepracowaną do dziś.

Marcie Orzeszynie bliżej do Paryża z lat belle époque czy interbellum?

Trudno jest mi wybrać jedną z tych epok. Obie mnie fascynują z różnych powodów. Nieco bardziej lubię lata 20. i lata 30. ze względu na inną moją książkę, czyli na biografię Antoine'a Cierplikowskiego, którą niedawno wydałam we Francji w renomowanym wydawnictwie Flammarion (wydanie polskie Rebis). Książka została bardzo dobrze przyjęta przez media, tak prasę jak i popularne programy telewizyjne. Udzieliłam wywiadu „Le Figaro", pisano o niej także na łamach „The Times" i „La Repubblica". Dziennikarze chwalili książkę za nowatorski portret epoki i Paryża, obserwowanego z pozycji polskiego emigranta, który podbija miasto swoich marzeń. Takie komplementy są dla mnie cenne, bo to duże wyzwanie nauczyć Paryżanina czegoś nowego o jego mieście.

Ciąg dalszy pani cyklu o stolicy Francji nastąpi?

Tak, kwerenda we francuskich archiwach trwa, dobrze mnie tam znają. Jedna z archiwistek pomaga mi już 12 lat! Niedługo zacznę pracę nad kolejną częścią serii o historii stolicy Francji. Tom trzeci obejmie lata 1939–1968. Kończę teraz biografię Sary Lipskiej, w oczekiwaniu jeszcze jedna książka z pikantnymi paryskimi wątkami. Grafik pisarki wypełniony na wiele lat, a po drodze filmy o Antoinie Cierplikowskim (dokument i fabuła), myślimy z moją agentką nad adaptacją teatralną tej historii. Mam nadzieję na częste podróże do Paryża i kolejne zwycięstwo Paris Saint-Germain w Lidze Mistrzów, a Igi Świątek na kortach Rolanda Garrosa. Paryż nigdy nie ma końca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

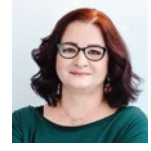

Marta Orzeszyna *– znawczyni kultury francuskiej. Przez 10 lat mieszkała w Paryżu. Po powrocie do Polski współpracowała z Małgorzatą Gutowską-Adamczyk przy bestsellerowej powieści „Podróż do miasta świateł". Jest autorką biografii Antoniego Cierplikowskiego „Antoine de Paris. Polski geniusz światowego fryzjerstwa". Tej jesieni ukazała się jej książka pt. „Paryż lata 20., lata 30. Taniec na wulkanie".*

eprasa.pl 0fbd615457



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Kumple czy bracia?



★★★☆☆☆

MINISERIA „BRACIA” USA 2026

wyst. Woody Harrelson, Matthew McConaughey, Natalie Martinez, dystr. Apple TV+

Jak zrobić coś z niczego, to znaczy z plotki (jak głosi napis otwierający każdy odcinek: „oparte na prawdziwej plotce”). Plotka zaś głosi, że między małżeństwami (zresztą z tym samym mężczyzną) matka Matthew McConaugheya poznała się przelotnie z ojcem Woody'ego Harrelsona. Czy zatem aktorzy mogą być braćmi? Tego już wprost nie powiedziała.

Serial „Bracia” daje okazję obu gwiazdorom, by zagrać przerysowane wersje samych siebie. McConaughey żyje w wielkiej posiadłości w Teksasie, lubi polować, jest wierzącym konserwatystą z Południa i zamierza ubiegać się o fotel gubernatora. Harrelson jest liberałem z Kalifornii, który ciągle pali skręty, uczy swe adoptowane córki, że zabicie jelenia jest gorsze od zabicia człowieka, jeździ wozem z napędem elektrycznym i mówi o sobie, że jest anarchistą.

Aktorzy są świetni, napędzają się nawzajem na ekranie (pamiętamy ich perfekcyjną współpracę z pierwszego sezonu „Detektywa”), ale koncept jest błahy, a scenariusz rutynowy. Ta metakomedia zbyt często idzie tropami znanymi na pamięć z innych sitcomów, a najzabawniejsza jest wtedy, gdy zderza postacie z dwóch różnych światów.

Jest to jednak produkcja bezpieczna, kpiny są łagodne, choć czasem niepoprawne politycznie. Choćby wątek 16-letniego syna McConaugheya, który jako pierwszy od ośmiu pokoleń, zamiast wchodzić w dorosłość ze sztućcem w ręku, zajmuje się głównie siedzeniem na terapii, albo fakt, że Harrelsonowie za ostatnią deskę ratunku mają swego guru (dzwonić o każdej porze!).

Sceny kradzione są przez postacie drugoplanowe: świetna jest Holland Taylor jako Ma Mac, czyli teksańska mamuśka, której nieopatrznie wymsknęło się wyznanie o możliwym nieślubnym dziecku. Od świtu popija likier Kahlua, strzela najlepiej w rodzinie i jeśli chodzi o sarkazm, to nikt nie może się z nią równać. Równie mocno bawi Lisa Gilroy jako Gwen Hillcrest Barnes-Davies, menedżerka kampanii, która dla swoich klientów wygrała dziewięć ostatnich wyborów i teraz zamierza to samo uczynić dla McConaugheya. Cisną się na usta słowa, że może najbardziej docenią tę produkcję zapamiętali fani obu gwiazdorów. Ale czy i oni nie powinni się żachnąć, że panowie jednak trochę marnują swój potencjał? ©℗

GRA TYGODNIA: „OPOWIEŚCI BAŚNIOMISTRZA. KSIĘGA KOSZMARÓW: TRANSYLWANIA”

★★★★★☆

Kolejna odsłona serii wykorzystuje klasyczne motywy gotyckiego horroru z przełomu wieków XIX i XX. Zamiast w kolorowym lesie gracze lądują w ponurych karpackich dolinach pełnych wampirów, wilkołaków, zbezczeszczonych kaplic i szalonych naukowców. Wcielają się w jedną z czterech postaci: Księdza, Pisarki, Podróżnika lub Uczonego. Za pomocą kodów QR gracze mogą odtworzyć podczas rozgrywki przy stole muzykę oraz profesjonalny głos lektora, co buduje niesamowity nastrój (zwłaszcza przy zgaszonym świetle). ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Anna Zalewska

- ***Gatunek:*** *książkowa, paragrafowa, fabularna*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Black Monk Games*

eprasa.pl 0fbd615457

Ostatni kęs tuńczyka

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. ALEJANDRO GONZÁLEZ IÑÁRRITU „DIGGER” USA 2026

wyst. Tom Cruise, John Goodman, Riz Ahmed

Iñárritu próbuje wejść w buty Kubricka, chociaż są dla niego za ciasne. Bądźmy szczerzy, „Doktor Strangelove”, przy wszystkich swoich zaletach, jest średnio zabawny. Peter Sellers dwoił się, troił i stawał na rzęsach, ale żółcią napisany scenariusz sprawia, że widzom śmiech grzęźnie w gardle. Kasandryczna wizja w ciało się nie oblekła. Dostarczyła za to paliwa rzeszy aktywistów i handlarzy strachem. Obrona planety przed chciwością i głupotą gatunku Homo sapiens trwa. Zdaje się jednak, że wszystkie starania poszły w piach, skoro po 62 latach pomysły reżysera mizantropa powiela zdobywca czterech Oscarów.

Apokalipsa, której psim swędem udało się uniknąć w epoce Beatlesów, nadejdzie teraz. Jej sprawcą będzie amerykański sektor paliwowy. Cóż, nafciarze nigdy nie mieli dobrej prasy. Od dziecka słyszę, że światem rządzą wredni kapitaliści z Teksasu, którym politycy jedzą z ręki. Miliarder wymachujący łopatą to, rzecz jasna, aluzja do zawołania: „Drill, baby, drill!”. Filmowy prezydent USA martwi się, że nie może rozwiązać wszystkich problemów naciśnięciem czerwonego guzika. Iñárritu wysyła zatrute strzały również w stronę Pentagonu, turbopatriotów i religijnych fanatyków. Uaktualnienia? Możni tego świata uwierzyli, że władza nad narracją zapewnia władzę dożywotnią. Maluczcy w bezsilnej złości rzucają w nich butami. Zamiast szalonych naukowców dostaliśmy zaś bezsilnych ekspertów.

Tytułowy złol bardziej niż klimatyczną katastrofą przejmuje się stanem zdrowia swojej kotki. Dziwna z niego postać, najpierw próbuje uniknąć odpowiedzialności, potem zgrywa kowboja i Winkelrieda. Gerontokracja jest faktem, szydzić z niej można i nawet należy. Świetnych aktorów, którzy osiągnęli wiek emerytalny, nie brakuje. Czemu więc musimy oglądać sztucznie postarzone gwiazdy Hollywood? Do głowy przychodzi tylko jedno wyjaśnienie, Tom Cruise pożąda Oscara, lecz nie chciał firmować swoją prawdziwą twarzą paszkwilu na Amerykę. „Diggera” niosą bowiem złe emocje, chęć dokopania Wujowi Samowi. Ujęcie fabuły w nawias miało dodać filmowi powagi. Nie dodało, to wciąż farsa. W dodatku Iñárritu totalnie rozmija się z oczekiwaniami elektoratu. Ropa ma być tania i basta! ©℗

Wiesław Chełminiak

CO Z TĄ POLSKĄ?

Rok 1806. Wygłodzony seksualnie Napoleon dociera do Warszawy, jego wzrok wyławia z tłumu nadobną szambelanową. Historia Marii Walewskiej, namawianej przez VIP-ów, by dla dobra ojczyzny została nałożnicą cesarza, zapłodniła wyobraźnię niejednego twórcy. Andrzej Jarecki upichcił na jej kanwie pyszną komedię, rychło zekranizowaną przez fachurę Leonarda Buczkowskiego. W 60. rocznicę premiery miło jest posłuchać muzyki Kilara i ujrzeć w akcji złote aktorskie pokolenie. Niestety, wątek współczesny dramatycznie kuleje. Owszem, publice zawiedzionej rządami towarzysza Wiesława Francja de Gaulle'a mogła wydawać się powabna. Trudno jednak pojąć, dlaczego studentka UW toleruje końskie zaloty monsieur Bérangera. Bonaparte był militarnym geniuszem. Jego imiennik ma kabriolet, ale jeździć nim nie umie. Może cenzura coś wycięła? ©℗



cda.pl

★★★★☆☆

REŻ. LEONARD BUCZKOWSKI „MARYSIA I NAPOLEON” POLSKA 1966

wyst. Beata Tyszkiewicz, Gustaw Holoubek, Juliusz Łuszczewski



ANNA ZALEWSKA

DO ZOBACZENIA

Praskie wnętrza

Posadzki taflowe, płytki ceramiczne, stolarka, okucia czy piece kaflowe – te oryginalne elementy wyposażenia wnętrz, często dzisiaj już niespotykane, można obejrzeć na praskiej wystawie. Są one nie tylko zbiorem informacji o dawnych technologiach, rzemiośle i gustach, lecz także „uwrażliwiają na wartość oryginalnego wyposażenia historycznych mieszkań i popularyzują dawne wzornictwo” – czytamy na stronie muzeum.

Współczesnych mieszkańców Warszawy, a także innych miast może dziwić to, że praskie kamienice projektowano, czerpiąc z estetyki pałacowej. Mimo że XX-wieczna Praga z pałacami wcale się nie kojarzyła, tamtejsze stare budynki są pełne sztukaterii, zabytkowych okien i drzwi, a także zdobień sufitowych. Na wystawie można również zobaczyć wyjątkowe znaleziska, takie jak wanna z lat 60. przeniesiona wprost z kuchni mieszkania przy ul. Wileńskiej 13. ©℗



FOT. TOMEK KACZOR/MUZEUM WARSZAWSKIEJ PRAGI

GDZIE? Muzeum Warszawskiej Pragi, Warszawa
KIEDY? do 21 marca 2027 r.

eprasa.pl 0fbd615457



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Człowiek ze smyczą

Albera Dannera, którego autor „Kundla" uczynił bohaterem tej powieści, poznajemy jako niemieckiego śledczego w mieście Litzmannstadt, które przed wojną było Łodzią. I w tej to Łodzi Danner był polskim policjantem, chociaż – jak wspominał – „w domu mówiłem po niemiecku, wychowałem się wśród Niemców, a mój ojciec, do cholery, był Oberleutnantem cesarskiej armii".

Do policji zgłosił się, bo – wyznawał – „[...] jeśli miałem wybierać, wolałem być tym, który trzyma smycz, niż tym, którego prowadzą". Jego pochodzenie nie pomagało mu w karierze, w końcu już w szkole policyjnej był „szkiebrem, krautem, frycem, bochem, teutonem, germańskim śmieciem, szwabską świnią".

We wrześniu 1939 r. urodził się na nowo. Znał miasto, ludzi, był pożyteczny. Nowi przełożeni cenili go, tyle że wypominali mu tę służbę dla Rzeczypospolitej. On sam podpierał się argumentem, że „obowiązek wobec ojczyzny był ważniejszy niż przysięga złożona sezonowemu państewku. Dlatego pomagałem Niemcom w zajęciu miasta, a potem złożyłem wniosek o przyjęcie do Schutzstaffel oraz Polizeipräsidium". I nie wiadomo, kiedy stał się zbrodniarzem, co wypierał, zwalając winę na innych, tyle że sam – jak to celnie ujął jego współpracownik – łykał tabletki, po których „robią ci się czarne oczy i ślina cieknie z pyska".

„– To nie ja napadłem na Polskę – broni się Albert.

– Nie. Ale służyłeś każdemu, kto pomachał kością przed twoim nosem – odrzuca jego wykręty więzień pod celą, bo w końcu i do hitlerowskiego więzienia trafił...



FOT. SŁAWOMIR OLCZACKI/FORUM

– Zbrukałeś polskie, żydowskie i niemieckie dziedzictwo tego miasta. Sprawiłeś, że stało się karykaturalnym bękartem, żartem historii".

Danner zdążył jeszcze, służąc Niemcom, bronić Lublina. Ranny w oblężeniu miasta zamienionego w twierdzę łudzi się jeszcze, że wyjdzie z opresji cało, udając Polaka. Nie uda mu się to, co czytelnik przyjmie z ulgą, pamiętając refleksje tytułowego kundla przyglądającego się hitlerowskiemu czołgowi z lufą wycelowaną w łódzki pomnik Tadeusza Kościuszki: „Pamiętam dzień jego odsłonięcia – gadano, że sam Piłsudski przyjedzie, jeden naczelnik okaże szacunek drugiemu. Polacy wiwatowali, machając biało-czerwonymi flagami, a orkiestra reprezentacyjna Strzelców Kaniowskich im przygrywała. My, niemiecka młodzież, przycupnęliśmy w cieniu Muzeum Miejskiego i obojętnie oglądaliśmy pokaz euforii polskiej, a więc nie naszej. W listopadzie trzydziestego dziewiątego zburzyliśmy ten pomnik. Na nic Kościuszce zdała się armata u jego stóp. Zagonione do roboty Żydki zmiażdżyły młotami obalonego jenerała-naczelnika wraz z bezużytecznym Uniwersałem połanieckim. Zastąpił go złoty orzeł ze swastyką".

W 1960 r. nastąpiło odsłonięcie zburzonego przez Niemców pomnika. Stał się on symbolem Łodzi, porównywalnym z warszawską Syreną i krakowskim Mickiewiczem. A Łódź jest już zupełnie inna niż ta, o której prawie 130 lat temu opowiedział Reymont w „Ziemi obiecanej". Podobno – jak czytamy w powieści Krzysztofa Papiernika – „kiedyż Łodzianie wierzyli w niemiecką systematyczność, żydowską pomysłowość, polską pracowitość". Teraz, powiedzmy, na ogół są niewierzący. A już na pewno w takie brednie, które głosi jedna z przemądrzałych postaci „Kundla": „Ja za młodu komunizowałem, tfu, ale kto nie był komuchem albo faszystą, ten na starość ku.wą zaplutą zostanie".

Stało się akurat odwrotnie, a tytułowy bohater czy raczej antybohater powieści, Albert Danner, na miano zaplutej kurwy zasługuje jak najbardziej. Niezależnie od stopnia, w jakim dał się uzależnić zażywanym bez opamiętania lekom i narkotykom. Ani od tego, czy był gorszą swołoczą niż inni gestapowscy oprawcy, czy może trochę lepszą. W każdym razie, jego skomplikowane koligacje rodzinne, w których doszukać się można polskości, ani na jotę nie wpływają na ocenę owego „kundla". Jednoznaczną. ©℗



★★★★★★

KRZYSZTOF PAPIERNIK „KUNDEL" MUZA, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 0fbd615457



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Do źródła

Dziennik z podróży, lamus ciekawostek, list miłosny, zapis lektur – książka Krzysztofa Lisowskiego jest tym wszystkim, i czymś jeszcze więcej. Jest powrotem do źródła, które ostatnio tak bardzo zatruć nam próbowali filmowcy, a to Nolan nieszczęsną reinterpretacją „Odysei", a to nieco wcześniej Uberto Pasolini „Powrotem Odyseusza". Od razu polubiłem tę opowieść, bo Lisowski wędruje po starożytnym greckim świecie, tak jak i ja wędrowałem po Krecie. Za przewodnika mając przede wszystkim dzieła autorów antycznych, ale podczytując też poetów i wędrowców o tysiąclecia późniejszych.

Takie publikacje nie poddają się prostej recenzji, to mozaiki wrażeń, wierszy, aforyzmów: własnych i pożyczonych. Linijka wiersza prowadzi do jakiegoś zapomnianego przez archeologów miejsca, widok ruin odsyła do relacji XIX-wiecznego podróżnika, wspomnienie cudzego wspomnienia podpowiada: zrób zdjęcie w tym miejscu. Jakie zdjęcie, skoro brak tu ilustracji? No, takie ważniejsze: odbij głęboko w umyśle to, co dostrzegłeś.

I jakże szeroka jest ta Grecja, bo przecież i taki był ten świat, śródziemnomorski, rozciągnięty na późniejszą ojczyznę imperium rzymskiego, zajmujący najbardziej żyzne połacie dzisiejszej Turcji i tak dalej. Zatem wypad na Sycylię oczywisty. Sam przecież dumałem o podobnych sprawach i krocząc ulicami starożytnego Efezu, i całkiem niedawno, gdym na Peloponezie penetrował pozostałości starożytnej Mesini (30 km od Kalamaty), by szukać potem jej związków z kolonią sycylijską, Mesyną (oczywiście, że istnieją). I ja również, jak autor, nie szukałem we współczesnym Bodrum plaż i leżaków, tylko pozostałości po Halikarnasie, ale więcej od niego szczęścia miałem na Kos, bo zawsze gdy tam bywałem, muzeum archeologiczne było otwarte.

Mawiał Borges, że wszyscy jesteśmy Grekami na wygnaniu, czy można się więc dziwić, że tak tęsknie zerkamy ku utraconemu miejscu początków (nie tylko jednego początku, bo przecież inne początki to Golgota i Forum Romanum). Czytałem zapiski Krzysztofa Lisowskiego z uśmiechem i z zaciekawieniem, nawet gdy się z nim nie zgadzałem (współczesna Sparta nie jest taka nudna!), przekonany, że siedzę wraz z nim w wielkim kręgu przyjaciół. ©℗

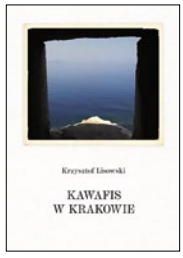

★★★★★★

KRZYSZTOF LISOWSKI „KAWAFIS W KRAKOWIE" SPP ODDZIAŁ KRAKÓW 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Kłopoty" to eufemizm: krwawa rebelia IRA żądająca niepodległości dla Irlandii Północnej. Równie krwawa odpowiedź Brytyjczyków. Dziennikarz „Irish Times" opowiada tę historię przez pryzmat dziejów własnej parafii.



MARTIN DOYLE „BRUDNE PŁÓTNO" ARTRAGE

Niemal 30 rozmów i wspomnień o Stanisławie Sojce (jest rodzina, są przyjaciele i współpracownicy). Mamy też cytaty z wypowiedzi samego artysty, mamy wreszcie próbę krótkiej biografii. Rzecz nie tylko dla fanów.



ANNA GĘBALSKA „ŻYCIE JEST DAREM" WYDAWNICTWO QUELLO

Karolina Puchała-Rojek, kuratorka wystawy Minorskiego, zredagowała też obszerny album: nie tylko katalog wystawy, lecz także opowieść o życiu kronikarza przedwojennej robotniczej Warszawy, autora wstrząsających fotografii z epoki.

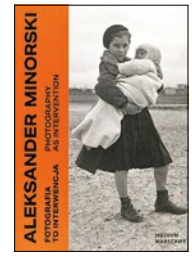

ALEKSANDER MINORSKI „FOTOGRAFIA TO INTERWENCJA" MUZEUM WARSZAWY

Jedenaście lat po „Rzece zbrodni" (właśnie wznowionej) ukazuje się tom drugi przygód komisarza Gajewskiego. Bydgoszcz 1926 r., zabójstwo antykwariusza i zagadka skarbu sprzed wieków, jeden z lepszych polskich kryminałów retro.

recenzuje Piotr Gociek



JAROSŁAW JAKUBOWSKI „RZEKA POKUSZENIA" WYDAWNICTWO BRDA

KOMIKS TYGODNIA:
Propozycja wybitna: komiks dojrzał i jest dobrym narzędziem do mówienia o poważnych sprawach, w dodatku w kontrze do liberalnych elit. Historia weterana z Wietnamu, jego przyjaźni z dotkniętym PTSD kumplem i napotkanej po latach ich dawnej dziewczyny (trójkąt miłosny!) przybiera nieoczekiwany obrót, poczucie winy za dokonaną kiedyś aborcję jest równie wielkie jak wojenna trauma.

Piotr Gociek

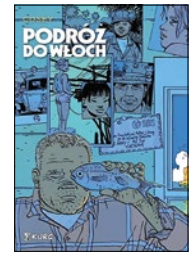

COSEY „PODRÓŻ DO WŁOCH" WYDAWNICTWO KURC 2026

eprasa.pl 0fbd615457



FOT. ADOBE STOCK

Stan wojenny w czasach lawfare



Michał Adam Szymański

Jeśli poważnie traktować rozważania polskich polityków o „czasie przedwojennym", to warto przemyśleć słabości naszego ustroju. Jedną z nich Federacja Rosyjska może bardzo łatwo wykorzystać

Istnieją dwie perspektywy – pierwsza z nich to perspektywa, nad którą pochylają się eksperci od geopolityki i wojskowości, a zakłada ona, że prędzej lub później Wojsko Polskie będzie musiało, jak nieraz w historii, stanąć w obronie naszego państwa przed rosyjską agresją.

Druga perspektywa jest nieco bardziej przyziemna, bo dotyka naszego domowego piekiełka – ile w stanie są zrobić politycy, by utrzymać się przy władzy? Kiedy spojrzymy na koalicję rządzącą Polską z jej „demokracją walczącą", „przestrzeganiem prawa, tak jak my je rozumiemy", niepublikowaniem wyroków Trybunału Konstytucyjnego czy traktowaniem Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego jak „izby Schrödingera" (w zależności od sytuacji rząd Donalda Tuska bądź uznaje jej istnienie, bądź też nie), to zobaczymy polityków zdolnych do naginania oraz wykorzystywania prawa w każdy możliwy sposób, byle tylko był on z korzyścią dla Koalicji Obywatelskiej i jej junior partnerów.

STAN WOJENNY? NIE TAK ŁATWO WPROWADZIĆ

Nie można wykluczyć, że w gmachu przy stołecznych Alejach Ujazdowskich (siedziba kancelarii premiera) bądź przy Wiejskiej (gdzie znajduje się nie tylko świątynia polskiego parlamentaryzmu, lecz także biuro Koalicji Obywatelskiej) urodzi się idea, by spróbować wykorzystać obawy przed Rosją i spróbować wprowadzić stan wojenny. Jeśli komukolwiek z rządzących taka myśl przyszłaby do głowy, to zawczasu rozwiewam złudne nadzieje – owszem, nasza konstytucja zakłada, że po wprowadzeniu stanu nadzwyczajnego (a ustawa zasadnicza zna trzy – wojenny, wyjątkowy oraz klęski żywiołowej) aż do jego ustania oraz przez kolejnych 90 dni nie mogą być przeprowadzone wybory parlamentarne, jednak stan ten, na wniosek Rady Ministrów, wprowadza prezydent Rzeczypospolitej. Zawczasu też wytłumaczmy, że jest to jedyny stan, który można wprowadzić w sytuacji zewnętrznego zagrożenia (tak, stan wojenny można wprowadzić nie tylko wtedy, gdy wrogie wojska przekroczą naszą granicę, lecz także wtedy, gdy istnieją realne przesłanki, by takiego wrogiego uderzenia się spodziewać albo gdyby ofiarą agresji miał być nasz sojusznik) – natomiast stan wyjątkowy, w podobnym trybie, może prezydent wprowadzić, ale oddając głos ustawie zasadniczej, „w razie zagrożenia konstytucyjnego ustroju państwa, bezpieczeństwa obywateli lub porządku publicznego" (czyli, przykładowo, podczas próby zamachu stanu czy w wyniku ataków terrorystycznych).

Należy podkreślić, że sama idea stanów nadzwyczajnych nie jest niczym dziwnym i nie powinna być demonizowana – w Polsce stan wojenny wywołuje skojarzenia z gen. Jaruzelskim, jednak koncepcję, zgodnie z którą w sytuacji gdy egzystencja państwa staje pod znakiem zapytania, należy wprowadzić szczególny reżim prawny, odziedziczyliśmy po starożytnych Rzymianach, którzy w swej mądrości uznali, że w takiej sytuacji można na pół roku zawiesić funkcjonowanie klasycznych republikańskich instytucji i oddać władzę dyktatorowi, który przeprowadzi państwo przez trudny czas.

eprasa.pl 0fbd615457

Reasumując – gdyby rok temu to nie Karol Nawrocki wygrał wybory prezydenckie, wówczas obawy o to, że rządzący mogą chcieć cynicznie wykorzystać obawy przed wojną do własnych celów, byłyby zasadne. Stało się jednak inaczej, a trudno podejrzewać głowę państwa o to, by była skłonna do takich gestów wobec władzy Donalda Tuska.

TUSK JAK ZEŁENSKI?

Jeśli chcieć podejść do odpowiedzialności za państwo poważnie i tym samym zostawić na boku partyjne sympatie i antypatie, to dostrzec należy zgoła inny problem – otóż gdyby Rosjanie w najbliższych latach chcieli Polskę zaatakować, to najlepszy czas na to będą mieli już za rok. Dlaczego? Otóż właśnie dlatego, że w przyszłym roku czekają nas wybory parlamentarne – a skoro konsekwencją wojny byłoby wprowadzenie stanu wojennego, to przeprowadzenie wyborów stałoby się prawnie niemożliwe, a kadencja parlamentu uległaby wydłużeniu.

Zauważmy, że dość podobna sytuacja dotknęła Wołodymyra Zełenskiego. Wybory prezydenckie powinny były zostać przeprowadzone na Ukrainie już dawno temu, jednak w związku z trwającą wojną ich przeprowadzenie nie jest możliwe, gdyż przepisy ukraińskiej konstytucji są w tej kwestii podobne do przepisów polskich. Rezultaty? W rosyjskich mediach prezydent Ukrainy przedstawiany jest od dawna jako dyktator, który nie chce oddać władzy. Działania te dodatkowo uderzają w wizerunek prezydenta Ukrainy.

PRAWNICZE SŁÓWKO, KTÓRE WARTO ZNAĆ

Na nasze nieszczęście Rosjanie doskonale rozumieją, czym jest lawfare. Termin ten nie jest popularny w polskiej debacie publicznej, za to w świecie zachodnim robi on ostatnimi czasy prawdziwą furorę – a oznacza, w największym skrócie, umiejętność wykorzystywania prawa jako broni, dzięki której można osiągać strategiczne cele.

Klasycznym przykładem lawfare są m.in. tzw. SLAPP-y – czyli powództwa wytaczane przez „dużych" powodów (np. międzynarodowe korporacje) przeciwko „małym" pozwanym, takim jak działacze społeczni czy dziennikarze śledczy. O ile, zasadniczo, do sądu idzie się po to, by sprawę wygrać, to stosującemu SLAPP rozstrzygnięcie końcowe jest obojętne, gdyż jego główny cel jest inny – chodzi mu o zastraszenie i wymęczenie pozwanego, który posiada znacznie mniejszy budżet na obsługę prawną, któremu konieczność pojawiania się w sądzie w związku z kolejnymi, choćby najbardziej bezsensownymi sprawami rozbijać będzie normalną aktywność życiową i który wreszcie przestanie interesować się kontrowersyjnymi działaniami potężnego oponenta, marząc już tylko o świętym spokoju. W wielu krajach, również w Polsce, przyjęto przepisy mające ukrócić tę praktykę.

Szczególne znaczenie lawfare ma w przypadku relacji międzynarodowych, stąd duże zainteresowanie tą tematyką wśród badaczy prawa międzynarodowego. Rosjanie i Białorusini chcieli zresztą już raz prawo przeciwko Polsce wykorzystać – w trakcie kryzysu imigracyjnego, gdyż spodziewali się, że nasz kraj zacznie masowo wpuszczać fale uchodźców, ponieważ liberalnie interpretowane „prawa człowieka" zostaną przez polityków uznane za wartość ważniejszą od bezpieczeństwa oraz suwerenności. Choć, szczęśliwie, stało się inaczej i polscy politycy odpowiedzialni za podejmowanie decyzji nie wykazali tym razem tendencji autodestrukcyjnych, to w ten oto sposób w praktyce przekonaliśmy się, czym lawfare jest i jak można je przeciwko naszemu państwu stosować. Na marginesie można wyrazić ubolewanie, że znaczenia owej cynicznej gry nie zrozumieli liberalni „obrońcy praw człowieka", którzy swymi naiwnymi interpretacjami prawa międzynarodowego weszli w rolę „pożytecznych idiotów" Putina.

ZADANIE DLA PARLAMENTARZYSTÓW

Warto więc, tworząc przepisy oraz analizując te, które już dziś obowiązują, stawiać pytanie o to, jak działałyby w trakcie wojny, a w szczególności jak mogą być wykorzystywane przeciwko naszemu krajowi przez przeciwnika.

Trudno sobie wyobrazić, by w sytuacji realnego zagrożenia dla suwerenności Polski Rada Ministrów nie zawnioskowała do prezydenta o wprowadzenie stanu nadzwyczajnego, z kolei głowa państwa nie powinna obawiać się tego, że rząd chciałby cynicznie wykorzystywać konstytucję do „zabetonowania" swojej władzy. Zadaniem, a wręcz wyzwaniem jest rozważenie, jak uniknąć tego typu sytuacji – zwłaszcza że ostatnią rzeczą, której państwo potrzebuje w sytuacji zagrożenia, są polityczne spory o to, czy rządzący wykorzystują stan wojenny do cynicznego „wydłużenia" kadencji Sejmu oraz utrzymania władzy w administracji rządowej.

Osobiście uważam, że pewną inspirację stanowią historia wojny z 1920 r. i Rząd Obrony Narodowej. Jak dziś mogą one zainspirować prawodawcę? Konstytucja mogłaby przewidzieć, że wraz z ogłoszeniem stanu wojennego kończy się kadencja dotychczasowego gabinetu, a powołuje się nowy, z udziałem wszystkich klubów parlamentarnych. Można by wrócić do idei „ministrów prezydenckich", znanych z lat 90., czyli do wpływu głowy państwa na obsadę MSZ, MON i MSW, co mogłoby chociażby doprowadzić do eliminacji napięć pomiędzy prezydentem a szefem dyplomacji.

W szczególności jednak warto rozważyć ideę „premiera rotacyjnego" – przykładowo: nawiązując do wspomnianych już starożytnych Rzymian, wybrany przez sejmową większość prezes Rady Ministrów musiałby po półrocznym okresie sprawowania władzy przekazać ją swojemu następcy, którego z kolei, z mocy prawa, wskazywałaby opozycja. Następnie, gdyby stan wojenny trwał dalej, po kolejnych sześciu miesiącach szefem rządu znów stawałby się przedstawiciel większości.

Taki mechanizm byłby par excellence mechanizmem propaństwowym, wymuszałby na wszystkich środowiskach politycznych troskę o dobro wspólne, a w szczególności eliminowałby pokusę rządzących, by nieproporcjonalnie przedłużać obowiązywanie stanu wojennego.

Oczywiście taka zmiana musiałaby zostać wprowadzona poprzez zmianę konstytucji, co nie jest łatwe. Co więcej, nie traktuję jej jako jedynego dobrego rozwiązania i z pewnością, w ramach trwającej w Polsce debaty konstytucyjnej, warto rozważyć także alternatywne rozwiązania. Miejmy natomiast świadomość, że źle skonstruowany na czas wojny ustrój państwa może zostać skutecznie wykorzystany przez wroga – wrodzy nam eksperci od lawfare już o to zadbają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457



Filip Obara



Pogrzeb ks. Stanisława Zbojnowicza, ofiary ataku w jarosławskim opactwie FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Gdzie przebaczenie, a gdzie sprawiedliwość?

Do morderczego ataku w Jarosławiu doszło w szczególnym momencie, gdy Polacy z trwogą zadają sobie pytanie: Czy pójdziemy drogą Wielkiej Brytanii, gdzie władza represjonuje Brytyjczyków, a chroni obcych – nawet jeżeli ci drudzy są bandytami? Dlatego nie możemy całej sprawy zbyć słowami o „nieodpowiadaniu złem na zło”

Czas żałoby nie jest dobry na roztrząsanie. Jednak temat zbrodni w Jarosławiu żyje, a okoliczności mordu wręcz proszą się o poważną refleksję. Tym bardziej że obecny etap wojny na Ukrainie kiedyś się skończy, a problemu weteranów, którzy mogą liczniej przybywać do Polski, nie możemy odłożyć na zaś. W przeciwnym wypadku obudzimy się w rzeczywistości, w której Jarosław był tylko wstępem do nowego rozdziału w historii Polski.

Część osób, również po prawej stronie, uporczywie odmawia pogodzenia się z rzeczywistością w kwestii ukraińskiego zagrożenia w Polsce. W rozmowach z takimi lekkoduchami od początku powtarzam choćby pierwszy z brzegu, najprostszy argument. Nie jestem darwinistą, ale nie można być ślepym na to, że w stosunkach społecznych toczy się nieustanna gra sił. Kiedy w szkole, na ulicy czy na placu zabaw spotykają się ludzie o różnym nastawieniu i sprzecznych interesach – musi dojść do tarcia. Gdy w takiej sytuacji pojawi się żywioł obcy i mocniejszy od nas – ukraiński weteran, który zaledwie wczoraj patrzył śmierci w oczy i zabijał – to przeciętny Polak stanie wobec niego w skrajnej dysproporcji sił, mogąc liczyć jedynie na cywilizowane zachowanie ze strony przybysza.

Nie musi na tym gruncie dochodzić ani do tragedii takich jak w Jarosławiu, ani nawet do poważnych napięć. Wystarczy zwykły, codzienny konflikt interesów – o to, kto zaczął kłótnię na szkolnym korytarzu i kto ma przeprosić – żebyśmy zderzyli się z siłą, której nie znamy. Przecież nigdy za naszego życia nie byliśmy w takiej sytuacji, w jakiej dziś są walczący Ukraińcy.

Chcę jednak pochylić się nad atakiem ukraińskiego weterana na opactwo w Jarosławiu nie tylko dlatego, że ręka sprawiedliwości zdaje się od niego oddalać (jacyś bliżej nieokreśleni „biegli” uznali bowiem, że ma problemy psychiczne, co miałoby – przynajmniej na razie – zwalniać go z odpowiedzialności), lecz także dlatego, że ujawniają się przy tej okazji poważne braki w naszym myśleniu – i to również wśród duchowieństwa.

SPOJRZENIE AKWINATY

Spore wrażenie zrobiło w mediach społecznościowych krótkie kazanie duchownego, który wyszedł ze szpitala po ataku Ukraińca. Kiedy ojciec Adrian mówi o przebaczeniu, jest to jak najbardziej na miejscu, bo jako pokrzywdzony i jako kapłan – jak sam mówi, jako „uczeń Jezusa Chrystusa” – przemawia we własnym imieniu. Gdy prosi o modlitwę za oprawcę – jest to piękne i jak najbardziej ewangeliczne. Nawet apel, żeby nie ogniskować pragnienia pomsty na narodzie ukraińskim jako takim, wydaje się słuszny, bo przecież nie chodzi o to, żeby eskalować społeczne animozje.

Niemniej musimy pamiętać, że jedną rzeczą jest przebaczenie, które należy do porządku miłości i w większości do porządku prywatnego, a czym innym jest wymierzenie kary, co należy już do porządku sprawiedliwości i do porządku publicznego. Przebaczenie nie zwalnia z wymierzenia kary, a ona sama pełni określone funkcje dla ofiary i oprawcy, a także dla dobra wspólnego, uwalniając

eprasa.pl 0fbd615457

społeczność od niebezpiecznej jednostki i dając przykład innym.

Kiedy przechodzimy z porządku prywatnego (reakcja ojca Adriana) do publicznego (reakcja władz państwowych i kościelnych), to zarówno pomszczenie tej konkretnej zbrodni, jak i roztropność w unikaniu następnych stają się kluczowe. Tej kwestii nie możemy zbyć żadnymi frazesami ani nawet prawdziwą cnotą miłosierdzia.

Żeby nie pozostać wyłącznie na poziomie ogólników, przytoczę ustęp z „Sumy teologicznej", w którym św. Tomasz omawia bardzo ciekawe i aktualne w tym kontekście zagadnienie – czy sędzia, kierując się miłosierdziem, ma prawo darować karę przestępcy? (2-2, 67, 4).

Dowiadujemy się z niego, że sędzia nie działa we własnym imieniu, ale jako przedstawiciel władzy publicznej. Nie realizuje też własnych celów, bo jego zadaniem jest wymierzyć sprawiedliwość przestępcy przez wzgląd na szkodę ofiary i czyniąc zadość roszczeniom oskarżyciela. Ponadto sędzia musi brać pod uwagę dobro ogółu, a wymierzenie sprawiedliwej kary chroni resztę społeczeństwa i odstrasza naśladowców.

„Miłosierdzie sędziego może mieć miejsce w sprawach, w których pozostawiono mu swobodę postępowania; tu stosownie do swej dobroci może zmniejszyć karę. Nie może jednak kierować się miłosierdziem wtedy, gdy sprawę rozstrzyga prawo Boże lub ludzkie – czytamy w »Sumie teologicznej«. – Jeśliby sędzia wbrew porządkowi przewodu sądowego zwolnił kogoś od kary, wyrządziłby krzywdę społeczności, która wymaga, by złoczyńcy zostali ukarani celem powstrzymania od występków".

Chociaż powyższe cytaty odnoszą się do urzędu sędziego, to można z nich wyciągnąć wniosek ogólny: kara nie jest tylko zadośćuczynieniem za poczucie krzywdy, ale idą za nią rzeczywiste następstwa: przywrócenie porządku, dobro, którym jest sprawiedliwość, oraz przeciwdziałanie złu.

PRZESTRASZONE OWIECZKI

Wydaje mi się zatem, że o ile mówienie o nieodpowiadaniu złem na zło jest uzasadnione w przypadku ojca Adriana, o tyle poprzestanie na tym przez władze kościelne budzi wątpliwości. Pomija bowiem kilka istotnych spraw. Po pierwsze, wspomniany tu ogólny kontekst katolickiej nauki na temat miłosierdzia i sprawiedliwości. Po drugie, nasze dobro społeczne w sytuacji, gdy cały zachodni świat zmaga się z plagą masowej imigracji, a Polska szczęśliwie została jeszcze od niej uchroniona. Po trzecie wreszcie, obowiązki i dobre imię samego Kościoła, który powinien wydawać z siebie coś więcej niż zachowawcze frazesy, skoro został ustanowiony światłem i nauczycielem narodów.

Nasza cywilizacja została de facto stworzona przez Kościół, a obecnie zarządzają nim ludzie, którzy z pogwałceniem prawideł ordo caritatis przyłączają się do agendy samozagłady

Kiedy więc w takim duchu przemawia prymas Polski – ani słowem nie zająkując się na temat konsekwencji zbrodni oraz problemu, którym będzie dla Polski napływ weteranów wojennych z Ukrainy – to wypada zadać pytanie, czy aby na pewno spełnia on swój obowiązek wynikający ze sprawowanego urzędu? Nie wypowiada się wszakże jako osoba prywatna, ale jako hierarcha Kościoła, odpowiedzialny za miliony polskich katolików.

Nie chodzi mi o to, żeby krytykować akurat prymasa Polaka i to w czasie, gdy przeżywamy żałobę po zamordowanym duchownym i wspieramy modlitwą rannych, ale o to, aby spojrzeć szerzej na sposób, w jaki Kościół pod obecnym zarządem podchodzi do palących problemów społecznych, w tym do imigracji.

To, że nie powinniśmy odpowiadać złem na zło, jest oczywiste (nie mamy przecież prawa popełniać grzechu, żeby wyrządzić – nawet zasłużone – zło przestępcy), ale to nie znaczy, że na zło mamy odpowiadać wyłącznie biernym oporem. To nie znaczy, że głos Kościoła ma być głosem przestraszonych owieczek, które pogodziły się z tym, że nie mają żadnej sprawczości. Tak nie zachowuje się pasterz. Tak nie zachowuje się obrońca. A kim są biskupi, jeżeli nie pasterzami i obrońcami wiernych (oraz kapłanów)?

Kościół powinien w jasny sposób wskazywać zagrożenia, nawet jeżeli jakaś grupa (w tym wypadku Ukraińcy) poczuje się tym dotknięta. Nie jest zadaniem Kościoła przyłączać się do chóru ślepców, którzy z hasłami miłosierdzia na ustach sprowadzają klęskę na lud powierzony ich pieczy. Tym bardziej gdy władza świecka wciąż uważa, że w naszym najlepiej pojętym interesie jest gonić (coraz bardziej mityczny) Zachód w drodze do zbiorowego samobójstwa.

Z tego samego błędnego korzenia wyrasta obecny sprzeciw przedstawicieli Kościoła wobec kary śmierci. Dzieje się tak głównie dlatego, że duchowieństwo przylgnęło do czysto światowych idei, porzucając zarówno pojęcia prawa naturalnego, jak i perspektywę nadprzyrodzoną. Moralna dopuszczalność kary śmierci wynika z ogólnych zasad sprawiedliwości, a dodatkowo perspektywa śmierci bywa dla zbrodniarza jedyną okazją do nawrócenia. Kara główna otwiera więc drogę do aktu miłosierdzia wobec duszy skazanego. Kościół zawsze to głosił, stojąc niezmiennie na stanowisku słuszności kary śmierci (pomimo odmiennego poglądu głoszonego przez kilku ostatnich papieży).

Szeroko pojęta prawica trąbi coraz głośniej o zagrożeniu płynącym z imigracji (do tej kategorii należy zaliczyć imigrację ukraińską do Polski), ale jest jeden problem. Nasza cywilizacja została de facto stworzona przez Kościół, a obecnie zarządzają nim ludzie, którzy z pogwałceniem prawideł ordo caritatis przyłączają się do agendy samozagłady.

Kościół był zawsze tym żywym sercem, z którego rozchodziła się energia przemiany moralnej, niezbędna do podniesienia się z kryzysu i odparcia wroga. Kiedy to serce zostało sparaliżowane, znaleźliśmy się w sytuacji, w której chyba nigdy nie byliśmy jako Polacy. Musimy wziąć to pod uwagę, bo jest to istotny czynnik, bez którego trudno myśleć o trwałych rozwiązaniach. Inaczej pozostanie nam jedynie punktowe bronienie się przed złem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457



Papież Leon XIV przewodniczy uroczystości „Wspólnie krocząc w nadziei", zorganizowanej z okazji 60. rocznicy ogłoszenia deklaracji „Nostra aetate", Watykan, 28 października 2025 r.

FOT. VATICAN POOL/GETTY IMAGES

Dialogowa papka



Paweł Chmielewski

Watykan ogłosił nowy dokument na temat dialogu międzyreligijnego. Zamiast uporządkować wątpliwe kwestie, tekst tylko pogłębi doktrynalne zamieszanie

Stolica Apostolska 16 września ogłosiła dokument „Podróż nadziei. Sześćdziesiąt lat dialogu międzyreligijnego i braterstwa w świetle soborowej deklaracji »Nostra aetate«". Tekst dotyka jednej z najbardziej problematycznych kwestii w Kościele katolickim ostatnich dziesięcioleci: odniesienia do religii niechrześcijańskich. Chaos ma w tym wypadku wielu ojców. Jednym z nich jest sama deklaracja „Nostra aetate", która omawia stosunek Kościoła katolickiego do takich religii, jak judaizm, islam, hinduizm czy buddyzm. Bardzo krótki tekst soboru nie wprowadza do nauczania Kościoła katolickiego żadnych zmian doktrynalnych. Jednak przeciwko niemu głosowało prawie 100 biskupów, mając wątpliwości co do jego oddziaływania na wiarę Kościoła. Takie wątpliwości mógł rodzić zwłaszcza język użyty w deklaracji, niezwykle pozytywny i nastawiony na dialog i współpracę. Lektura „Nostra aetate" może sugerować, że kooperacja między wyznawcami różnych religii jest ważniejsza od głoszenia im wiary Kościoła. Innymi słowy, że dialog nakierowany na budowę dobrych relacji zyskuje prymat nad ewangelizacją.

Lata po Soborze Watykańskim II pokazały, że obawy były jak najbardziej słuszne. Kościół katolicki nie zmienił wprawdzie swojego nauczania, ale w wielu krajach świata zawiązano rozmaite inicjatywy dialogowe, które w znaczący sposób zmarginalizowały wysiłek misyjny. Nie chodzi o Afrykę, gdzie także w okresie posoborowym działało wielu misjonarzy; chodzi raczej o te regiony, w których Kościół katolicki współistnieje z dużymi organizacjami religijnymi. Wśród duchownych i świeckich zaangażowanych w dialog pojawiła się postawa praktycznego relatywizmu, wcześniej Kościołowi nieznana: uznano, że nawet jeżeli podtrzymujemy oficjalne stanowisko doktrynalne Kościoła, to żydów, muzułmanów czy buddystów można pozostawić w spokoju. Niech wyznają swoje kulty i skupią się na byciu dobrymi ludźmi.

GLOBALNY RYNEK RELIGII

Dla polskiego czytelnika to bolesne, ale wielu tradycjonalistów na Zachodzie zarzuca nieroztropne działania papieżowi Janowi Pawłowi II. Uważa się, że chociaż głosił Chrystusa również niechrześcijanom, to polityką wielkich spotkań międzyreligijnych czy bardzo widowiskowych gestów, jak słynne ucałowanie Koranu, tworzył klimat pewnej przychylności dla ideologicznego dialogizmu. Hasłowo mówi się tu o „duchu Asyżu", nawiązując do wydarzeń z 1986 r. W mieście św. Franciszka z inicjatywy papieża Wojtyły zgromadzili się wówczas przedstawiciele najrozmaitszych religii, by wspólnie modlić się o pokój. W zamyśle papieża chodziło o wspólny gest solidarności ludzi różnych wyznań, ale widok Wikariusza Chrystusa wśród całego tłumu liderów różnych religii – w tym pogańskich kultów – budził specyficzne skojarzenia z „globalnym rynkiem religii". W 2000 r. kard. Józef Ratzinger ogłosił deklarację „Dominus Iesus",

eprasa.pl 0fbd615457

która przypominała o jedyności zbawczej Chrystusa i Kościoła, jakby w odpowiedzi na zarzuty o błędny kierunek dialogowy Kościoła. Jednak również Benedykt XVI brał udział w różnych dziwacznych spotkaniach międzyreligijnych.

To, co za pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI było raczej problemem wizerunkowym, za Franciszka nabrało ciężaru doktrynalnego. W 2019 r. papież z Argentyny razem z jednym z islamskich imamów ogłosił „Deklarację z Abu Zabi", w której mówi się, jakoby Pan Bóg chciał istnienia różnych religii. Papież opublikował też film przedstawiający symbole chrześcijańskie na równi z żydowskimi, islamskimi oraz buddyjskimi; wreszcie publicznie ogłosił, że chrześcijaństwo jest jedną z wielu dróg do Boga, tak jak np. mahometanizm albo sikhizm. Działań i wypowiedzi Franciszka nie dało się bronić od strony dogmatycznej, dlatego większość komentatorów, która chciała uniknąć oskarżania urzędującego papieża o głoszenie błędów, marginalizowała znaczenie tych wystąpień jako „dyplomatycznych" i pozbawionych aspiracji do stanowienia doktryny.

Dodatkowym aspektem całego zamieszania jest stosunek Kościoła katolickiego do wyznawców judaizmu. Różni papieże po Soborze Watykańskim II mają na swoim koncie wiele wątpliwych wypowiedzi, ale nic nie przebija polskich biskupów. W marcu 2026 r. ogłosili, że żydowski Izrael nadal jest narodem wybranym – chociaż Kościół katolicki nauczał zawsze, że w Chrystusie to właśnie on jest Nowym Izraelem, czyli prawdziwym Ludem Przymierza.

Z tej siłą rzeczy zdawkowej relacji czytelnik może wywnioskować, jak wybuchowej materii dotyka najnowszy dokument Stolicy Apostolskiej. Niestety, nie radzi sobie w tym gąszczu zbyt dobrze. Chociaż tekst „Podróż nadziei" w pewnych aspektach przynosi uporządkowanie, to całościowo nie pozwoli na przezwyciężenie istniejących trudności.

Autorami dokumentu są prefekci aż trzech urzędów Kurii Rzymskiej: Victor Manuel Fernández z Dykasterii Nauki Wiary, Kurt Koch z Dykasterii do spraw Popierania Jedności Chrześcijan, George Jacob Koovakad z Dykasterii do spraw Dialogu Międzyreligijnego. Tekst ma rangę noty, nie należy zatem do najbardziej uroczystych wypowiedzi; został jednak zaaprobowany przez papieża Leona XIV, wyraża więc coś, co moglibyśmy nazwać „zwyczajnym" nauczaniem Kościoła, obdarzonym stosownym autorytetem.

DWUZNACZNA NOTA WATYKANU

„Podróż nadziei" wiele uwagi poświęca tematyce żydowskiej. Należy odnotować, że dokument odrzuca teorię „dwóch dróg zbawienia". Wskazuje, że ścieżka żydowska nie jest „paralelna" wobec chrześcijańskiej oraz że „Kościół uczy, iż jedynym zbawicielem jest Chrystus". W nocie nie znajdują się też wywołujące skandal słowa o rzekomym pozostawaniu Izraela „narodem wybranym". Czytamy tam jednak, że „przymierze z ludem żydowskim jest nieodwołalne". Formuła ma wydźwięk bardzo dyplomatyczny i stąd jest dwuznaczna. Można wprawdzie odczytywać ją po katolicku: Pan Bóg nie odwołał swojego przymierza z żydami, to oni je zerwali, odrzucając Chrystusa. Jednak brak w tekście wyraźnego stwierdzenia o Kościele jako Nowym Izraelu, a to czyni powyższą wymowę formuły o „nieodwołalnym przymierzu" mniej czytelną. W dodatku tekst głosi, jakoby współczesne żydowskie życie religijne było „efektem objawionego Słowa… które [żydzi] otrzymali" oraz że to żydowskie religijne życie posiada „dynamiczną wartość, która może nas ubogacić". W sumie zatem dokument Stolicy Apostolskiej może się przyczynić do znaczącej intensyfikacji katolicko-żydowskiego dialogu w formie, która polega na zachwycie strony kościelnej żydowskimi praktykami religijnymi czy żydowską teologią. Brak przyjęcia feralnego stwierdzenia z listu KEP jest tu jakąś pociechą, ale doprawdy niewielką.

W obszarze ogólnego dialogu międzyreligijnego nota Watykanu jest równie dwuznaczna. Z jednej strony czytelnik przerażony wystąpieniami papieża Franciszka może odetchnąć. Stolica Apostolska nie ogłosiła bynajmniej, że Pan Bóg chce istnienia różnych religii, ani nie stwierdziła, że różne wierzenia są drogą do Boga. Tego rodzaju relatywistyczne wypowiedzi pozostają poza obszarem faktycznego nauczania Kościoła katolickiego. Niestety, choć dokument nie idzie w taką radykalną stronę, to całkowicie pozytywnie podchodzi do posoborowego dziedzictwa dialogowego. Powołuje się zupełnie wprost na „ducha Asyżu"; bardzo szeroko nawiązuje do wysiłków Franciszka na rzecz budowy „powszechnego braterstwa". Deklarację „Dominus Iesus" Ratzingera wspomina tylko raz, w dodatku w przypisach. W dokumencie nie ma choćby cienia krytycyzmu wobec aktualnego kształtu dialogu międzyreligijnego: gdyby czerpać swoją wiedzę tylko z tego tekstu, to należałoby uznać, że wszystko wygląda wspaniale. Wprawdzie nota wspomina o „rozbieżnych interpretacjach" wydarzeń na Bliskim Wschodzie oraz o „prześladowaniu chrześcijan w różnych częściach świata przez ekstremistyczne grupy religijne", ale ogólnie dominuje zachwyt nad tym, czego już dokonano – i co miałoby jeszcze zostać dokonane na polu umacniania współpracy między ludźmi różnych religii. Brzmi to pięknie, pod warunkiem że Kościół katolicki potraktuje się jako jedną z wielkich globalnych instytucji do spraw pokojowej koegzystencji. Przy całym poszanowaniu dzieła zaprowadzania doczesnego pokoju trzeba jednak pamiętać, że misją Kościoła jest coś innego, czyli włączenie ludzkości w przestrzeń zbawienia w Chrystusie.

W połowie września biskup pomocniczy Waszyngtonu, Robert Boxie, ogłosił w mediach, że Pan Bóg stworzył różne kultury, rasy i różne wyznania. „To wszystko pochodzi od Boga" – stwierdził kategorycznie. W normalnych czasach taka wypowiedź wzbudziłaby powszechne oburzenie, bo od strony formalnej jest po prostu heretycka. Dzisiaj jednak nikt się nią nie przejął. Biskup trafił po wywiadzie na czołówki katolickiej prasy, ale z zupełnie innych powodów. Ot, przypadek, których wiele, bo podobne treści głoszą również inni biskupi, a nawet kardynałowie… Błędne treści doktrynalne nie są wyimaginowane: naprawdę istnieją i stają się częścią myślenia wielu katolików. Z racji powagi tej sytuacji byłoby w pełni zrozumiałe, gdyby Stolica Apostolska wydała dokument poświęcony jedyności zbawczej Chrystusa i przypomniała o fundamentalnych prawdach. O to apelował do papieża Leona XIV bp Athanasius Schneider, wskazując na wielką wagę tematu zbawienia tylko w Chrystusie. Zamiast tego otrzymujemy kolejny przejaw dialogowej, dyplomatycznej narracji, który najprawdopodobniej tylko pogłębi zamieszanie. Szkoda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 0fbd615457



Lech Mażewski

Po 1956 r. utrzymane zostały podstawowe rozwiązania prawne przyjęte na początku PRL, a jednak mieliśmy do czynienia z nowym ustrojem

W dniach 19-21 października 1956 r. obradowało VIII plenum KC PZPR. W tym czasie na Warszawę ruszyły oddziały Północnej Grupy Wojsk Sowieckich, a w stolicy pojawił się z niezapowiedzianą wizytą Nikita Chruszczow, sekretarz generalny KC KPZS. Ostatecznie interwencji zbrojnej udało się uniknąć, a nowym I sekretarzem KC PZPR został Władysław Gomułka, co oznaczało ustanowienie w PRL systemu posttotalitarnego autorytaryzmu. O ile w latach 1949–1954/1955 (cezury są tu płynne) Polska stała się przedmiotem sowieckiego dyktatu, o tyle po 1956 r. sytuacja uległa znacznemu polepszeniu. Krzywa niepodległości PRL wyraźnie zaczyna się wspinać, choć nie chodziło tu o pełną niepodległość na wzór Polski sprzed 1 września 1939 r. Do czegoś takiego nie dążył także świeżo uwolniony z internowania prymas Stefan Wyszyński. Dla niego ważny był aspekt geopolityczny dokonujących się przemian, a nie poszukiwanie nowej formuły socjalizmu, o co głównie chodziło Gomułce.

WĘGRY I CHINY

30 października 1956 r. rząd ZSRS wydał deklarację, w której była mowa o tym, że „państwa socjalistyczne mogą budować swoje stosunki tylko na zasadach pełnej równości praw, poszanowania integralności terytorialnej, niezależności politycznej, suwerenności i nieingerowania w sprawy wewnętrzne", ale w ramach obozu socjalistycznego, bez możliwości opuszczenia go. Był to rodzaj doktryny sowieckiego Grossraumu, odpowiednika amerykańskiej doktryny hegemonii. Tak można było opisać sytuację w Polsce po VIII plenum i na Węgrzech po 28 października, kiedy doszło do zawarcia porozumienia między powstańcami a wojskiem sowieckim. Druga interwencja na Węgrzech nastąpiła



Władysław Gomułka i Aleksander Zawadzki po zakończeniu obrad VIII plenum KC PZPR, za nimi m.in. Józef Cyrankiewicz

FOT. ZYGMUNT WDOWIŃSKI/PAP

70. rocznica dwugłos DO RZECZY Października 1956 r.

Drugi PRL

eprasa.pl 0fbd615457

4 listopada w momencie, gdy rząd pod kierownictwem Imrego Nagya ogłosił, że Węgry nie tylko będą funkcjonowały na zasadach demokracji parlamentarnej, a więc z odrzuceniem kierowniczej roli partii, lecz także występują z Układu Warszawskiego, ogłaszając neutralność. Było to ewidentne naruszenie zasad przewidzianych w deklaracji z 30 października. Polityka ówczesnej Polski była inna, nowe kierownictwo wiedziało, że próba sięgnięcia po pełną niepodległość musi skończyć się katastrofą na kształt powstania warszawskiego. Do interwencji sowieckiej w Warszawie nie doszło nie tylko dlatego, że Chiny Mao Tse-tunga opowiedziały się po naszej stronie, ale dodatkowo Moskwa nie mogła sobie pozwolić na dwie inwazje. Węgry nas uratowały, pogrążając siebie w beznadziejnej walce, a przecież porozumienie z 28 października dawało im dokładnie tyle samo, co Polska uzyskała w efekcie VIII plenum KC PZPR.

W połowie listopada 1956 r. w trakcie wizyty delegacji partyjno-państwowej w Moskwie podpisano wspólną deklarację o stosunkach polsko-sowieckich, która zawierała postanowienia określające status wojsk sowieckich stacjonujących na terenie PRL. Stwierdzono w niej: „Czasowe stacjonowanie wojsk radzieckich w Polsce w niczym nie może naruszać suwerenności państwa polskiego i nie może prowadzić do ich ingerencji w wewnętrzne sprawy PRL". Ponadto „Jednostki wojsk radzieckich stacjonujące na terenie PRL oraz ich członkowie łącznie z rodzinami obowiązani są szanować i przestrzegać przepisy prawa polskiego". Wypełnieniem tej deklaracji była Umowa między Rządem PRL a Rządem ZSRS o statusie prawnym wojsk radzieckich czasowo stacjonowanych w Polsce z 17 grudnia 1956 r. Żadne z państw socjalistycznych nie miało tego typu rozwiązań. Wątpię, aby wojska amerykańskie stacjonowały z mniejszym naruszeniem naszej suwerenności.

Nie byłoby prawdą twierdzenie, że w rezultacie doszło do zerwania przez Związek Sowiecki i KPZS z dyktatem na rzecz partnerskich stosunków z PRL i PZPR, ale nie ulega wątpliwości, że zakres naszej niezależności po 1956 r., zarówno w sprawach zagranicznych, jak i wewnętrznych, znacznie się powiększył w porównaniu z pierwszą połową lat 50. Trafnie jednak zwracał uwagę Andrzej Werblan, że „Gomułka nie stawiał przed sobą zadania zniesienia wszystkich ograniczeń suwerenności [...]. Nieodłączną cechą jego myślenia politycznego była świadomość mniejszościowego oparcia w społeczeństwie dla nowego ustroju w Polsce i dla władzy PZPR, a także stałego zagrożenia żywotnych racji państwa polskiego na Zachodzie przez możliwość porozumienia rosyjsko-niemieckiego".

Zakres naszej niezależności po 1956 r., zarówno w sprawach zagranicznych, jak i wewnętrznych, znacznie się powiększył

W 1956 r. Gomułka doprowadził do jeszcze pięciu innych zmian. W zakresie polityki rolnej zaniechano kolektywizacji, nastąpiły pewne ułatwienia dla gospodarki prywatnej w miastach, doszło do ukrócenia samowoli policji politycznej, polityka w stosunku do nauki, kultury i Kościoła uległa odideologizowaniu i stała się bardziej pragmatyczna i wreszcie podobnie było z polityką wobec Zachodu. Wszystko to razem miało stanowić o polskiej drodze do socjalizmu, która w rzeczywistości miała okazać się polską drogą od socjalizmu.

ZIELONE ŚWIATŁO DLA RZEMIOSŁA

Warto zwrócić uwagę na dokonaną przez Gomułkę rewitalizację sektora prywatnego w miastach. O ile lata 1948–1955 były okresem, w którym dochodziło do likwidacji tej części gospodarki, o tyle w dwóch następnych latach nastąpił jej szybki rozwój. W 1956 r. wzrost zatrudnienia w tym sektorze wyniósł 9,5 proc., a w roku następnym aż 38,2 proc. W jednym ze swoich ówczesnych wystąpień I sekretarz tłumaczył się z zarzutu, że uprawia politykę, która „prowadzi do restauracji kapitalizmu". Retorycznie pytał: „Czy chodzi o zagadnienie rozszerzenia praw rzemiosła, stworzenie możliwości rozwoju rzemiosła – czy to ma być cofanie się do kapitalizmu? Czy też postawienie przez nas na VIII Plenum zagadnienia, że szczególnie w przemyśle materiałów budowlanych jesteśmy skłonni pójść na daleko idące ustępstwa, na stworzenie możliwości dla inicjatywy prywatnej, ażeby rozwinąć produkcję materiałów budowlanych – czy na tym mają polegać ustępstwa na rzecz kapitalizmu?" W ten sposób odbudowie ulegała własność prywatna drobnych środków produkcji i powiększało się znaczenie wymiany rynkowej. A przecież obie te instytucje musiały być zniszczone, aby mógł zatriumfować komunistyczny ideał.

Ale to nie wszystko. Na mocy ustawy z 28 maja 1957 r. o sprzedaży przez państwo domów mieszkalnych i działek budowlanych nabywcą domu jednorodzinnego, małego domu mieszkalnego o najwyżej czterech lokalach mieszkalnych, domu wielomieszkaniowego oraz działki budowlanej mogły być osoby fizyczne i spółdzielnie mieszkaniowe. Na Ziemiach Zachodnich i Północnych sprzedaży mogły podlegać domy mające więcej niż osiem izb. Budynki i grunty, o których była mowa, mogły być także „przeznaczone na pomieszczenia warsztatów rzemieślniczych i drobnych zakładów przemysłowych, jak również [...] na prowadzenie małych pensjonatów w miejscowościach uzdrowiskowych i letniskowych, a także [...] na gospodarstwa warzywnicze i ogrodnicze".

Powyższe rozwiązania prawne, chociaż przynosiły tylko czasową własność gruntów, na których znajdowały się nabywane domy i lokale, dawały możliwość kupna od państwa przez osoby fizyczne małych domów i lokali i to nie tylko na cele mieszkalne, lecz także dla prowadzenia działalności gospodarczej. Poza wszystkim należy dostrzec, że władza przyznała, iż istnieje w ten sposób możliwość prywatyzacji niektórych składników mienia państwowego, co bez wątpienia godziło w status własności uspołecznionej jako takiej. Bowiem jeśli już raz została wyrażona zgoda na prywatyzację małych domów i lokali, to w przyszłości może uda się ją uzyskać czy wręcz wywalczyć na coś innego?

eprasa.pl 0fbd615457

Poza wszystkim byłby to świetny przykład liberalizacji ustroju społeczno-gospodarczego PRL. W zupełnie przeciwnym kierunku szły propozycje Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego z „Listu otwartego do członków POP PZPR i do członków uczelnianej organizacji ZMS przy Uniwersytecie Warszawskim" z 1965 r. Chodziło o zwrot w kierunku budowy komunizmu, co zarzucono po Październiku 1956 r.

Andrzej Garlicki twierdził, że „odrzucenie stalinizmu nie oznaczało zmiany ustroju". Ale czy rzeczywiście tak było? Wedle Krystyny Kersten „rok 1956 stanowi dla Polski punkt zwrotny. Jest to zasadnicza cezura, dzieląca powojenne polskie dzieje na dwa okresy, odpowiadające dwóm fazom dynamiki systemu tworzonego przez komunistów – fazie wstępującej i fazie zstępującej, fazie wzrostu i fazie stopniowego rozkładu". Marcin Kula uważał, że „Kraj osiągnął w Październiku mnóstwo z tego, co w innych krajach obozu stanęło na porządku dziennym dopiero w 1989 r.". Krzysztof Pomian pisał, że w 1956 r. „zmienił się ustrój polityczny PRL", z totalitaryzmu przeszliśmy do porządku autorytarnego. Szkoda, że temu jednemu z partyjnych rewizjonistów dopiero po 1989 r. udało się to dostrzec.

Prawdą jest, że po 1956 r. utrzymane zostały podstawowe rozwiązania prawne przyjęte na początku PRL, a jednak mieliśmy do czynienia z nowym ustrojem. Trafnie to wyłożył Andrzej Burda: „Pod panowaniem jednej i tej samej konstytucji faktyczne stosunki zachodzące między społeczeństwem a aparatem państwowym mogą przechodzić różne koleje. Do dziś obowiązuje w Polsce w niezmienionym kształcie uchwalona w 1952 r. Konstytucja, a któż zaprzeczy, że październik 1956 r. jest granicą oddzielającą od siebie dwa różne systemy rządzenia".

To jest właśnie ten drugi PRL, państwo istotnie różniące się od tego, które powstało na przełomie lat 40. i 50., o czym tyle razy pisał Andrzej Walicki. Pierwszy PRL był strukturą zideologizowaną, nastawioną na budowę porządku quasi-totalitarnego.

UTRZYMAĆ WŁADZĘ

Próba stworzenia systemu totalitarnego należała do przeszłości. W efekcie ustrój PRL, mimo utrzymania formalnej ciągłości instytucji prawnych i w dużym stopniu ciągłości personalnej elity władzy, zaczyna wypełniać inna polityczna treść. Inne też stają się cele warstwy kierowniczej, odtąd klasy panującej, dla której własny interes, polegający na utrzymaniu dotychczasowych pozycji i w dalszej kolejności ich maksymalizacji, był najważniejszy. Próba realizacji ideału komunistycznego nie będzie już nigdy podjęta. Stanisław Gebethner tłumaczył: „Utrzymując rewolucyjną retorykę partia, a ściślej działająca w jej łonie zbiurokratyzowana oligarchia (nomenklatura), przeistacza się w syndykat władzy zainteresowany przede wszystkim w jej utrzymaniu".

W miarę jak realna rzeczywistość zaczęła odbiegać od wymogów wynikających z nakazów ideologii marksistowsko-leninowskiej, sama ideologia stawała się pusta, zachowując jedynie warstwę werbalną. W to miejsce pojawiła się słowokracja, związana z przejściem do ustroju posttotalitarnego autorytaryzmu. Równoznaczne było to z zaniechaniem przez władze celów utopijnych, i tym samym zwycięstwem rzeczywistości nad „nadrzeczywistością ideologiczną", używając języka Alaina Besançona. Charakterystyczną cechą słowokracji będzie logomachia, czyli jałowy spór o słowa, a dokładnie o sens słowa „socjalizm". Nawet po 13 grudnia 1981 r. nie była możliwa rezygnacja z tej swoistej ornamentyki ustrojowej, kiedy odwrót od socjalizmu widoczny był gołym okiem.

Wywalczony w Październiku 1956 r. pewien pluralizm w zakresie stosunków społecznych, gospodarczych i politycznych musiał rzutować na ustrój PRL, doprowadzając do ukształtowania się modelu posttotalitarnego autorytaryzmu. „Posttotalitarnego", gdyż władza na nowo ukształtowała się po upadku próby zbudowania porządku quasi-totalitaryzmu, stąd zasięg nowej władzy i jej cele miały już tylko ograniczony charakter, a nie, jak poprzednio, omnipotentny. Był to więc rodzaj autorytaryzmu, nawiązujący do tego, z którym mieliśmy do czynienia w Polsce zaraz po drugiej wojnie światowej. Nie rozumiem, jak w tej sytuacji można twierdzić, że Gomułka był wciąż jeszcze szczerym wyznawcą autentycznego komunizmu. Oczywiście, może to mówić Adam Michnik, dla którego, patrząc z pozycji liberalno-lewicowych, Gomułka nawet po Październiku 1956 r. był „więźniem doktryny komunistycznej". Ale na czym miał polegać ten komunizm, skoro wszystkie jego dogmaty zostały zakwestionowane? Przecież komunizm to nie władza partyjnej nomenklatury, a zniesienie rynku, własności prywatnej i pieniądza w wyniku czego miało nastąpić obumarcie państwa. A może chodziło po prostu o autorytarną lewicę, której reprezentantem był popaździernikowy I sekretarz KC PZPR? Ale nie powinno to nam aż tak przeszkadzać w przeciwieństwie do partyjnych rewizjonistów na czele z Leszkiem Kołakowskim, a obecnie Michnikowi, skoro w ówczesnych warunkach było to konieczne do rozpoczęcia i kontynuacji procesu detotalitaryzacji PRL.

Z biegiem lat zacierała się geneza reżimu, a ujawniało się autorytarne i coraz bardziej liberalne jego oblicze, co trafnie od czasów Leonida Breżniewa, następcy Chruszczowa, będzie nazywane realnym socjalizmem. Widoczne było to w wielu aspektach, choćby w zmianach zarówno w zakresie budowy, jak i funkcjonowania aparatu państwowego, regulacji prawa własności czy położeniu Kościoła. Jeśli z czegoś powinniśmy rozliczać ten drugi PRL, to przede wszystkim z tego, czy w istniejących warunkach geopolitycznych kierownictwo PZPR zapewniało efektywną obronę interesów Polski. Wszystko inne musi być niepodległościowym lub lewicowo-liberalnym doktrynerstwem.

Wywalczony w październiku 1956 r. pewien pluralizm w zakresie stosunków społecznych, gospodarczych i politycznych musiał rzutować na ustrój PRL

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

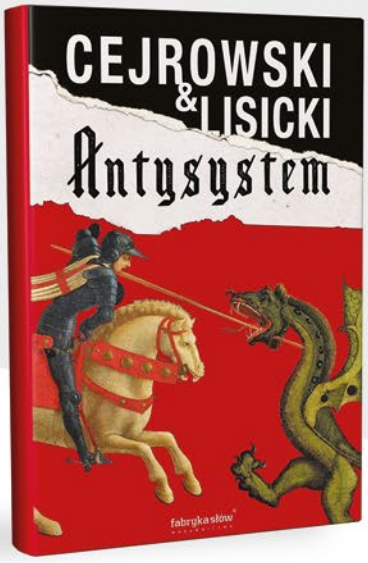

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WOJCIECH CEJROWSKI, PAWEŁ LISICKI: „ANTYSYSTEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1343~~ ZŁ

549,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 794 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

| Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

| Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 0fbd615457





Piotr Semka

70. rocznica politycznego przełomu Października 1956 r. to okazja do refleksji nad znaczeniem tamtych wydarzeń dla dziejów Polski z konserwatywnego punktu widzenia. Nie jest przypadkiem, że daty politycznych wstrząsów PRL nie utrwaliły się w masowej pamięci jako sekwencja zmian na szczytach władzy, ale jako daty wystąpień Polaków przeciwko komunistycznej władzy

Ta sama niewola w nowym opakowaniu

Gdy pada data 1956 r., to zazwyczaj kojarzona jest z rewoltą robotników Poznania z czerwca tamtego roku, a nie z dojściem Władysława Gomułki do władzy. Na podobnej zasadzie rok 1970 wspominamy jako datę zrywu robotników Wybrzeża, a nie moment dojścia do władzy ekipy Edwarda Gierka. Skoro tak, to kto chciał z października 1956 r. zrobić datę analogiczną do społecznych wybuchów?

Dziś to już lekko pożółkły projekt, ale najwięcej wysiłku w tym kierunku wykonał obóz lewicowo-liberalny. Jeśli ktoś zada sobie trud, aby zajrzeć do numeru „Gazety Wyborczej" czy „Polityki" z okazji okrągłych rocznic Października '56, to zauważy, że aż do pierwszej dekady XXI w. próbowano z Października '56 zrobić kolejną datę społecznego wybuchu. Było to oczywiście po części prawdziwe, bo w wiecach na rzecz zmian uczestniczyły wtedy setki tysięcy ludzi i była też chęć wykreowania legendy własnego środowiska. Bo to wtedy tacy późniejsi luminarze postsolidarnościowej lewicy jak Jacek Kuroń czy Karol Modzelewski przeżyli swoje osobiste zerwanie z wiarą w stalinizm i rozpoczęli swoją drogę do sprzeciwu przeciwko władzy PRL. Zresztą o tym, jak silnie Październik '56 zaznaczył się w poglądach Kuronia, świadczy to, że nawet jeszcze w sierpniu 1980 r. był przekonany, że stoczniowcy powinni walczyć o stworzenie tzw. rad robotniczych – organu samorządu pracowniczego, który na krótko zaistniał po Październiku '56, a nie podejmować znacznie bardziej rewolucyjne hasło wolnych związków zawodowych. Wiece w październiku 1956 r. były polityczną inicjacją dla wielu późniejszych autorytetów na dworze Unii Demokratycznej, a później Unii Wolności – Wiktora Woroszylskiego, Jerzego Jedlickiego, Artura Hajnicza czy wreszcie Wisławy Szymborskiej. Sam pamiętam osobiste doświadczenie, gdy zderzyłem się z sugestią zaczynania historii oporu społecznego po wojnie właśnie od wydarzeń październikowych. W 1998 r. trafiłem do zespołu przygotowującego pierwszą ekspozycję na temat strajku w 1980 r., jako zapowiedź przyszego Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku. W trakcie jednej z dyskusji pojawiła się kwestia, od czego zacząć ekspozycję.

MONOPOL NA OPOWIEŚCI O WALCE Z SYSTEMEM

Uczestniczący w dyskusji prof. Jerzy Holzer dość autorytatywnie orzekł, że wystawa powinna się zaczynać od przełomu października 1956 r. Zareagowałem na to pytaniem, dlaczego nie zacząć od powojennego oporu Żołnierzy Wyklętych. Warszawski historyk pouczył mnie wówczas, że ideałem Solidarności była walka bez przemocy. I nie można wyprowadzać genezy zrywu w gdańskiej stoczni od powojennych walk podziemia

eprasa.pl 0fbd615457



Siostry nazaretanki żegnają prymasa Wyszyńskiego przed odjazdem przysłaną przez rząd limuzyną z ośrodka internowania w Komańczy do Warszawy, 28 października 1956 r. FOT. NAC

niepodległościowego. Ten spór był bardzo charakterystyczny. Holzer, który już w 1948 r. przystąpił do komunistycznego Związku Walki Młodych, a potem do PZPR, nie wprost, ale pośrednio lansował tezę, że to ci, którzy ulegli pokusie marksizmu, ale potem zerwali z nim, tworząc tzw. opozycję demokratyczną, mają prawo czuć się de facto uprzywilejowani w opowieści o zmaganiu się z systemem.

Jeden z działaczy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela żartobliwie kiedyś zdefiniował ten typ myślenia w następujący sposób: „Środowisko chce wszystkich przekonać, że tylko będąc wcześniej komunistą, można było potem być godnym szacunku przeciwnikiem systemu. A ci, którzy nie ulegli temu złudzeniu, już na zawsze mają tkwić w podejrzeniu czy to o ciemnogród, czy o antysemityzm".

„Gazeta Wyborcza" próbowała użyć legendy o przygotowaniach robotników Żerania do walki z nadjeżdżającymi czołgami sowieckimi jako takiej samej cezury w powojennych dziejach Polski jak poznański Czerwiec 1956 czy Grudzień 1970 na Wybrzeżu. To nie chwyciło.

Oczywiście legenda Lechosława Goździka jako robotniczego poprzednika Wałęsy miała sporo uroku. Tak samo jak pamięć o wiecu Gomułki pod Pałacem Kultury i Nauki 24 października 1956 r. była zbiorowym doświadczeniem wolnościowym dziesiątków tysięcy Warszawiaków. A jednak wynoszenie tej daty do rangi niemal kolejnego narodowego zrywu wywoływało sprzeciw prawej strony. Choć i ona miała swój udział w tamtym krótkim karnawale wolności. Konserwatywne trendy w tamtych wydarzeniach warto dziś przypomnieć.

PAŹDZIERNIK KONSERWATYSTÓW

Bardzo często zapominamy, że po ponad 12 latach brutalnego stalinizmu wszelkie elity odwołujące się do tradycji czy to konserwatywnej, czy narodowej były totalnie zgruchotane w czysto fizycznym znaczeniu. Żołnierze Wyklęci zostali wymordowani lub siedzieli w więzieniach, przedstawiciele przedwojennych elit zepchnięci na margines, z wyjątkiem małej grupy jednostek użytecznych dla systemu, jak np. Jarosław Iwaszkiewicz. Ziemiaństwo było rozparcelowane, a Kościół po internowaniu prymasa Stefana Wyszyńskiego zastraszony. Dlatego to, co w październiku 1956 r. było konserwatywne, wychodziło na jaw spontanicznie i pod osłoną tłumu.

Niedawno pisałem o wydarzeniach z 26 sierpnia 1956 r., kiedy to – na dwa miesiące przed październikowymi wiecami – pod Jasną Górą zgromadziło się niemal milion wiernych, by odnowić Śluby Narodu z 1656 r. według tekstu napisanego przez pozostającego wówczas w uwięzieniu prymasa Stefana Wyszyńskiego. To był sygnał wychodzenia polskich katolików z szoku po terrorze epoki Bieruta. Ci ludzie brali udział potem w wydarzeniach październikowych i mieli swój własny głos.

To oni żądali na nich wypuszczenia prymasa Wyszyńskiego z więzienia lub domagali się powrotu swoich bliskich z łagrów na terenie Związku Sowieckiego. To byli ci wszyscy, którzy po historycznym wiecu Gomułki wspomnianego już 24 października 1956 r. sformowali po wiecu osobną demonstrację, która ruszyła pod nowy wówczas budynek Komitetu Centralnego PZPR, i demonstrowali pod oknami dygnitarzy na rzecz natychmiastowego zwolnienia Wyszyńskiego. Jeszcze bardziej charakterystyczne były krzyki w czasie wiecu z tłumu, domagające się prawdy o Katyniu czy zwrotu Wilna i Lwowa.

Jacek Kuroń wspominał tak tamte prawicowe wątki wieców: „W pewnym momencie ktoś zgłasza rezolucję, że Polska jest krajem katolickim i dlatego żądamy zwolnienia prymasa Wyszyńskiego. Cała sala, ponad 20 tys. osób, trzęsie się od oklasków i aplauzu. Po chwili zrywa się Lechosław Goździk i mówi: »No ale to oznacza, że jak ja nie jestem katolikiem, to mnie wolno było uwięzić? Proponuję zapis: «Żądamy uwolnienia prymasa Wyszyńskiego, gdyż Polska jest krajem socjalistycznym i nikogo nie wolno więzić bez sądu»«. Sala ponownie szaleje z zachwytu. Prowadzący wiec Krzysztof Pomian pyta, czy głosować nad rezolucją. Wszyscy krzyczą, że nie trzeba, że wniosek przeszedł".

Ten zapis bardzo dobrze oddaje ówczesną atmosferę. Wszyscy chcą zmian i wszyscy pod wpływem chwilowego zbratania spychają pewne różnice na margines. Ale one są faktem. Dla jednych prymas Wyszyński powinien być zwolniony, bo Polska jest krajem katolickim, a jednocześnie Lechosław Goździk nie zostawia tego sformułowania bez reakcji i proponuje na kontrze: Wyszyński musi wyjść na wolność, bo tego wymaga zasada państwa socjalistycznego. To wewnętrzne zróżnicowanie opisuje też bardzo dobrze prof. Andrzej Paczkowski, przywodząc własne wspomnienia z wiecu Gomułki na Placu Defilad.

Pamięć o wiecu Gomułki pod PKiN 24 października 1956 r. była doświadczeniem wolnościowym. Wynoszenie tej daty do rangi kolejnego narodowego zrywu wywołało jednak sprzeciw prawej strony

„Pod koniec [wiecu] doszło do prawdziwej kakofonii. Na trybunie zaintonowano »Międzynarodówkę«, część tłumu zaczęła śpiewać hymn, a w innym miejscu wykrzykiwano: »Marsz, marsz, Polonia, marsz, dzielny narodzie«". Ten prawicowy nurt Października '56 miał swój triumf cztery dni później. Zaniepokojone rozhuśtaniem nastrojów władze, skupione wokół Gomułki, zmuszone były wysłać swego emisariusza, Zenona Kliszkę, do ostatniego miejsca internowania prymasa Wyszyńskiego, do bieszczadzkiej Komańczy, i prosić głowę polskiego Kościoła

eprasa.pl 0fbd615457



Demonstracja 10 tys. ludzi w Olsztynie na wiecu solidarności z powstaniem węgierskim. W tłumie napis: „Żądamy suwerenności Polski i Węgier", 30 października 1956 r. FOT. INSTYTUT LISZTA

o powrót do Warszawy. I dla polskich katolików to scena powitania prymasa stojącego na balkonie pałacu przy Miodowej z gigantycznym tłumem warszawskich wiernych jest najbliższą im ikoną z tamtego okresu. A był jeszcze festiwal Solidarności z walczącymi Węgrami. Do ogromnego zgromadzenia Solidarności z walczącym Budapesztem doszło np. 30 października 1956 r. w Olsztynie. Podobne wiece popierające walczących Węgrów odbyły się w Krakowie, gdzie 5 tys. ludzi maszerowało 5 listopada 1956 r. w wymownym milczeniu, w Poznaniu, we Wrocławiu, w Toruniu, Bydgoszczy i Gliwicach. Te wystąpienia gromadziły dziesiątki tysięcy ludzi.

Jeszcze więcej Polaków zaangażowało się w akcję oddawania krwi oraz zbiórek pieniędzy i leków dla walczących bratanków. I wreszcie osobisty porachunek mieszkańców Szczecina w grudniu 1956 r. Burzliwa demonstracja, która zakończyła się zapaleniem konsulatu ZSRS w metropolii nad Odrą.

OPIEKUNOWIE Z MOSKWY

Dla tych, którzy przeżyli 12 lat brutalnego stalinizmu, wydarzenia z lat 1944–1956 były w pewnym sensie ciągiem dalszym niemieckiej okupacji. Jednak w odróżnieniu od tych, którzy wierni byli przedwojennym ideałom, ogromna część osób miała poczucie awansu społecznego, kulturowego czy nawet niekiedy czysto materialnego. Przyjście Gomułki to było zwiększenie marginesu wolności i dla osób, które wtedy żyły, była to gigantyczna zmiana. Jeśli ktoś codziennie, gdy świtało, zastanawiał się, czy aby o godz. 6 nie zastuka UB, to dla niego rezygnacja z masowego terroru była niewyobrażalną dziś ulgą. Tak samo dla syna przedwojennego policjanta zelżenie surowego sita przy wstępowaniu na wyższą uczelnię było gigantyczną zmianą.

Do Polski wróciło ok. 250 tys. Polaków więzionych wcześniej w łagrach i miejscach przymusowego osiedlenia we wszystkich zakątkach Związku Sowieckiego. Gomułka zasłynął jako polityczny patron epoki, którą nazwano później – za dramatem Tadeusza Różewicza – „Naszą małą stabilizacją".

Gomułka zliberalizował nieco kulturę, pozwolił na pewien poziom zamożności oraz na pewien czas poluzował doktrynalizm marksizmu. W pewnych sprawach zyskiwał wsparcie Polaków, jak np. w swojej walce o uznanie przez RFN i resztę świata Zachodu granicy na Odrze i Nysie. Ale te elementy poluzowania śruby maskowały to, że prawdziwe środki kontroli Związku Sowieckiego nad Polską zostały usunięte z publicznego widoku, ale nie stały się mniej drobiazgowe. Nie było już jawnych sowieckich doradców w wojsku i bezpiece, ale opiekunowie z Moskwy tkwili w kluczowych miejscach obu resortów. Zrezygnowano z drażniącej Polaków ostentacji, ale nie ze skuteczności kontroli.

Wbrew powszechnemu przekonaniu w więzieniach także po 1956 r. zostało wielu żołnierzy powojennej konspiracji. Najczęściej byli to ci, których skazano, szczególnie w okolicach lat 1952–1953, na bardzo wysokie wyroki, które następnie złagodzono, ale nie oznaczało to wypuszczania więźniów na wolność.

Łatwo zwalniano tych, których skazywano w sfingowanych sprawach, ale tych, którzy odważnie i na serio strzelali do funkcjonariuszy PPR, UB i KBW, nie wypuszczano łatwo. Symboliczną postacią jest tutaj Adam Boryczka, kawaler Virtuti Militari, jeden z ostatnich kurierów WiN, który wyszedł na wolność dopiero w 1967 r. Rodzin bohaterów niepodległościowego podziemia pochowanych w tajemnicy na „Łączce" i w innych miejscach tajnych pochówków ofiar systemu po 1956 r. także nie informowano, gdzie są szczątki ich bliskich.

ALIBI DLA KARIEROWICZÓW

Ten nowy, bardziej patriotyczny sztafaż był jednocześnie alibi dla znacznie szerszej liczby karierowiczów i konformistów do wchodzenia w struktury władzy. Socjolog Hanna Świda-Ziemba trafnie wskazuje, że to dopiero po 1956 r. zakończyło się dramatyczne rozdarcie między władzą i społeczeństwem. Po 1956 r. mała stabilizacja sprzęgła się z pojawieniem się nowych pokoleń, które nie pamiętały już II RP. W szkołach w miejsce starych przedwojennych nauczycieli pojawili się już absolwenci seminariów nauczycielskich z lat 50., którzy nie znali innego świata pojęć jak marksizm. I to bardzo atrakcyjne opakowanie sowieckiego zniewolenia z perspektywy czasu psuje radość ze świętowania październikowego przełomu. A w wypadku Kościoła władze już dwa lata po przełomie zaczynają jego nękanie, które prowadziło w niektórych wypadkach do wyroków więzienia dla poszczególnych księży, takich jak np. ks. Marian Pirożyński, aresztowany i więziony dwa lata pod zarzutem nielegalnego druku broszur religijnych.

Ten dwuznaczny charakter popaździernikowej odwilży trzeba wyraźnie podkreślać. Można zdefiniować go powtarzanym wówczas przez ludzi pamiętających II RP dosadnym i gorzkim powiedzonkiem: „Po 1944 r. znaleźliśmy się w dupie. Problem w tym, że po 1956 r. zaczęliśmy się w tej dupie urządzać".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457



KOMUCHOŻERCA

Kobiety w powstaniu

LESZEK ŻEBROWSKI

Jest rzeczą niesłychaną, jak mało wiemy o rozkazodawstwie z końcowego okresu powstania warszawskiego, gdy już właściwie wszystko było przesądzone. 20 września 1944 r. powstanie dogorywało na niewielkich skrawkach Warszawy, znikąd nie było nadziei i na żadną pomoc, choćby sowiecką (za cenę całkowitej od nich zależności), liczyć nie było można. A jednak dowódcy sztabowcy nadal snuli fantastyczne plany. Dziś brzmią one co najwyżej śmiesznie i przykro, wtedy musiały być odbierane jako straszne i okrutne.

Oto gen. Leopold Okulicki „Kobra" (wówczas szef sztabu Komendy Głównej AK!) wydał rozkaz, dotyczący udziału kobiet w szeregach powstańczych. Było ich bardzo wiele – pełniły przede wszystkim różne funkcje pomocnicze, ale nie brakowało ich również w pierwszej linii, gdzie z bronią w ręku towarzyszyły żołnierzom walczącym. Gdyby to był rozkaz porządkowy, normujący ich sytuację tuż przed upadkiem powstania, rzecz byłaby całkowicie naturalna. Ale tak nie było.

Generał Okulicki nakazał: „Z chwilą zakończenia walki powstańczej AK po oswobodzeniu Warszawy od Niemców zarządzam zwolnienie ze służby czynnej żołnierzy kobiet, powołanych przez Komendę Okręgu Warszawa do służby wojskowej na czas powstania". Takie rozkazy wydaje się tuż przed zwycięstwem, ale nie wobec potwornej klęski! Ciekawe, czy Okulicki fanatycznie wierzył w zwycięstwo aż do całkowitej katastrofy. Historia tamtego okresu zna niestety takie przypadki…

Jakie to miało być oswobodzenie Warszawy, pozwalające na zwalnianie części sił, która konała na oczach świata? Jak można było poważnie traktować takie rozkazy? Okulicki został przysłany z Londynu do Warszawy przez Naczelnego Wodza, gen. Kazimierza Sosnkowskiego, aby powstrzymał gorące głowy, prące do powstania za wszelką cenę. Po wylądowaniu na terenie okupowanej Polski natychmiast zmienił front i stał się współsprawcą wybuchu powstania. Potwierdziły się zatem słowa z opinii, wystawionej mu przez komendanta Wyższej Szkoły Wojennej, gen. Aurelego Marka Serdy-Teodorskiego, który w 1925 r. scharakteryzował Okulickiego nadzwyczaj trafnie: „Lekkomyślny, nieobowiązkowy, niepewny".

Rozkaz Okulickiego o służbie kobiet w powstaniu dziś brzmi jak ponury żart. Ale to nie był przypadek szczególny, takich dramatycznych treści było wówczas znacznie więcej, jak choćby rozkaz gen. Tadeusza Pełczyńskiego, wzywający 30 sierpnia 1944 r. do wywoływania powstań w innych miastach, a szczególnym zaleceniem z obserwacji walk w Warszawie był nakaz… „zamykania bram", dzięki czemu Niemcy nie przejdą. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Hańba w Buczaczu

SŁAWOMIR KOPER

Preludium do wojny polsko-tureckiej w 1672 r. były starcia Jana Sobieskiego z oddziałami tatarsko-kozackimi. Hetman miał niewielkie siły (4 tys. jazdy), ale wróg operował w rozproszeniu, dzięki czemu odniósł dwa zwycięstwa (pod Bracławiem i Kalnikiem). Więcej osiągnąć nie mógł, gdyż wielki hetman litewski Michał Kazimierz Pac rozpuścił swoje wojska, a król Michał Korybut Wiśniowiecki odmówił oddania pospolitego ruszenia pod komendę Sobieskiego. Na dworze zwyciężyła bowiem opcja wroga hetmanowi, który stał się niepokojąco popularny wśród szlachty z południowo-wschodnich Kresów Rzeczypospolitej.

Dwór królewski rozpoczął bezprecedensową kampanię przeciwko Sobieskiemu, zarzucając mu zdradę i próbę obalenia legalnego monarchy. Nie były to oskarżenia bezpodstawne, gdyż hetman cały czas pozostawał jednym z przywódców opozycji. Sytuacja stała się jednak groźna, gdy na sejmikach coraz głośniej zaczęto mówić o pozbawieniu go buławy. Głoszono też konieczność postawienia go przed sądem, którego wyrok nie mógł być dla niego korzystny.

Realizacja tych zamiarów oznaczała jednak wojnę domową i ostatecznie dwór królewski zrezygnował z podobnych planów. Gorzej, że we wzajemnym zacietrzewieniu kompletnie zignorowano zagrożenie znacznie poważniejsze niż tatarsko-kozackie. Do gry wchodził potężny przeciwnik – Turcja, która widząc słabość Rzeczypospolitej, zdecydowała się na wojnę.

Dwór królewski kompletnie się tym nie interesował, gdyż Wiśniowieckiego i jego doradców bardziej niepokoił Sobieski. Natomiast hetman miał zbyt małe siły, by przeciwstawić się najazdowi, a co gorsza zaniedbano przygotowanie do wojny kresowych twierdz z Kamieńcem Podolskim na czele.

W gronie przeciwników Sobieskiego podnosiły się głosy, że lepiej by się stało, gdyby Turcy zajęli Kraków i Warszawę (!!!), niż władzę miałaby przejąć opozycja. Na efekty nie trzeba było długo czekać, Kamieniec padł po dwutygodniowej obronie (poległ tam Jerzy Michał Wołodyjowski – pierwowzór małego rycerza z „Trylogii"), a Turcy podeszli aż pod Lwów. Po zajadłych walkach miasto jednak zapłaciło okup i wróg odstąpił od oblężenia. Wprawdzie Sobieski rozbił czambuły tatarskie, ale koniecznością stało się zawarcie pokoju z padyszachem. 16 lub 18 października 1672 r. podpisano w Buczaczu traktat będący jednym z najbardziej hańbiących układów dyplomatycznych w dziejach Rzeczypospolitej. Polska zrezygnowała z Podola i zobowiązywała się do płacenia Stambułowi corocznego trybutu.

Jedno z najpotężniejszych do niedawna państw Europy spadało w ten sposób do roli wasala sułtana. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457



Francja wrze



Jacek Przybylski

Na ulicach francuskich miast protestowało w ubiegłym tygodniu kilkaset tysięcy osób. Bunt wzniecili licealiści z paryskich przedmieść zamieszkanych przez Arabów i czarnoskórych Francuzów, po czym dołączyli do nich protestujący z różnych części kraju. Niezadowolenie rośnie, bo bogaty niegdyś kraj stał się „chorym człowiekiem Europy"

Rynek obligacji obalił więcej rządów niż haubice. Co prawda autorem tych słów jest Scott Bessent, czyli amerykański inwestor, a obecnie sekretarz skarbu USA, to zdanie to kilka razy dziennie powinni sobie powtarzać członkowie francuskich władz.

O tym, że „Francja, która w ciągu ostatnich lat stała się chorym człowiekiem Europy, może spowolnić europejską gospodarkę i zatrząść całą strefą euro", pisałem już na łamach „Do Rzeczy" we wrześniu 2025 r. (nr 38/2025). – Każdego roku wydawaliśmy dużo więcej, niż mieliśmy. Żyjemy na kredyt! Działamy od pożyczki do pożyczki – mówił wówczas premier François Bayrou, który parlamentarzystów do zaciskania pasa nie przekonał i musiał pożegnać się z teką premiera.

Od tego czasu fatalny już wówczas stan republiki jeszcze się pogorszył. I nie chodzi tylko o politykę i malejące poparcie dla odchodzącego nareszcie prezydenta, pod koniec września jedynie 18 proc. badanych deklarowało, że uważa, iż Emmanuel Macron dobrze sprawuje swój urząd, co jest najgorszym wynikiem w historii. Jeszcze gorzej wygląda stan finansów Francji. Wszystkie kluczowe wskaźniki migają na czerwono, ostrzegając przed ryzykiem katastrofy na wielką skalę. Agencja Bloomberg na początku października nazwała Francję „najsłabszym ogniwem Europy". Dług publiczny na koniec trze-

eprasa.pl 0fbd615457



Walki z policją, podpalenia i wandalizm. Tak wygląda stolica Francji pod rządami prezydenta Emmanuela Macrona. Paryż, 6 października 2026 r.

FOT. JEROME GILLES/NURPHOTO/GETTY IMAGES

ciego kwartału ubiegłego roku wynosił 3482,2 mld euro, czyli 117,4 proc. PKB, a obecnie szacowany jest na ok. 3636 mld euro (niemal 120 proc. PKB).

EFEKT KULI ŚNIEŻNEJ

Przez dekady rosnące zadłużenie drugiej gospodarki Europy nie budziło szczególnego niepokoju rynków finansowych. Globalni inwestorzy stracili jednak zaufanie do władz w Paryżu i coraz mniej chętnie pożyczają swoje pieniądze nieudolnym politykom, a jeśli już to robią, to żądają coraz wyższej premii za ryzyko. Aby znaleźć chętnych do zakupu kolejnych obligacji, francuski rząd musi już oferować oprocentowanie wynoszące niemal 5 proc. rocznie (niestety, deficyt Polski jest jeszcze wyższy), co oznacza, że Francja pożycza już pieniądze drożej niż Grecja czy Włochy. Tymczasem tylko w 2027 r. Francja będzie musiała sprzedać nowe obligacje średnio- i długoterminowe za równowartość ok. 340 mld euro. Efekt: koszt obsługi długu do 2030 r. może wzrosnąć aż o 59 proc.

Przyczyn takiego stanu rzeczy jest wiele. Deficyt budżetowy Francji przez ostatnie trzy lata utrzymywał się powyżej 5 proc. PKB, a do 2030 r. może osiągnąć poziom 6,8 proc. PKB (to dane z oficjalnego raportu francuskiego resortu finansów). Deficyt oraz dług błyskawicznie rosną mimo prób wprowadzania przez rząd kolejnych cięć. Według analiz OECD bez radykalnego ograniczenia wydatków poziom zadłużenia Francji może osiągnąć 200 proc. PKB. Głównym zagrożeniem dla finansów staje się to, że stopa procentowa obsługi zadłużenia zaczyna przewyższać tempo nominalnego wzrostu gospodarczego. Tymczasem nawet drobne w skali kraju cięcia wydatków przekładają się na spadek poziomu usług publicznych, w tym np. na gorszą jakość szkolnictwa, co budzi protesty. Obecna fala krwawych zamieszek nad Sekwaną rozpoczęła się 23 września od protestów licealistów na przedmieściach, wśród młodych Arabów i czarnoskórych Francuzów z dzielnic imigranckich i robotniczych. Według dziennika „Le Monde" domagali się m.in. zwiększenia liczby nauczycieli oraz remontów szkół, w których salach często brakuje krzeseł dla wszystkich uczniów, a po korytarzach ganiają szczury i karaluchy. Zanim zaczęli podpalać kosze na śmieci i wozy straży pożarnej, przewracać samochody, niszczyć wiaty przystankowe i tłuc szyby w przypadkowych budynkach, zwracali uwagę na nierówne szanse i potężne różnice w warunkach nauki w ich szkołach i placówkach przeznaczonych dla uczniów mieszkających w zamożnych dzielnicach Paryża.

Do licealistów dołączyli ich rodzice oraz sami nauczyciele. A także rzesze związkowców, rozwścieczonych informacją o planowanych w projekcie budżetu na rok 2027 cięciach wydatków publicznych. Protesty szybko przybrały na sile i w wielu miastach przerodziły się w regularną wojnę z policją. Chuligani w całej Francji zaczęli podpalać i niszczyć, co tylko mogą. Minister edukacji Édouard Geffray poinformował, że w wyniku aktów „niepohamowanej przemocy" podpalono lub zdewastowano ponad 20 szkół. Są one zniszczone w takim stopniu, że będą musiały pozostać zamknięte co najmniej przez kilka tygodni.

KRAJ TRZECIEGO ŚWIATA?

Sytuacja w wielu miastach wymknęła się spod kontroli rządu. Tylko w ubiegły wtorek we francuskich miastach protestowało od 256 tys. osób (według szacunków policji) do nawet 450 tys. demonstrantów (według szacunków organizatorów). Prezydent Macron zwołał więc nadzwyczajne spotkanie z szefem rządu Sébastienem Lecornu. W środę wieczorem, w telewizyjnym wystąpieniu, premier Lecornu obiecał, że do końca października przedstawi publicznie plan rządu dotyczący reakcji na obecny kryzys. Zapowiedział, że do końca tygodnia zamiast lekcji we francuskich liceach trwać będą wewnętrzne debaty z udziałem uczniów. Podkreślił jednocześnie, że „podpalenie liceum nie polepsza sytuacji" w sektorze edukacji, podobnie jak lincze na nauczycielach nie stanowią recepty na rozwiązanie problemu braków kadrowych w szkołach. Aby złagodzić nastroje, premier ogłosił również zwolnienia z rezerw strategicznych 10 mln baryłek oleju napędowego, co powinno obniżyć jego cenę o 0,12–0,18 euro za litr.

Tymczasem policjanci zatrzymali już ponad 6,5 tys. osób, głównie nieletnich chuliganów. Do rozpędzania agresywnych grup funkcjonariusze używali m.in. gumowych kul, gazu łzawiącego i armatek wodnych. Rannych zostało ponad 200 nastolatków, ok. 100 pracowników szkół i ponad 700 policjantów. Wydaje się jednak, że francuska opinia publiczna oburzyła się bardziej, gdy w trakcie starć 14-letni uczeń stracił kilka zębów, bo oberwał wystrzelonym z bliskiej odległości granatem z gazem łzawiącym, niż gdy 15-letni zamaskowany bandyta ręcznym miotaczem ognia (zrobionym z puszki aerozolu i zapalniczki) skierował płomienie w stronę twarzy kobiety stojącej na przystanku autobusowym, która miała czelność zwrócić mu uwagę. „Kraj, który importuje do siebie ludzi z Trzeciego Świata, sam szybko staje się krajem trzeciego świata" – głosi napis na zdjęciu ukazującym bandę głównie czarnoskórych młodzieńców, przypatrujących się z radością i filmujących smartfonami, jak płonie ubranie na

eprasa.pl 0fbd615457

strażaku, który jest pozbawiony jakiejkolwiek pomocy. To oczywiste nawiązanie do zdania opublikowanego przez prezydenta USA Donalda Trumpa podczas debaty na temat walki z nielegalnymi migrantami w Stanach Zjednoczonych.

W dużym uproszczeniu problem współczesnej Francji polega na tym, że w kraju, który od 1974 r. nie potrafił zbilansować swojego budżetu, niemal połowa z ponad 7 mln migrantów pochodzi z Afryki (głównie z Algierii i Maroka), i bardzo często są to osoby o niskich kwalifikacjach. Mają one ogromne problemy z odnalezieniem się na rynku pracy. Nawet ci, którzy legalnie pracują, zarabiają przeważnie mało, co przekłada się na to, że odprowadzają w podatkach do budżetu o wiele mniej pieniędzy, niż wynoszą wydatki na zasiłki dla nich i infrastrukturę socjalną, w tym mieszkania, szkoły etc. A to i tak bardzo delikatnie sformułowana diagnoza. Jak bowiem zauważył dyrektor generalny francuskiego Urzędu do spraw Imigracji i Integracji Didier Leschi, 38 proc. imigrantów nie posiada żadnych kwalifikacji. „Jesteśmy krajem OECD o najniższym poziomie kwalifikacji wśród populacji imigrantów. 35 proc. imigrantów mieszka w lokalach socjalnych, podczas gdy w przypadku osób niebędących imigrantami odsetek ten wynosi 11 proc. Dotyczy to co drugiej osoby pochodzenia algierskiego, niemal równie dużej części Marokańczyków oraz 57 proc. osób pochodzących z Afryki Subsaharyjskiej" – mówił Didier Leschi, cytowany na stronach prestiżowego francuskiego think tanku Le Cercle des économistes.

WYŚCIG DO PAŁACU ELIZEJSKIEGO

Kolejny problem polega zaś na tym, że debaty na temat problemu z demografią (wskaźnik dzietności wynosi ok. 1,56 dziecka na kobietę i jest najniższy od zakończenia drugiej wojny światowej), konfliktu pokoleń (młodzi nie chcą płacić za długi rodziców i dziadków, a także ponosić kosztów utrzymania starzejącego się społeczeństwa, tymczasem odsetek mieszkańców Francji w wieku co najmniej 65 lat ma wzrosnąć z 22 proc. obecnie do 32 proc. w 2070 r.), a także wpływu imigracji na gospodarkę często nie opierają się na poważnych, naukowych badaniach, lecz na ideologicznych przekonaniach.

Francuzi zdają sobie sprawę, że gniewu młodzieży z przedmieść nie da się ugasić zatrzymaniami czy policyjnymi kordonami. I to właśnie może być jedna z kluczowych przyczyn ogromnego wzrostu popularności przywódczyni francuskiej prawicy.

Marine Le Pen obiecała, że jeśli w przyszłym roku przejmie władzę w kraju, to radykalnie obetnie wydatki publiczne i zacznie konsekwentnie walczyć z potężnym zadłużeniem Francji. To ważna zapowiedź. Le Pen w ostatnich tygodniach wyraźnie wysunęła się bowiem na prowadzenie w sondażach przed kwietniowymi wyborami prezydenckimi, uzyskując nawet 36 proc. wskazań. Aby jeszcze wzmocnić swoją pozycję w oczach wyborców i inwestorów, liderka Zjednoczenia Narodowego przedstawia się jako kandydatka, która ma wreszcie zdroworozsądkowe podejście do gospodarki i budżetu. Le Pen zaproponowała pakiet cięć wydatków i zmian podatkowych o wartości 140 mld euro, które zamierza wprowadzić w ciągu pięciu lat. Na liście proponowanych rozwiązań znajdziemy m.in. wprowadzenie zasady ograniczającej dług publiczny do 60 proc. PKB i zmniejszania deficytu publicznego o 0,5 p.p. rocznie w celu osiągnięcia „budżetu zbliżonego do zbilansowanego". Marine Le Pen chce to osiągnąć m.in. poprzez cięcia świadczeń społecznych dla osób, które nie są obywatelami Francji (wymagałoby to jednak, zdaniem ekspertów, przeprowadzenia reform konstytucyjnych). Ponad 12 mld euro oszczędności ma dać Francji ograniczenie imigracji, a 9 mld euro zmniejszenie składek do budżetu UE. Kolejne 8 mld euro Le Pen chce zaoszczędzić, redukując biurokrację i likwidując zbędne agencje rządowe. Do likwidacji typowane są m.in. ADEME (Agencja do spraw Środowiska i Zarządzania Energią) czy OFB (Francuski Urząd do spraw Bioróżnorodności).

Le Pen obiecała równocześnie obniżenie podatku VAT o kilkanaście punktów procentowych, rozpoczęcie programu budowy mieszkań na masową skalę, wprowadzenie ochrony własności przed nielegalnymi lokatorami, a także priorytetowe traktowanie obywateli Francji przy przyznawaniu mieszkań socjalnych. Marine Le Pen zapowiedziała również, że z powodu kryzysu finansów publicznych Francji nie stać już na finansową pomoc dla Ukrainy. Zapewniła jednak, że francuscy żołnierze mogą nadal szkolić ukraińskich wojskowych oraz dostarczać im sprzęt niezbędny do obrony przed Rosją.

LE PEN KONTRA MÉLENCHON

Rosnącej popularności przywódczyni francuskiej prawicy towarzyszą też ważne zmiany na kolejnych miejscach peletonu kandydatów do tytułu prezydenta. Na drugie miejsce przeskoczył bowiem Jean-Luc Mélenchon, dawny poseł do Parlamentu Europejskiego, który w młodych latach działał w organizacjach komunistycznych i trockistowskich, a następnie przystąpił do Partii Socjalistycznej. Mélenchon, założyciel Partii Lewicy i skrajnie lewicowej Francji Niepokornej (La France insoumise – LFI), który bez skutku walczył o najwyższy urząd w państwie w latach 2012, 2017 i 2022 r., tym razem według sondaży wszedłby do drugiej tury wyborów z poparciem 17–18 proc. Jak na socjalistę przystało, Mélenchon ma radykalnie prosty pomysł na pozbycie się długów Francji. Otwarcie przekonuje, by zasypać potężną dziurę w państwowym skarbcu, poprzez „wrzucenie wszystkich papierów dłużnych w ogień", czyli wymazaniu setek miliardów euro francuskich obligacji w Banku Francji. Mélenchon w ubiegłym tygodniu świadomie dolewał również oliwy do ognia, wzywając swych zwolenników do wychodzenia na ulice i dołączania do protestów. Wśród jego sympatyków nie brakuje bowiem miłośników czerwonej flagi z sierpem i młotem.

Wiele wskazuje więc na to, że głosujący we Francji będą 18 kwietnia 2027 r. wybierać właśnie między skrajną prawicą a skrajną lewicą. Według sondaży lider centroprawicy przywódca partii Horizons i były premier Édouard Philippe może liczyć na 13–16 proc. głosów. Według badań opinii publicznej w przypadku pojedynku Le Pen z Mélenchonem ta pierwsza wygrałaby bez trudu, otrzymując 69 proc. głosów. Według sondaży w starciu z Philippe'em liderka Zjednoczenia Narodowego otrzymałaby 57 proc. poparcia.

Danym tym pilnie przypatrują się również globalni inwestorzy. Zdaniem wielu z nich przyszłoroczne wybory prezydenckie we Francji mogą jeszcze pogłębić trwający od lat impas polityczny i doprowadzić do jeszcze bardziej rozrzutnej polityki, zwiększającej wydatki na świadczenia socjalne w zadłużonej po uszy republice.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457



FOT. ADOBE STOCK

KOLEKCJONER KOŚCI

Interwencja ekipy hydraulicznej w La Paz, wezwanej nocą celem usunięcia awarii w jednym z budynków, spowodowała zaskakujące odkrycie. Ale po kolei. Ponieważ mieszkanie było zamknięte, hydraulicy w towarzystwie dozorcy wyważyli drzwi, aby lokale położone poniżej nie zostały całkowicie zalane. Wyciek wody z rozszczelnionej rury zatrzymano, lecz przy okazji natrafiono na... ludzkie kości. Natychmiast wezwano policję i lekarza, który ustalił, że dobrze zakonserwowane szczątki należą do wielu osób zmarłych na przestrzeni kilku dekad. Zatrzymany właściciel lokum, Leonardo Almeyda, z zawodu grabarz, wyjaśnił, że kości pochodzą ze zrujnowanych mogił na rozmaitych cmentarzach boliwijskich. Nie potrafił jednak wytłumaczyć, dlaczego zabierał je przez lata do domu. Teraz głowią się nad tym medycy, gdyż „kolekcjoner kości" został poddany specjalistycznym badaniom w klinice psychiatrycznej.

ZADYMIONE URODZINY

Zabawa w Indian jest popularna wśród dzieci również w Finlandii. Bosse Soininen z miasta Turku świętował 10. urodziny w gronie rówieśników. Wraz z kolegami, przebrani za Komanczów czy też Mohikanów, doskonale bawili się w przydomowym ogródku. Jednak deszczowa aura sprawiła, że chłopcy przenieśli się po pewnym czasie do pokoju jubilata. Wkrótce zaczęły się stamtąd wydobywać kłęby dymu. Na szczęście znajdujący się opodal rodzice Bossego szybko wezwali straż pożarną. Okazało się, iż zaprószenie ognia przez niepełnoletnich wynikało z chęci uzyskania sygnałów dymnych, jakże charakterystycznego sposobu indiańskiej komunikacji.

RYBA Z KLEJNOTEM

Jonathan W. Iserbright na długo zapamięta swoją ostatnią wyprawę na ryby. Trzydziestodziewięcioletni Kanadyjczyk od prawie ćwierćwiecza jest zapalonym wędkarzem. Ma na koncie kilka medalowych okazów. Szczególnie lubi polować na ryby drapieżne, przeważnie za pomocą spinningu, używając rozmaitych woblerów. Tak też czynił, wędkując z łódki na Jeziorze Górnym. Poszczęściło mu się, ponieważ po 15-minutowej walce złowił ponad czterokilogramowego szczupaka. Przy patroszeniu ryby odnalazł w jej wnętrznościach srebrny pierścionek z turmalinem. Ofiarował go swej małżonce Cheryl w podzięce za jej wyrozumiałość wobec jego częstych i – jak ze skruchą przyznał – nieraz mocno zakrapianych eskapad nad akweny. Pozostaje zagadką, kiedy i gdzie wartościowa biżuteria trafiła do rybiego jadłospisu.

SKOK NA PIASEK

O niebywałym szczęściu może mówić pewien indyjski rolnik, który w stanie nietrzeźwym wracał nocą do swojego domostwa. Trasa prowadziła przez most na rzece Brahmaputra. Szedłszy przez niego trzymał się barierki, która nagle pękła, mężczyzna stracił równowagę i runął. Traf chciał, że pod mostem cumowała akurat barka transportująca piasek, toteż upadek skończył się jedynie potłuczeniem. ©℗ ***(TO-RT)***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Hiszpańska ruletka

Przebiegły premier Pedro Sánchez zarządził przedterminowe wybory. Zamiast za rok Hiszpanie do urn pójdą już 29 listopada. Szef Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE) chce bowiem wykorzystać nagły skok popularności swego ugrupowania, który wynika z oburzenia Hiszpanów na szybko rosnące ceny mieszkań i parlamentarnej porażki jego partii w głosowaniach dotyczących mieszkalnictwa.
Po eksmisji na bruk 87-letniej mieszkanki Madrytu w kraju wybuchły protesty i zamieszki, a demonstranci z dumą podpalali, co się da, i wymachiwali czerwoną flagą z sierpem i młotem.

Sánchez mami Hiszpanów tym, że socjaliści nie dopuszczą do kolejnych tego typu eksmisji. I jak na socjalistę przystało, zaproponował już kolejnych 21 rozwiązań, w tym nowy podatek od najmu sezonowego czy zakaz spekulacyjnych zakupów nieruchomości (sic!). Dzięki przyspieszonym wyborom premier zamierza nie tylko przedłużyć czas rządów lewicy, lecz także powiększyć stan posiadania w parlamencie. Teoretycznie robi to po to, aby przeforsować jeszcze większe ograniczenia wprowadzania podwyżek czynszów i prawa utrudniające eksmisje osób w trudnej sytuacji. Praktyczny powód jest inny: oskarżani o korupcję i nieudolność socjaliści są pogrążeni w takim kryzysie, że nie potrafią zdobyć głosów, aby przyjąć ustawę budżetową.

Na szczęście dla konserwatystów – i dla samej Hiszpanii – ryzykowne zagranie Sáncheza może zakończyć się odsunięciem socjalistów od władzy. Jeśli politykom prawicowej partii Vox uda się przesunąć akcent z mieszkalnictwa na ogromny kryzys migracyjny, to Sánchez i jego partia przepadną z kretesem. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457

Przymiarki do panteonu



Maciej Pieczyński

Nie wiadomo jeszcze, kiedy dokładnie powstanie panteon narodowy w Kijowie ani kto się w nim znajdzie. Tymczasem media i ośrodki badań opinii nad Dnieprem już teraz pytają Ukraińców, kogo uważają za swoich bohaterów. W gronie wyróżnionych znaleźli się nie tylko Bandera i Szuchewycz



Lwowski Pomnik Tarasa Szewczenki

FOT. ADOBE STOCK

Latem duże kontrowersje wywołał w Polsce sam pomysł ustanowienia Ukraińskiego Panteonu Narodowego. Biorąc bowiem pod uwagę dotychczasowe doświadczenia z polityką historyczną Kijowa, można założyć, że wśród upamiętnionych nie zabraknie nazwisk nacjonalistów związanych z OUN czy UPA. Ukraińcy mimo wszystko wyciągnęli do Warszawy rękę, proponując włączenie do panteonu Marka Bezruczki, czyli wspólnego bohatera obu narodów. Bezruczko był oficerem Ukraińskiej Republiki Ludowej, który walczył po stronie Polski w wojnie z bolszewikami. Zasłynął przede wszystkim obroną Zamościa przed 1. Armią Konną Siemiona Budionnego.

Oczywiście propozycja złożona przez Andrija Sybihę, szefa MSZ Ukrainy, nie rozwiązuje najważniejszego problemu we wzajemnych relacjach. Stronie polskiej nie chodzi przecież o to, by Ukraińcy dodali do panteonu jakiegoś akceptowalnego dla nas bohatera, tylko o to, by usunęli tych, których zaakceptować nie możemy. Kijów nie chce się jednak na to zgodzić i histerycznie reaguje na wszystkie głosy sprzeciwiające się gloryfikacji zbrodniarzy, argumentując, że układanie własnego panteonu to suwerenne prawo każdego państwa.

ZEŁENSKI POZA PODIUM

Uchwalona przez parlament w lipcu i podpisana przez prezydenta w sierpniu ustawa o panteonie narodowym nie zawiera nazwisk bohaterów, którzy mieliby się w nim znaleźć. Rząd ma dopiero przygotować odpowiednie akty wykonawcze. Następnie rozpisany zostanie konkurs na wykonawcę projektu, połączony z konsultacjami społecznymi. Tymczasem wyobrażenie o tym, kto może się znaleźć w panteonie albo kogo już teraz Ukraińcy uważają za bohatera narodowego, dają z jednej strony wyniki badań opinii publicznej, a z drugiej – prowadzona w tamtejszych mediach debata.

Na początku sierpnia tego roku grupa Rejtynh poprosiła Ukraińców o wskazanie trzech najwybitniejszych rodaków w historii. Ponad 60 proc. respondentów wymieniło Tarasa Szewczenkę, ukraińskiego wieszcza narodowego z XIX w., otoczonego nad Dnieprem szczególną czcią. Z pochodzenia był on chłopem pańszczyźnianym, wykupionym z poddaństwa przez rosyjskich artystów z Petersburga,

eprasa.pl 0fbd615457

którzy dostrzegli w nim talent malarski. Szewczenko przede wszystkim był jednak pisarzem. Prozę pisał po rosyjsku, poezję – po ukraińsku, inspirując się ukraińskim folklorem i tradycjami kozackimi. Działał w opozycyjnym Bractwie Cyryla i Metodego, które postulowało m.in. przekształcenie carskiej Rosji w federację. Trafił za to na zesłanie. W słynnym poemacie „Kateryna" przestrzegał ukraińskie dziewczyny, aby nie zakochiwały się w Moskalach. Na koncie ma też dwa ważne utwory o Polakach. W „Hajdamakach" heroizuje tytułowych kozackich buntowników, wyrzynających szlachtę. W wierszu „Do Polaków" nawołuje do pojednania, winą za konflikty polsko-ukraińskie obarczając polską magnaterię i duchowieństwo, nawracające w ramach unii brzeskiej prawosławnych na katolicyzm. Drugie miejsce w sondażu grupy Rejtynh z wynikiem 28,4 proc. zdobyła pisarka Łesia Ukrainka. Podium zamknął Bohdan Chmielnicki (15,9 proc.). Z kolei 11 proc. respondentów wskazało Stepana Banderę, z którym Wołodymyr Zełenski przegrał o 0,6 p.p.

Okolicznością sprzyjającą rozważaniom na temat polityki historycznej była 35. rocznica uzyskania niepodległości, obchodzona pod koniec sierpnia. Z tej okazji wpływowy tygodnik NV opublikował listę 35 najwybitniejszych osób w historii Ukrainy, sporządzoną przez 35-osobową grupę ekspertów. W gronie jurorów znaleźli się m.in. historycy Jarosław Hrycak i Wachtang Kipiani (wielki apologeta kultu OUN i UPA, obecnie żołnierz walczący na froncie), pisarze Jurij Andruchowycz i Serhij Żadan, obecny szef Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej Ołeksandr Ałfiorow i jego poprzednik Anton Drobowycz, znany wolontariusz Serhij Prytuła, politolog Wołodymyr Fesenko oraz szef Biura Prezydenta Kyryło Budanow.

„ZASŁUGI" BANDERY

NV sporządza tego rodzaju rankingi (z różną regularnością) od dekady. Do tej pory za każdym razem najwięcej głosów od ekspertów otrzymywał Taras Szewczenko. Tym razem po raz pierwszy został on zdetronizowany przez Iwana Mazepę. Hetman kozacki, który podczas wojny północnej zmienił front, przechodząc ze strony rosyjskiej na polsko-szwedzką, dostał od jurorów 16 punktów. Szewczenko przegrał z nim o jeden punkt. Trzecie



Bohdan Chmielnicki na miedziorycie Wilhelma Hondiusa (1651 r.)

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

miejsce zajęli ex aequo książęta kijowscy Włodzimierz Wielki i Jarosław Mądry, historyk i polityk Mychajło Hruszewski oraz metropolita Andrej Szeptycki (11 głosów). Dziewięć punktów przyznano natomiast hetmanowi Bohdanowi Chmielnickiemu.

Szewczenko to jeden z kilku pisarzy, których w plebiscycie NV uznano za najwybitniejszych Ukraińców. W tym gronie warto zwrócić jeszcze uwagę na Iwana Kotlarewskiego, autora XVIII-wiecznego poematu heroikomicznego „Eneida", uważanego za pierwszy utwór napisany nowoczesnym językiem ukraińskim. To właśnie główny bohater tego bardzo znanego nad Dnieprem dzieła, a nie mało znany watażka UPA, był inspiracją dla nazwy zespołu Enej.

W gronie 35 „najwybitniejszych Ukraińców" zabrakło Romana Szuchewycza, pojawił się natomiast Stepan Bandera. Oto jak jurorzy uzasadnili wybór przywódcy OUN: „Główny ideolog i symbol walki o niepodległość Ukrainy w pierwszej połowie XX w. Wyróżniał się szczególnym męstwem, oddaniem ideom nacjonalistycznym oraz radykalizmem". Wśród „zasług" Bandery jednym tchem eksperci wymieniają dwa zamachy: na sowieckiego dyplomatę Aleksieja Majłowa (zemsta za Wielki Głód) oraz na polskiego ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego (zemsta za „prześladowanie ukraińskich chłopów"). „Podczas II wojny światowej, próbując bronić ukraińskiej suwerenności, Bandera uważał za wrogów tych, którzy znajdowali się po przeciwnych stronach barykady – zarówno niemieckich okupantów, jak i władzę sowiecką. W 1941 r. naziści na trzy lata osadzili go w obozie koncentracyjnym za proklamowanie państwa ukraińskiego w okupowanym Lwowie" – czytamy dalej. Ani słowa o tym, że proklamowana przez banderowców Ukraina miała być sojuszniczką III Rzeszy.

Na liście „najwybitniejszych" znalazł się również polityk, który z polskiej perspektywy byłby bardzo dobrą alternatywą dla Bandery. Jednak uzasadnienie, opublikowane przez tygodnik NV, udziela wyczerpującej odpowiedzi na pytanie, dlaczego Symon Petlura (bo o nim mowa) nie ma szans w symbolicznym starciu z przywódcą OUN: „W jego życiu były wzloty i upadki, zwycięstwa i porażki, ale najważniejszą ideą zawsze pozostawała niepodległość Ukrainy […]. Subtelna gra dyplomatyczna Petlury oraz umizgi (ukr. zahrawannia – przyp. M.P.) wobec rządzonej przez Józefa Piłsudskiego Polski, w której ukraiński lider widział sojusznika w walce z czerwoną Rosją, nie przyniosły oczekiwanego rezultatu". Obaj finalnie ponieśli klęskę – próbowali się oprzeć na sojusznikach (jeden na Piłsudskim, drugi na Hitlerze) i zostali przez nich w ten czy inny sposób zdradzeni. A jednak to Petlura ma gorszą prasę. Banderze eksperci „umizgów" wobec Hitlera nie wypominają.

ZEMSTA OLGI

Aż sześcioro spośród wyróżnionej trzydziestki piątki to postacie historyczne rodem z wczesnośredniowiecznej Rusi. Daniel Halicki w XIII w. rządził księstwem halicko-wołyńskim. To jedyny koronowany formalnie na króla władca ruski. Księstwo halicko-wołyńskie to część dawnej Rusi, obejmujące dzisiejszą zachodnią Ukrainę. Natomiast pozostali wczesnośredniowieczni bohaterowie mają już związek z Rusią Kijowską. Czyli z państwem, które stanowi wspólny korzeń późniejszej Ukrainy, Rosji i Białorusi. Mnich Nestor jest autorem „Powieści minionych lat", najstarszej ruskiej kroniki, z której czerpiemy dużą część informacji o tamtych czasach. Przedstawia ona, poza polityczną publicystyką, pisaną pod dyktando aktualnego władcy, również sporo wątków biblijnych oraz legendy m.in. o założeniu Kijowa czy o tym, jak apostoł Andrzej przewidział powstanie tego miasta.

eprasa.pl 0fbd615457

Poza Nestorem reszta bohaterów to władcy ruscy. Wszyscy panowali na ziemiach, które dziś należą do Ukrainy, Białorusi i Rosji. Włodzimierz Wielki, Jarosław Mądry i Włodzimierz Monomach zasiadali na tronie wielkoksiążęcym. Pierwszy schrystianizował Ruś w 988 r., drugi dbał o rozwój kultury, architektury i prawa, a trzeci starał się utrzymać jedność w coraz bardziej rozbitym na dzielnice państwie. Niewątpliwie najbarwniejszą postacią w tym towarzystwie jest księżna Olga. Prawdopodobnie urodziła się pod Pskowem (w pierwszej połowie X w.), czyli na terenie dzisiejszej Rosji. Objęła rządy, gdy jej mąż, wielki książę kijowski Igor, został zamordowany przez wojowników z plemienia Drewlan po tym, jak zachłannie zażądał od nich dodatkowej daniny.

Barwna, półlegendarna opowieść o zemście Olgi za śmierć męża to jeden z najciekawszych wątków „Powieści minionych lat" i stanowi materiał na fascynujący film przygodowy z hollywoodzkim rozmachem. Najpierw Drewlanie wysłali do Kijowa posłańców z następującym komunikatem: „Zabiliśmy twego męża. Jesteś wolna. Mamy więc propozycję nie do odrzucenia – zostań żoną naszego księcia Mała". Olga zgodziła się i kazała posłańcom drewlańskim zaczekać nad brzegiem Dniepru. Nazajutrz mieli zostać wezwani na dwór książęcy i uroczyście przyjęci. Gdy Olga wysłała po nich swoich ludzi, Drewlanie zgodnie z podpowiedzią samej księżnej zażądali dumnie, by zaniesiono ich w łodzi. Ich żądanie zostało spełnione. Okazało się jednak, że zamiast honorów na dworze kijowskim czekała ich wykopana w ziemi głęboka jama. Zostali do niej wrzuceni wraz z łodzią. Olga z triumfalnym sarkazmem zapytała: „Czy dobrze was uczciliśmy?". „Gorsza nam śmierć niż Igorowi" – padła odpowiedź zakopywanych żywcem posłańców.

Olga przyjęła chrzest, ale nie zdołała schrystianizować swego państwa – dokonał tego dopiero jej wnuk

Następnie księżna poinformowała Drewlan, że jeśli naprawdę chcą, by wyszła za ich księcia, to muszą osobiście poprosić ją o to najdostojniejsi mężowie plemienia. Tak też się stało. Gdy do Kijowa przybyli przedstawiciele drewlańskiej elity, Olga kazała im przygotować kąpiel przed spotkaniem z nią. Łaźnię, do której weszli Drewlanie, zamknięto i podpalono. Tak dokonała się druga zemsta.

Wtedy Olga posłała do Drewlan z informacją, że zgadza się wyjść za Mała. Poprosiła jedynie, by przygotowali tryznę (czyli stypę) na część jej męża w miejscu, w którym go zabili. Wojowie drewlańscy i kijowscy wspólnie biesiadowali. Na pytanie: „Gdzie są nasi ludzie, których do ciebie wysłaliśmy?", Olga dwuznacznie odpowiedziała: „Idą za mną z drużyną męża mego". Latopisarz najwyraźniej nie miał zbyt dobrego zdania o domyślności Drewlan. Gdy się upili, Kijowianie ich wymordowali. „I zasiekli ich pięć tysięcy" – czytamy w kronice.

Wybuchła otwarta wojna. Wojska Olgi obległy Iskorosteń, stolicę plemienia. Mieszkańcy bronili się zaciekle w obawie przed brutalną zemstą. Wtedy Olga zapewniła ich, że odstąpi od grodu, jeśli dostanie symboliczną daninę, po trzy gołębie i trzy wróble z każdego dworu. Drewlanie poczuli ulgę i spełnili życzenie „wspaniałomyślnej" księżnej. Olga poleciła zaś swoim ludziom, by przywiązali podarowanym ptakom hubkę (łatwopalny materiał) i podpalili ją. Wypuszczone gołębie i wróble wróciły do swoich gniazd w Iskorosteniu, wywołując pożar. W ten sposób Olga zdobyła gród Drewlan, mordując większość jego mieszkańców.

ŁĄCZNIK Z ROSJĄ

Narzuca się tu ironiczna uwaga: ukraiński kult władczyni znanej z palenia i zakopywania wrogów żywcem, pozwala zrozumieć, dlaczego nad Dnieprem gloryfikowani są sprawcy rzezi wołyńskiej. Jednak taki komentarz nie uwzględnia dalszych losów Olgi, która stała się pierwszą w dziejach chrześcijanką stojącą na czele Rusi. Przy czym nawet do jej chrztu doszło, jeśli wierzyć „Powieści minionych lat", za sprawą podstępu. Według legendy chciał wziąć ją za żonę sam cesarz bizantyjski Konstantyn Porfirogeneta. Olga nie odmówiła, ale zauważyła, że nie wypada mu żenić się z poganką. Imperator ochrzcił więc księżną. Wtedy Olga uświadomiła mu, że przecież jej z kolei nie wypada wyjść za mąż za własnego ojca chrzestnego. Konstantyn był pod wielkim wrażeniem sprytu Olgi i obsypał ją darami. Najprawdopodobniej jest to legenda wymyślona na potrzeby budowania mitu Rusi jako państwa silnego i niezależnego od „wielkiego brata", jakim było dla niej Bizancjum.



Łesia Ukrainka (1871–1913) na fotografii z 1886 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

I choć faktem jest, że Olga przyjęła chrzest, to jednak nie zdołała schrystianizować swego państwa, tego dokonał dopiero jej wnuk Włodzimierz Wielki. Została też kanonizowana i jest świętą zarówno prawosławną, jak i katolicką.

Ciekawie wybór Olgi uzasadnił na łamach NV Jarosław Hrycak. Przyznał, że nazywana jest ona „najokrutniejszą władczynią w dziejach świata", ale najważniejsze, że zmieniła się na lepsze i została chrześcijanką. Analogiczny proces, według Hrycaka, przeszła Ukraina, w swojej historii stopniowo ograniczając „przemoc stosowaną przez państwo". W odwrotnym kierunku poszła natomiast Rosja, czyniąc okrucieństwo elementem codzienności swoich obywateli od narodzin aż po śmierć. To oczywiście wyidealizowana narracja ukraińskiego historyka, mająca z rzeczywistością tyle wspólnego co sama średniowieczna legenda. Przede wszystkim jednak trzeba pamiętać, że Olga – tak jak Włodzimierz Wielki, Jarosław Mądry, Nestor czy Włodzimierz Monomach – nie była Ukrainką. Nie była też Rosjanką. Jest natomiast bohaterką historii obu tych narodów i państw, które dziś rywalizują o to, czyja jest Ruś. Jej miotanie się między przemocą a świętością jest akurat typowo rosyjskie. I generalnie Olga jest jednym z wielu dowodów na to, że Ukrainę i Rosję wiele łączy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457



Z dr. Pawłem Behrendtem, ekspertem do spraw Japonii
rozmawia Piotr Włoczyk

Samuraj zdejmuje rękawice

PIOTR WŁOCZYK: Premier Sanae Takaichi świętuje w październiku pierwszą rocznicę objęcia urzędu. Czym konkretnie ta pierwsza kobieta na stanowisku premiera Japonii zasłużyła sobie na miano „japońskiej Margaret Thatcher", jak określają ją zachodnie media?

DR PAWEŁ BEHRENDT: To porównanie bardzo się podoba samej premier Takaichi. W polityce zagranicznej i obronnej jest zdecydowana i asertywna, natomiast w polityce wewnętrznej pozuje na miłą ciocię, która zawsze ma dla Japończyków dobre słowo.

Swoje rządy zaczęła od mocnego akcentu: powiedziała, że jeżeli Chiny zaatakują Tajwan, to może to zagrażać bezpieczeństwu narodowemu Japonii, co z kolei może uruchomić japońskie procedury obronne, łącznie z wykorzystaniem sojuszu z USA. Chiny zareagowały na to histerycznie.

Pojawiły się bojkoty towarów „Made in Japan", a władze w Pekinie namawiały swoich obywateli, by rezygnowali z wycieczek do Japonii.

Nie ma się co dziwić tej reakcji, bo Takaichi powiedziała tak naprawdę: sprawdzam. Już wcześniej w japońskich dokumentach strategicznych dość jasno przedstawiano kwestię reakcji na agresję na Tajwan, ale po raz pierwszy takie słowa wypowiedziała szefowa rządu.

Japońscy eksperci otwarcie przyznają, że od lat 90. głównym celem sojuszu z USA nie jest już obrona Japonii, jak w czasie zimnej wojny, ale zabezpieczenie Korei Południowej i Tajwanu. Z kolei głównym celem Chin stała się w związku z tym neutralizacja Japonii. Na razie Chiny stosują w tym zakresie operacje psychologiczne, próbując zastraszyć społeczeństwo japońskie. Przykładem są aresztowania w ChRL pracowników japońskich firm pod zarzutem szpiegostwa czy groźby odwetu gospodarczego.

Czy Japończycy, tak jak wielu Europejczyków, boją się, że Donald Trump „porzuci" swojego wielkiego azjatyckiego sojusznika?

Obawy są, ale dopingują do działania. Japonia jest najważniejszym, najbliższym sojusznikiem USA na Dalekim Wschodzie. Przede wszystkim siły morskie Japonii są doskonale zintegrowane z US Navy.

W Europie bardzo często Trump traktowany jest jako aberracja, coś, co przeminie i znowu będzie „normalnie". Nie, nie będzie „normalnie", i Japończycy mają pełną świadomość, że amerykańska polityka zagraniczna bardzo się zmieniła. Inna sprawa, że wymagania stawiane sojusznikom przez administrację Trumpa nie różnią się wiele od tego, co robili jego poprzednicy. Zmienił się natomiast styl.

Japończycy wiedzą, że bez USA sami nie zdziałają wiele w ewentualnym konflikcie z Chinami. A w związku z tym trzeba się dostosować do nowej polityki Amerykanów. W Japonii, w przeciwieństwie do Europy, rozumieją, że to oparcie nie będzie już tak wygodne jak kiedyś. I dlatego Japończycy angażują się w formaty takie jak np. Quad – porozumienie Australii, Indii, Japonii i USA – które pozwalają lepiej radzić sobie w świecie z mniejszą obecnością USA, ale jednocześnie cały czas utrzymują Amerykę zakotwiczoną w regionie.

Zresztą Waszyngton już od 70 lat naciska na władze w Tokio, by zrewidowały swoją konstytucję, pozbyły się krępujących zapisów i wzięły większą odpowiedzialność za bezpieczeństwo w regionie.

To w sumie całkiem zabawne, bo przecież to sami Amerykanie napisali po wojnie Japończykom tak pacyfistyczną konstytucję.

Kwestią zasadniczą jest art. 9 konstytucji, w którym Japonia wyrzeka się wojny i rezygnuje z posiadania sił zbrojnych. Konstytucja ma już niemal 80 lat i historia pokazała, że bardzo trudno jest zmienić ten zapis.

Chociaż Sanae Takaichi po wygraniu wyborów parlamentarnych w lutym tego roku powiedziała, że „historyczne zwycięstwo" rządzącej koalicji daje jej mandat do zmiany pacyfistycznej konstytucji.

Pani premier rzeczywiście ma takie ambitne plany, ale nie jest ona pierwszym japońskim politykiem, który chciał to zmienić. Już kilka lat po wojnie padały pytania, jak ten zapis konstytucji ma się do Karty Narodów Zjednoczonych, która każdemu państwu daje prawo do samoobrony. Amerykanie napisali Japończykom konstytucję, ale bardzo szybko, już po przegranej Czang Kaj-szeka, Waszyngton zaczął naciskać na Tokio, by Japonia stworzyła silną armię.

Współczesne Japońskie Siły Samoobrony powstały w 1954 r. Od tego czasu toczą się nieustanne dyskusje na temat miejsca tej formacji w japońskim porządku prawnym. Już pod koniec lat 50. premier Nobusuke Kishi mówił, że należy przeprowadzić rewizję konstytucji. W latach 70. pojawił się natomiast termin „Futsu no kuni", czyli postulat uczynienia z Japonii „normalnego kraju", posiadającego oficjalne siły zbrojne.

Jak silne było to „nieoficjalne" wojsko?

Już w latach 70. Japonia znalazła się w pierwszej dziesiątce państw świata wydających najwięcej na wojsko, więc naturalnie było ono silne. Jednak cały czas toczyła się debata, czy te siły mają służyć jedynie do obrony samej Japonii, czy mogą też działać w sąsiedztwie wysp.

eprasa.pl 0fbd615457

Ten temat wrócił na początku obecnego wieku, gdy do władzy doszedł prawicowy premier Jun'ichirō Koizumi. Otwarcie mówił, że chce zrewidować zapisy konstytucji. Nic z tego nie wyszło, bo nie miał wystarczająco mocnego mandatu parlamentarnego. Na japońskiej prawicy cały czas widać było jednak chęć odbudowania Japonii jako „normalnego kraju" i zerwania z „falandyzacją" prawa w kontekście sił zbrojnych.

Ubiegła dekada to rządy kolejnego prawicowego premiera. Shinzō Abe, nawiasem mówiąc wnuk wspomnianego premiera Kishiego, również mówił o chęci zmiany konstytucji w tym zakresie, wyznaczał nawet kolejne daty. Nie miał jednak odpowiedniej większości, musiał rządzić w koalicji z partią buddyjską, która jest z definicji pacyfistyczna.

Możemy się chyba doszukać wielu podobieństw między obecną panią premier a Shinzō Abe, który zginął w zamachu w 2022 r.

To prawda. Premier Takaichi była polityczną protegowaną Abe i pozostaje jego wierną uczennicą. Takaichi jako pierwsza ma wreszcie odpowiednio silne zaplecze parlamentarne, by te zmiany przeprowadzić.

Czy jeżeli Japończycy dali Takaichi tak silny mandat, to znaczy, że tamtejsze społeczeństwo jest już gotowe patrzeć na swój pacyfizm nieco inaczej?

Pacyfizm stał się po wojnie częścią tożsamości narodowej Japończyków, ale musimy rozumieć, że japoński pacyfizm, czyli „heiwa-shugi", nie do końca pokrywa się z zachodnim rozumieniem tego terminu. Nie tyle oznacza on bowiem w Japonii wyrzeczenie się wszelkiej przemocy, ile uznanie, że stosowanie jej nie rozwiązuje wszystkich problemów państwa. To nie oznacza jednak, że państwo nie powinno móc się obronić przed agresją. Japończycy widzą przecież napór ze strony Chin, Korei Północnej, a także Rosji. W Japonii nie ma więc poparcia dla siły jako często stosowanego narzędzia prowadzenia polityki zagranicznej, jak ma to miejsce choćby w przypadku USA, natomiast większość ankietowanych Japończyków opowiada się za rewizją konstytucji. Nie tyle nawet w sensie znoszenia ograniczeń, ile uporządkowania i ujednolicenia przepisów.

Jakie konkretnie problemy wiążą się z tym, że Japonia nie ma oficjalnego wojska, tylko Siły Samoobrony?

Sama nazwa nie jest problemem, bo przez siedem dekad zakorzeniła się na dobre, zresztą inne państwa, choćby Izrael czy Australia też nazywają w ten sposób swoje wojsko. Ludzie służący w Siłach Samoobrony nie mają statusu żołnierzy, tylko funkcjonariuszy publicznych, jak policjanci czy strażacy, co może powodować spore komplikacje w razie wojny.

Chodzi o status jeńca?

Dokładnie, czy przeciwnik będzie ich traktował w razie pojmania jak żołnierzy czy formację paramilitarną lub wręcz cywili? Ale to tylko jeden z problemów.

Czy za rządów „japońskiej Margaret Thatcher" uda się tak zmienić konstytucję, by zniknęły takie komplikacje?

Takaichi ma na to największe szanse spośród wszystkich dotychczasowych premierów. Na japońskiej scenie politycznej widać już konsensus, że obecny stan prawny wymaga zmian. Myślę, że w ciągu kilku najbliższych lat Japonia zmieni konstytucję pod tym względem.

Japonia i bez zmiany konstytucji robi w ostatnich latach dużo, by wzmocnić swoje bezpieczeństwo, wydając coraz więcej na wojsko. Niedługo dojdzie do poziomu 2 proc. PKB, co jest wielką zmianą jak na Japonię, a rząd w Tokio rozważa, pod naciskiem USA, dalsze zwiększanie wydatków na wojsko.

Co ciekawe, przeznaczając zaledwie 1 proc. PKB na obronę, Japonia i tak była w pierwszej dziesiątce krajów wydających najwięcej, w liczbach bezwzględnych, na siły zbrojne. Wielkość PKB robi swoje…

Japoński rząd chce wydawać na obronność jeszcze większe pieniądze, ale konieczne będą roszady budżetowe, bo tamtejsza gospodarka od ponad trzech dekad zmaga się przecież z poważnymi problemami.

Nawiasem mówiąc, podejście do bezpieczeństwa jest w Japonii dużo szersze niż u nas. Japończycy niechętnie sprzedawali do tej pory za granicę broń, ale od lat inwestują w lotniska i porty zaprzyjaźnionych państw w regionie, co pozwala obsługiwać większe samoloty wojskowe i okręty. W tej kwestii Japonia celuje w „miękkie" zdolności militarne.



Za rządów premier Takaichi Japonia postanowiła jednak zdjąć część restrykcji eksportowych odnośnie do uzbrojenia.

Państwa z regionu od lat zabiegają o pozyskiwanie japońskiego sprzętu z demobilu. Przykładowo: dla Wietnamu, Filipin i Indonezji jest to okazja, by stosunkowo tanim kosztem zwiększyć własne zdolności. Jednak to nie jest tak, że Japonia będzie teraz sprzedawała broń wszystkim. Sprzęt „miękki", jak radary czy urządzenia do rozminowywania są swobodnie dostępne, ale w myśl nowych przepisów sprzęt „twardy" będzie dostępny jedynie dla państw, z którymi Japonia ma podpisane umowy o ochronie tajnych danych, przykładowo wspomniane Wietnam, Filipiny i Indonezja. Te dwa ostatnie państwa finalizują negocjacje w sprawie kupna wycofanych japońskich niszczycieli.

Japończycy znani są jako producenci świetnych okrętów. Dysponują m.in. „niszczycielami śmigłowcowymi", które tak naprawdę są małymi lotniskowcami.

Dwa największe „niszczyciele śmigłowcowe" są właśnie przystosowywane do obsługi myśliwców F-35 startujących i lądujących pionowo, więc tak właściwie już oficjalnie można mówić, że Japonia ma lotniskowce.

eprasa.pl 0fbd615457



Wizyta premier Sanae Takaichi w Malezji przy okazji szczytu ASEAN, październik 2025 r.

FOT. CABINET SECRETARIAT/WIKIMEDIA COMMONS CC BY 4.0

Władimir Putin rozwścieczył ostatnio Japończyków, odwiedzając Wyspy Kurylskie, przejęte przez Stalina tuż po drugiej wojnie światowej. Czy Tokio i Moskwa to już oficjalnie przeciwnicy?

Japończycy wkładają w to jeszcze jakiś wysiłek, ale Rosja otwarcie już mówi, że relacje są bardzo chłodne. Tokio od lat zwraca uwagę, że część Wysp Kurylskich została zajęta po kapitulacji Japonii, więc Moskwa bezprawnie sprawuje nad nimi kontrolę. Japonia zgłasza pretensje do czterech wysepek położonych niedaleko brzegów Hokkaido. Rosja usiłowała to w przeszłości wykorzystać w charakterze karty przetargowej, oferując dwie z czterech wysp, w zamian oczekując zamknięcia amerykańskich baz… Rosja oczywiście nie odda tych wysp, nawet za sowitą rekompensatą, ponieważ byłoby to dla niej niekorzystne pod względem kontroli Morza Ochockiego.

Japończycy byli bardzo oburzeni wizytą Putina, ale jednak towarzyszyła temu refleksja, że tak naprawdę nie mają jak odpowiedzieć Rosji.

Pewną formą odpowiedzi jest chyba pomaganie Ukrainie w powstrzymywaniu rosyjskiej agresji.

I Japończycy robią to od początku wojny Rosji przeciw Ukrainie, co było wielkim zaskoczeniem chyba dla wszystkich. Chociaż nie wysyłają na Ukrainę sprzętu bojowego, to jednak japońskie agregaty prądotwórcze czy maszyny budowlane też są przecież niezwykle przydatne dla Ukraińców.

6 sierpnia tego roku korespondent „Le Monde" w Tokio donosił: „Napięcia w Azji Wschodniej skłaniają japoński rząd do podjęcia debaty na temat broni atomowej i to w czasie, gdy Japonia upamiętnia rocznice zrzucenia bomb atomowych". Czy Japonia dołączy niedługo do jądrowego „klubu"?

W tym temacie dzieje się bardzo dużo, choć broń atomowa jest objęta w Japonii silnym tabu, właśnie z powodu bombardowań Hiroszimy i Nagasaki.

Po raz pierwszy debata na temat ewentualnej nuklearyzacji rozpoczęła się w Japonii w połowie lat 60., gdy Chiny przeprowadziły swój test atomowy. Rząd w Tokio powołał wtedy specjalny panel ekspertów, którzy po przeanalizowaniu sprawy stwierdzili, że pozyskanie broni jądrowej po prostu się nie opłaca.

Jakie były argumenty przeciw nuklearyzacji?

Z jednej strony spodziewano się bardzo ostrej reakcji własnych obywateli. To przecież bardzo rozpolitykowane społeczeństwo; w tamtym czasie protesty robotnicze i studenckie były w Japonii bardzo częste. Z drugiej strony, uznano, że taki krok przyniesie w regionie więcej szkód politycznych niż korzyści. Ledwie 20 lat wcześniej skończyła się wojna, pamięć o brutalnej japońskiej okupacji była wciąż żywa w wielu sąsiednich państwach.

W połowie lat 90. doszło do pierwszej północnokoreańskiej próby jądrowej, w związku z czym Japończycy powołali następny panel ekspercki, który znów wydał podobne zalecenia.

Teraz mija kolejne 30 lat i znowu mamy dyskusję o broni atomowej. Wywołało ją przede wszystkim rozwijanie przez ChRL arsenału jądrowego, Pekin chce się zbliżyć w tej kwestii do potencjału USA i Rosji.

Ta dyskusja jest prowadzona w Japonii bardzo ostrożnie, ponieważ poziom poparcia dla zbudowania własnego arsenału jądrowego wciąż jest bardzo niski. W zależności od sondażu jedynie ok. 10 proc. obywateli jest „za". Dla porównania: w Korei Południowej ok. 70 proc. społeczeństwa popiera uzbrojenie ich kraju w broń jądrową.

Ale przecież posiadanie broni atomowej zwiększa bezpieczeństwo państwa.

Japończycy żywią bardzo głęboko zakorzenione przekonanie, że ponieważ byli oni jedynymi w historii ofiarami użycia broni atomowej, to spoczywa na nich szczególny moralny obowiązek. Japonia zawsze podkreślała, że atom musi być wykorzystywany tylko dla pokoju.

Ile kroków tak naprawdę dzieli Japonię od bomby atomowej?

Często mówi się, że Japonia ma bombę atomową „w piwnicy". Jest to pewna przesada, ale Japonia byłaby w stanie dość szybko zbudować broń atomową, choć najważniejsze byłoby „zielone światło" z Waszyngtonu. Myślę, że ten temat będzie regularnie powracać, ale nie wydaje mi się, że Japonia dołączy do grona państw atomowych.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



***Doktor Paweł Behrendt** jest ekspertem do spraw Japonii z Instytutu Studiów Azjatyckich i Globalnych im. Michała Boyma.*

eprasa.pl 0fbd615457



Fortuna stoika



Jakub Wozinski

Twórca Telegrama różni się od technofeudałów z Doliny Krzemowej tym, że najwyraźniej szczerze fascynuje go wolność

Według ostatniej listy najbogatszych ludzi świata magazynu „Forbes" urodzony w Leningradzie Pawieł Durow zajmuje odległą, 623. pozycję. Nie jest więc postacią, która stawałaby w szranki bezpośrednio z Elonem Muskiem czy Billem Gatesem, a mimo to stworzona przez niego platforma komunikacyjna wydaje się dla milionów ludzi na świecie szczególnie cenna.

W przeciwieństwie do zdecydowanej większości komunikatorów uruchomiony w 2013 r. Telegram nie tylko nie przeczesuje naszych prywatnych wiadomości przy pomocy rozmaitych algorytmów na użytek reklamodawców, lecz także szczyci się tym, że jeszcze nigdy nie przekazał żadnemu rządowi nawet bita danych na ten temat. Podobnie twierdzą wprawdzie dostawcy pozostałych popularnych aplikacji służących do przesyłania wiadomości, lecz Durow słysząc tego rodzaju opinie, niemal natychmiast ripostuje, że są one całkowicie wyssane z palca. W przypadku swojego największego konkurenta, komunikatora Signal, twierdzi on od lat, że za sfinansowaniem jego protokołu szyfrującego stoi amerykański rząd.

MILIARD UŻYTKOWNIKÓW

Kto tak naprawdę ma rację w wielkim sporze o prywatność i bezpieczeństwo ko-

eprasa.pl 0fbd615457

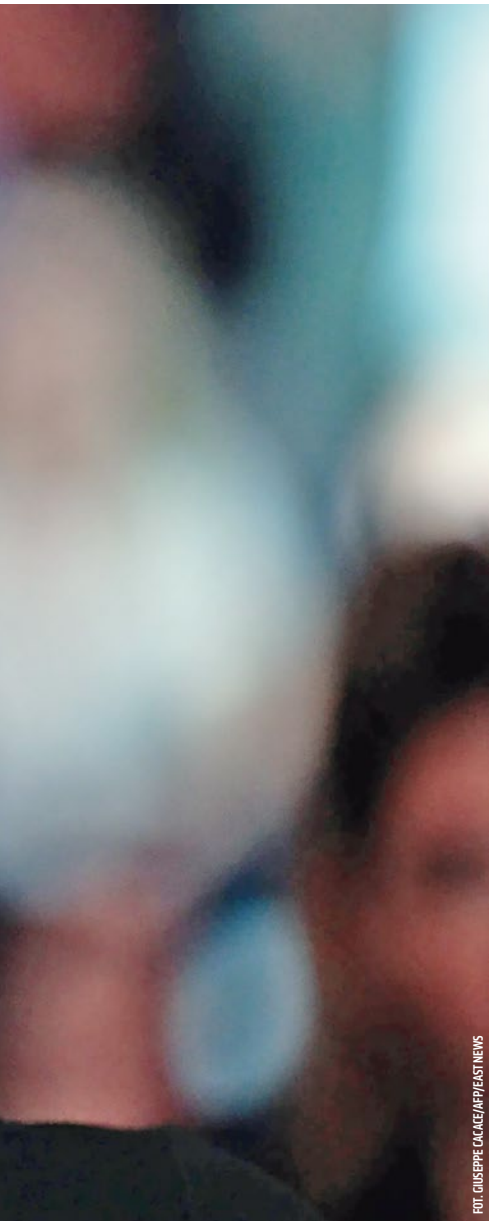

FOT. GIUSEPPE CACACE/AFP/EAST NEWS

munikatorów? Udzielenie odpowiedzi na to pytanie nie należy do najłatwiejszych, lecz pewną wskazówką może być fakt, że Telegram cieszy się szczególną popularnością w krajach słynących z ograniczania wolności wypowiedzi, a nawet tam, gdzie korzystanie z niego jest wprost zakazane. W Chinach, w Iranie czy na Kubie aplikacja stworzona przez Durowa oficjalnie jest zablokowana, a mimo to dziesiątki milionów ludzi podejmuje ryzyko korzystania z niej bez względu na poważne niekiedy konsekwencje karne.

Telegram nie jest światowym liderem na rynku komunikatorów, ponieważ zachodnie społeczeństwa nie stawiają kwestii bezpieczeństwa i poufności na pierwszym miejscu. Mimo to w ostatnich latach zainteresowanie nim wyraźnie wzrasta, przez co zdobył już ponad miliard użytkowników. Znaczny wpływ ma na to fakt, że Durow od lat starannie buduje swój wizerunek bezkompromisowego obrońcy wolności. W pewnym sensie zależy mu na tym, aby prezentować się jako twórca komunikacyjnego „bitcoina", czyli zdecentralizowanego i wolnego od państwowej kontroli standardu przekazywania wiadomości.

W świetle tej wizji Telegram miałby być owocem jego geniuszu przekazanym ludzkości właściwie za darmo, gdyż po raz pierwszy spółka zarządzająca komunikatorem przyniosła zysk dopiero w 2024 r. W jednym z niedawnych wywiadów Durow zszokował swoją rozmówczynię stwierdzeniem, że nie posiada na własność żadnych nieruchomości, luksusowych aut czy jachtów. Deklarując przywiązanie do maksymy „swoboda jest cenniejsza niż pieniądze", starannie buduje swój wizerunek geniusza, który nie pożąda pieniędzy, a zamiast tego interesuje go przede wszystkim wolność. Czy miliarder, któremu niejednokrotnie wykazywano związki z rosyjskimi oligarchami, rzeczywiście jest tak niepoprawnym idealistą?

Można w to co najmniej wątpić, ale bez względu na to, czy twórca Telegrama jest jednym z ostatnich obrońców wolności w całym Internecie czy twórcą zuchwałej mistyfikacji, jego poglądy, przedsięwzięcia i inicjatywy wymykają się wszelkim schematom.

STOIK Z LENINGRADU

Urodzony w 1984 r. Rosjanin wspomina czasami o tym, jak wielkim szokiem poznawczym była dla niego przeprowadzka do Włoch, na którą rodzice zdecydowali się jeszcze przed upadkiem Związku Sowieckiego. Z szarego i posępnego „raju robotników" Durow przeniósł się do jednego z najbogatszych regionów Europy i już jako kilkuletnie dziecko dostrzegał, jak ogromny wpływ na rozwój społeczeństwa ma wolność.

Włoski rozdział jego życia trwał tylko kilka lat, gdyż wykładający filologię klasyczną ojciec Durowa, Walerij, zdecydował się na powrót do kraju już w 1992 r. Chłopak mógł jednak dzięki temu spojrzeć na świat z zupełnie innej perspektywy. Podobnie jak ojciec wybrał studia filologiczne (język angielski) na Petersburskim Uniwersytecie Państwowym, lecz jego życiowe pasje pchały go w zupełnie innym kierunku. W trakcie studiów zakładał internetowe fora, na których krytykował socjalizm i władzę autorytarną. Już wtedy skrystalizowała się również jego filozofia życiowa, której trzyma się do dzisiaj. Można ją określić mianem libertariańskiego stoicyzmu.

Walerij Durow przekładał na rosyjski teksty m.in. Seneki i był świetnie zorientowany w starożytnej filozofii. Pod jego wpływem założyciel Telegrama wypracował własną filozofię życiową, której filarami są ascetyzm, samodyscyplina, powściąganie emocji, racjonalizm oraz unikanie drobnych przyjemności. Durow twierdzi, że każdego dnia wykonuje kilkaset pompek i przysiadów, regularnie zagląda na siłownię, nigdy nie sięgnął po jakąkolwiek używkę, nie pije kawy, tylko sporadycznie korzysta ze smartfona, dba o dietę, unikając cukru i czerwonego mięsa, oraz kąpie się w lodowatej wodzie.

Jak przystało na stoika, Durow regularnie konfrontuje się z myślą o swojej śmierci i stara się nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do kwestii materialnych. Zgodnie z jego deklaracjami prawdziwe szczęście dają tylko wolność i życie w zgodzie z własnymi zasadami. Gdy tego rodzaju słowa padają z ust człowieka dysponującego majątkiem wartym 6,6 mld dol., można co najmniej powątpiewać w ich prawdziwość. Wiele jednak wskazuje na to, że Durow rzeczywiście nie kłamie, gdy opowiada o tym, że nie posiada żadnych dóbr luksusowych. Swój majątek gromadzi bowiem głównie w aktywach cyfrowych, które w pełni współgrają z jego filozofią wolności.

Jako wielki entuzjasta wolnościowych środków płatniczych Durow kupił w 2013 r. kilka tysięcy bitcoinów. Wtedy jeden bitcoin kosztował ok. 700 dol., obecnie najpopularniejsza kryptowaluta świata warta jest ponad 63 tys. dol. Rosjanin przyznaje niekiedy, że to właśnie inwestycje w bitcoina pozwoliły mu naprawdę się wzbogacić i pozyskać kapitał niezbędny do realizacji innych przedsięwzięć.

eprasa.pl 0fbd615457

Dzięki bitcoinom Durow może prowadzić bardzo ekstrawaganckie życie, bo choć stoicyzm skłania go do nieposiadania luksusów na własność, to przecież ta filozofia nie zabrania korzystania z nich. Założyciel Telegrama mieszka na co dzień w Dubaju, w bajecznie urządzonej willi na sztucznej wyspie, płacąc za wynajem milion dolarów rocznie.

Zanim jednak Durow zaczął latać między Dubajem, Paryżem a Karaibami, musiał zapracować na swój sukces w mroźnym Petersburgu. Zdobywszy pierwsze doświadczenia w zakładaniu forów internetowych, zauważył, że w Rosji brakuje odpowiednika robiącego właśnie furorę w Ameryce Facebooka. Wspólnie z dwoma kolegami ze studiów, Lwem Lewiewem i Wiaczesławem (Ichakiem) Mirilaszwilim, założyli zatem w 2006 r. portal VKontakte (obecnie VK), który w ciągu pół roku zyskał aż milion użytkowników.

PORADA OD PUTINA

Piorunujący sukces „rosyjskiego Facebooka" bywa niekiedy przedstawiany jako klasyczna opowieść o młodych ludziach, którzy przeszli drogę od pucybuta do milionera. W rzeczywistości znaczny wkład w wypromowanie VK miał rosyjsko-izraelski oligarcha, Michaił Mirilaszwili, ojciec jednego z pomysłodawców portalu, trudniący się m.in. handlem paliwami, hazardem czy też obrotem nieruchomościami. Durow posiadał początkowo 20 proc. udziałów, lecz z biegiem czasu coraz większy wpływ na firmę zyskiwali inni akcjonariusze.

Gdy w czasie protestów na kijowskim Majdanie Kreml zażądał od VK dostępu do wiadomości wysyłanych przez protestujących Ukraińców, Durow odmówił. Podobnie zareagował, gdy zażądano usunięcia profilu Aleksieja Nawalnego. Niebawem władze wymusiły na młodym Rosjaninie wyjście ze spółki. Sam Durow wspominał, że jeszcze w 2013 r. miał okazję rozmawiać z Putinem, który ostrzegł go, że jeśli chce prowadzić taki biznes, to powinien to robić w Izraelu.

Po 2014 r. Durow postanowił zacząć wszystko od początku i poluzował swoje więzi z ojczyzną. Tak przynajmniej deklarował, choć rosyjskie władze wytknęły mu później, że przecież regularnie odwiedzał Rosję. Głównym udziałowcem VK stał się zaś Aliszer Usmanow, który jest dziś najbogatszym człowiekiem w całej Federacji Rosyjskiej.

Po wyjeździe z kraju Durow uzyskał obywatelstwo Saint Kitts i Nevis oraz poświęcił się w całości swojemu nowemu projektowi – komunikatorowi Telegram. Wspólnie z bratem, Nikołajem, założył go rok przed opuszczeniem VK. Ale mimo że oficjalnie nowy biznes zarejestrowany był w Dubaju, zespół informatyków pracował w Petersburgu – w tych samych biurach, które wciąż służyły pracownikom VK. Wedle niektórych doniesień kapitał na nową inwestycję miał dostarczyć wspomniany już Usmanow.

Kreml nie krył irytacji wzrostem popularności nowego komunikatora i podjął przeciwko Durowowi wrogie działania

Zaprojektowany przez rosyjskich informatyków Telegram bardzo szybko nie tylko dorównał sukcesowi VK, ale wkrótce przebił go, stając się popularnym na całym świecie komunikatorem. Durow wyemitował nawet własną kryptowalutę, której obrót miał być możliwy dzięki Telegramowi, ale amerykański regulator (SEC) nakazał wycofanie jej z obiegu wobec licznych zastrzeżeń prawnych.

OGROMNA „RODZINA"

Kreml nie krył irytacji wzrostem popularności nowego komunikatora i podjął przeciwko Durowowi wrogie działania. W jednym z niedawnych wywiadów biznesmen wyznał, że w 2018 r., gdy władze próbowały go zmusić do ugięcia się i przekazania FSB kluczy szyfrujących, doszło do próby otrucia go. Nieznany człowiek zostawił mu pod drzwiami tajemniczy pakunek, w którym znajdowała się substancja paraliżująca całe ciało. Durow twierdzi, że cudem uniknął wtedy śmierci.

Nazwisko założyciela Telegrama znalazło się na ustach całego świata w 2024 r., gdy został nieoczekiwanie aresztowany przez francuskie władze pod zarzutem braku reakcji na działalność przestępczą szerzącą się przy pomocy należącego do niego komunikatora. Durow zdołał wpłacić kaucję, lecz przez kolejne dziewięć miesięcy musiał pozostać we Francji i składać zeznania. Przy okazji udzielał licznych wywiadów, w których podkreślał swoje oddanie sprawie wolności i opowiadał o prześladowaniach, które spadły na niego z tego powodu. Durow bez wątpienia miał prawo czuć się nieco zażenowany tego rodzaju oskarżeniami, gdyż jednym z największych fanów tej aplikacji wciąż pozostaje sam Emmanuel Macron. Obaj panowie mieli zresztą spotykać się z dala od fleszy fotoreporterów przynajmniej kilka razy, a na rzecz tej tezy świadczy fakt, że pomimo okazyjnych pobytów nad Sekwaną Durow posiada obecnie także obywatelstwo francuskie, co mogło się dokonać tylko za sprawą specjalnej interwencji władzy wykonawczej.

Miliony ludzi na całym świecie są przekonane, że 42-letni Rosjanin to jeden z ostatnich prawdziwych ideowców, który dostarcza ludziom tak bardzo pożądanego i deficytowego towaru jak bezpieczna i poufna komunikacja w Internecie. Jednak jego uwikłanie w skorumpowany rosyjski system władzy i biznesu jest bezsporne. W Federacji Rosyjskiej osiągnięcie pewnego pułapu działalności gospodarczej bez podjęcia współpracy z władzami jest po prostu niemożliwe i młody syn filologa z Petersburga miał raczej nikłe szanse na to, aby złamać ten schemat.

Bez względu na to, kim jest Durow i jakie są jego rzeczywiste zamiary, warto docenić jego gest. Rok temu internetowe portale obiegła elektryzująca wieść, że założyciel Telegrama postanowił zapisać cały swój majątek… wszystkim 100 dzieciom, których jest ojcem. Jak przystało na wolnościowca, Durow spłodził oficjalnie sześcioro dzieci z trzema różnymi kobietami, lecz równolegle był także donatorem dla banku nasienia. Według jego wyliczeń stał się dzięki temu biologicznym ojcem aż 100 dzieci. Każdemu z nich zamierza zapisać taki sam udział w swoim majątku, choć uprawnienia do niego nabędą dopiero za 30 lat. Najpierw mają się bowiem nauczyć tej samej samodyscypliny i ascetyzmu co ich ojciec.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0fbd615457



PROSTO ZYGZAKIEM

Najdroższe państwo

PIOTR GABRYEL

Polska oczywiście powinna być dla każdego Polaka (i dla wielu z nas jest) najdroższym państwem. I to nie tylko w Europie, lecz także na całym świecie. Ale na pewno nie w tym sensie, nie w tym znaczeniu słowa „najdroższa", o którym piszę poniżej.

Oto bowiem aż ok. 10 proc. w ciągu tylko jednego 2025 r. wzrosły wydatki polskiego państwa. Innymi słowy: aż o 10 proc. w ciągu tylko jednego roku podrożało i o tyle więcej kosztuje nas jego funkcjonowanie. I o tyle też więcej niż zaledwie rok wcześniej (w 2024 r.) za funkcjonowanie naszego państwa w 2025 r. albo już zapłaciliśmy w ubiegłym roku, albo zapłacimy w najbliższych latach – spłacając błyskawicznie rosnący dług Polski, z którego powiększania chwilowo finansowane jest także to tak szybko drożejące w utrzymaniu, tak nam drogie, polskie państwo.

Sumowaniem kosztów jego funkcjonowania – w imieniu bez skrupułów łupionych przez to państwo obywateli – od lat zajmuje się Forum Obywatelskiego Rozwoju. Z najnowszych obliczeń FOR wynika, że w 2025 r. wydatki polskiego państwa sięgnęły już niemal 2 bln zł, co w przeliczeniu na jego obywatela dało aż 53 222 zł, czyli aż o 5,2 tys. zł, aż o owe ok. 10 proc. więcej niż w 2024 r. Ba, wydatki polskiego państwa wzrosły – i były pod tym względem najszybciej rosnącymi wydatkami w całej UE – aż do 50,9 proc., wskutek czego Polska przegoniła w tym niechlubnym rankingu już nawet tak drogie dla swych obywateli w utrzymaniu państwa, jak Niemcy, Szwecja i Dania.

Oczywiście czasami warto wydać większe pieniądze, jeśli w zamian otrzyma się towar lub usługę lepszej jakości. Ale czy na pewno w 2025 r., gdy koszt utrzymania naszego państwa wzrósł nam aż o ok. 10 proc., także jakość jego funkcjonowania się poprawiła, np. o owe 10 proc.? Nie odnoszę takiego wrażenia. Ba, mam wręcz odwrotne: że także w 2025 r. mieliśmy do czynienia z regresem jakości funkcjonowania państwa: jego systemu ochrony zdrowia, sądownictwa, szkolnictwa, administracji państwowej, sił zbrojnych, o jakości życia politycznego nie wspominając. Innymi słowy, z polskim państwem jest tak, jak z zarządzanym przez nie systemem ochrony zdrowia: co roku płacimy lekarzom o całe dziesiątki miliardów złotych więcej, otrzymując od nich w zamian tyle samo albo tylko niewiele więcej usług medycznych, zazwyczaj tej samej jakości.

Tak, Polska nie jest jeszcze najdroższym państwem w UE, ale się do tej pozycji niebezpiecznie szybko zbliża. Po wyprzedzeniu Niemiec przed nami w UE – w owym kompromitującym rankingu najdroższych dla swych obywateli państw – już tylko Finlandia, Francja, Austria, Belgia i Włochy. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Strzelić sobie fotkę

ŁUKASZ WARZECHA

Wśród kobiet z koalicji rządzącej pojawiła się moda, aby fotografować się z bronią na strzelnicy. Każdy, kto ze strzelaniem ma do czynienia regularnie, lustrując te fotografie, natychmiast zauważy, że albo mamy do czynienia z nieudolnym pozowaniem albo z kimś, kto ma w ręku pistolet czy karabin po raz pierwszy. Ułożenie ciała, ułożenie rąk albo detale takie jak broń odłożona na stoliku bez zamka w tylnym położeniu, wszystko to wskazuje na to, że chodzi wyłącznie o PR.

Minister edukacji Barbara Nowacka grzmi, że mówiący o szerszym dostępie do broni prezydent powinien potężnie puknąć się w głowę

Te zdjęcia – czy to Magdaleny Sobkowiak-Czarneckiej (wiceminister obrony), czy Hanny Gill-Piątek (byłej poseł KO, radnej sejmiku województwa łódzkiego) – są w zamierzeniu niby złośliwą odpowiedzią na uwagi Sławomira Mentzena wskazujące, że kobiety niekoniecznie nadają się do liniowej służby w policji. Może jednak wynika z nich mimo wszystko coś pozytywnego. Wszak niedawno prezydent Nawrocki stwierdził, że powinna rozpocząć się dyskusja o ułatwieniu Polakom dostępu do broni.

Można zakładać, że skoro przynajmniej niektóre kobiety z koalicji rządzącej tak lubią pokazywać się z bronią na fotkach, to w przypadku gdyby w Sejmie znalazł się projekt racjonalizujący dostęp Polaków do broni (choćby poprzez usunięcie idiotycznej klasyfikacji broni pod względem celu zamiast pod względem rodzaju), one ten projekt poprą.

Dobrze by się jednak stało, gdyby panie z obozu władzy uzgodniły swoje stanowiska. W tym samym bowiem czasie minister edukacji Barbara Nowacka grzmi, że mówiący o szerszym dostępie do broni prezydent powinien potężnie puknąć się w głowę. Mam przekonanie graniczące z pewnością, że pani Nowacka nie tylko w życiu nie miała pistoletu w ręku, lecz także nie ma zielonego pojęcia o tym, jakie w tej sprawie obowiązują w Polsce przepisy lub ile sztuk broni jest w naszym kraju w prywatnych rękach. Bo przecież nie chodzi tu o żadną wymianę uzasadnionych opinii, tylko o pobudzenie emocji. Dokładnie tak samo, jak w przypadku zdjęć pań polityków na strzelnicy. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457

Czy Łukaszenka poprze Trumpa w konflikcie z Kanadą?



Andrzej Solecki

21 września prezydent Donald Trump ujawnił na platformie Truth Social, że Stany Zjednoczone pracują nad ogromną umową dotyczącą zakupu potażu z Białorusi, którego cena miałaby być znacznie niższa od tej, którą Amerykanie płacą Kanadzie, co stanowi bardzo dobrą wiadomość dla amerykańskich rolników i hodowców

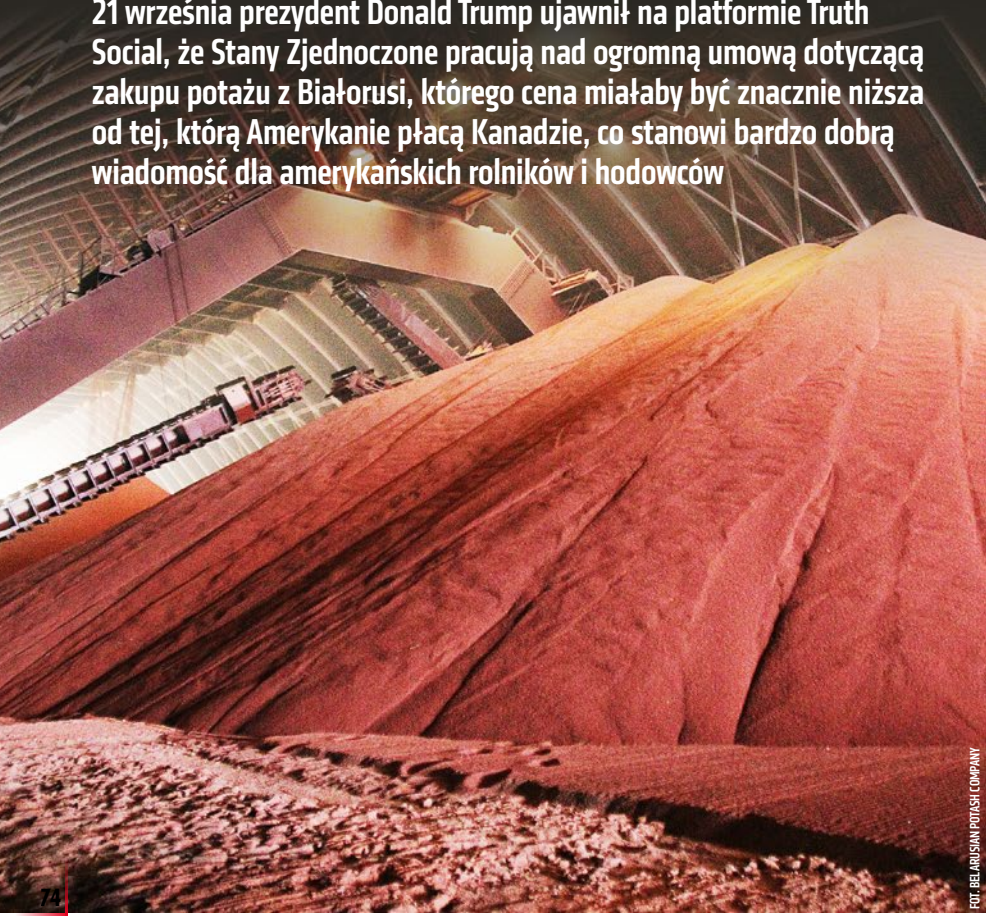

FOT. BELARUSIAN POTASH COMPANY

Negocjacje Stanów Zjednoczonych z Białorusią wiążą się z wojną celną USA – Kanada i chęcią wykazania, że kanadyjska produkcja soli potasowych nie jest niezbędna dla amerykańskiego rolnictwa.

„Potaż" („potash") jest terminem angielskim używanym do określenia soli potasowych. Pochodzi on z czasów, gdy w wyniku ługowania w żeliwnych garnkach („pot") popiołów drzew liściastych („ash") uzyskiwano wodorotlenek potasu, który, reagując z dwutlenkiem węgla z powietrza, zmieniał się w węglan potasu. Procedura ta wynikała z faktu, że popiół ze spalanego drewna może zawierać ok. 16 proc. tlenku potasu. Anglojęzyczny termin „potash" służy obecnie do określenia wszelkich soli potasowych, także tych pozyskiwanych ze złóż mineralnych, a zawartość potasu nawet w chlorkach przeliczana jest na ekwiwalent w postaci tlenku K_2O.

NIEZBĘDNY PIERWIASTEK

Potas wraz z wapniem, magnezem, sodem i chlorem jest jednym z pięciu makroelementów mineralnych niezbędnych dla rozwoju roślin. Jego średnia zawartość w skorupie ziemskiej wynosi 2,6 proc., a w granitach często przekracza 5 proc. Spośród surowców mineralnych największą zawartością potasu charakteryzują się sole powstałe w wyniku odparowania wody morskiej. Są one łatwe do wykrycia w otworach wiertniczych, dzięki podwyższonej radioaktywności wynikającej z tego, że radioaktywny izotop potasu (^{40}K) jest najbardziej intensywnym źródłem promieniowania gamma w skorupie ziemskiej

Obecny w solach pochodzenia morskiego chlorek potasu (sylwin) zawiera ponad 52 proc. tego pierwiastka, co jest ekwiwalentem 63,2 proc. tlenku potasu. Zawartość potasu w materii roślinnej waha się od 0,5 do 2 proc. i jest on ważnym regulatorem różnych procesów, poczynając od otwierania i zamykania aparatów szparkowych kontrolujących wymianę gazową. Odgrywa ważną rolę w fotosyntezie, regulacji wzrostu i syntezie białek. W organizmach zwierząt odpowiedzialny jest, wraz z sodem, za wytwarzanie potencjałów elektrycznych szczególnie istotnych dla przewodzenia impulsów nerwowych. Jego odpowiednie stężenie jest niezbędne dla właściwej pracy serca. Europejski Urząd do spraw Bezpieczeństwa Żywności (EFSA) zaleca dla osób

eprasa.pl 0fbd615457

w wieku powyżej 15 lat spożywanie potasu w ilości 3,5 g/dobę, a dla matek karmiących nawet 4 g/dobę. Dobrym źródłem potasu jest koncentrat pomidorowy, który zawiera ponad 1 proc. potasu, a kakao i sucha soja mają go nawet dwukrotnie więcej.

BIAŁORUŚ DRUGĄ KANADĄ?

Nic więc dziwnego, że sole potasowe są niezastąpione w nowoczesnej intensywnej produkcji rolnej. Światowe wydobycie soli potasowych, przeliczone na ekwiwalent K_2O, w roku 2021 wynosiło 46 mln ton. Z wydobyciem rzędu 14,2 mln ton Kanada była największym producentem, ale Rosja i Białoruś łącznie wydobywały 16,7 mln ton. W 2022 r., na skutek sankcji związanych z rosyjską agresją na Ukrainę, wydobycie łączne Rosji i Białorusi spadło do 8 mln ton, co wykorzystała Kanada, zwiększając produkcję do 16 mln ton. Przy jednoczesnym wzroście ceny do poziomu 1 tys. dol. za tonę zapewniło to firmom działającym w Kanadzie wzrost przychodu rzędu 1,8 mld dol.

W kolejnych latach Rosja i Białoruś odbudowały swoje wydobycie i w roku 2025 osiągnęły poziom 16 mln ton, a produkcja w Kanadzie spadła do 15 mln ton. Dane te potwierdzają tezę, którą zawarto w artykule opublikowanym 13 lutego 2022 r. wydaniu tygodnika („DRz" nr 7/2022), że głównym beneficjentem sankcji będzie Kanada, a Białoruś znajdzie szybko nowe rynki zbytu. Stosunkowo szybkie odbudowanie poziomu wydobycia Rosji i Białorusi wynika z faktu, że wszyscy potrzebują nawozów potasowych do produkcji żywności.

Ostatnie oświadczenie prezydenta Trumpa i stopniowe znoszenie sankcji na Białoruś, zwłaszcza w zakresie soli potasowych, w niewielkim stopniu wpłyną na rynek amerykański. Nowym rynkiem zbytu dla Białorusi są głównie Chiny. Alaksandr Łukaszenka już w marcu 2026 r. tytułowany przez prezydenta Trumpa wielce szanownym prezydentem, oczekiwanym na Radzie Pokoju, gdzie zabrakło miejsca dla Kanady, musiał z żalem stwierdzić, że w chwili obecnej nie może pomóc USA, ponieważ aktualna produkcja jest już wysprzedana. Stwierdził także, że najpierw Waszyngton musi odblokować 43–44 mln dol. zamrożonych w 2022 r. w Citibanku. Należy pamiętać też, że zapotrzebowanie importowe USA w roku 2025 było rzędu 5,6 mln ton, czyli ponad 93 proc. białoruskiego wydobycia. 4 października 2026 r. „Financial Times" podał, że jeszcze 15 września w petersburskim głębokowodnym terminalu Bronka załadowano 30 tys. ton granulatu chlorku potasu, który oczekiwany jest w Nowym Orleanie 14 października.

ZGODA POLSKI?

Jak widać, mimo że Ukraina nie zareagowała pozytywnie na prośbę USA o umożliwienie transportu białoruskich nawozów, a Kęstutis Budrys, litewski minister spraw zagranicznych, podtrzymał blokadę ewentualnego transportu białoruskich soli potasowych przez Litwę, twierdząc, że żaden kraj Unii Europejskiej nie może obecnie uczestniczyć w ich transporcie, ale do dyspozycji Białorusi pozostają porty rosyjskie.

Pewne nadzieje na uruchomienie transportu białoruskich nawozów przez Polskę mogą wiązać się z faktem, że następnego dnia po oświadczeniu prezydenta Trumpa szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski spotkał się z ministrem spraw zagranicznych Białorusi Maksymem Ryżenkowem w czasie sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku. Określił to spotkanie jako zapoznawcze. Rozwój sytuacji potwierdza, że opinie części krajowych ekspertów na temat braku samodzielności i atutów u białoruskiego prezydenta nie są warte papieru, na którym zostały napisane. Nasi ideolodzy, zaślepieni misją szerzenia demokracji, od lat nie zauważają, że Alaksandr Łukaszenka zachowuje pewną niezależność od Moskwy, mimo braku zachodniego wsparcia. Nie zauważyli też chyba, że w 2013 r., po aresztowaniu w Mińsku dyrektora generalnego „Uralkali" Vladislava Baumgertnera, doszło do wojny celnej Białorusi z Rosją, która ogłosiła 25-procentową redukcję dostaw ropy na Białoruś i zakaz importu wieprzowiny. Jaskółką zwiastującą otrzeźwienie naszych polityków jest opinia ministra Sikorskiego, że Białorusini są bardzo zaniepokojeni ewentualnością wciągnięcia w wojnę, i stwierdzenie, że gdy sąsiad chce stosunki odmrozić i polepszyć, to Polska zawsze jest pierwsza do zgody. Również data spotkania szefów dyplomacji Polski i Białorusi pozwala żywić nadzieję, że amerykańsko-białoruski reset może wpłynąć także na politykę Warszawy.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 0fbd615457

POCZET POLSKICH WODZÓW

Mikołaj Potocki, hetman klęski



JACEK KOMUDA

Mikołaj Potocki, zwany „Niedźwiedzią Łapą", to dowódca, który dowodził armią koronną w chwili, kiedy Rzeczpospolita zaczęła tracić mocarstwową pozycję. Niestety, hetman nie stanął na wysokości zadania, które stawiała przed nim historia. I choć odnosił czasem zwycięstwa, to za jego porażki zapłaciły Korona i Litwa.

Potocki był następcą jednego z największych wodzów w XVII w., Stanisława Koniecpolskiego. Urodzony w 1593 r. miał ogromne doświadczenie, które jednak nie przełożyło się na zwycięskie kampanie. W 1611 r. brał udział w walkach pod Smoleńskiem, gdzie być może dowodził, jako nastolatek, chorągwią husarską, a w 1620 r., po klęsce pod Mohylowem, dostał się do niewoli, z której wykupiła go żona. W 1624 r. brał udział u boku hetmana Koniecpolskiego w walkach z Tatarami, a rok później w ekspedycji przeciwko kozakom nad Jeziorem Kurukowskim. W wojnie ze Szwedami, która zaczęła się w 1626 r., dowodził już pułkiem, a w czasie nieobecności Koniecpolskiego powierzono mu komendę nad całością oddziałów. To nie on jednak dowodził w zakończonej porażką bitwie pod Górznem w lutym 1629 r. Rok później brał udział w kolejnych walkach z kozakami i w oblężeniu Perejasławia. W czasie bitwy pod Kamieńcem Podolskim, podczas najazdu Abazego paszy, miał komendę nad centrum pierwszej linii wojsk polskich.

Pierwsze samodzielne zwycięstwo odniósł nad kozakami już po otrzymaniu godności hetmana polnego koronnego, w czasie powstania Pawluka w 1637 r., zastępując chorego Koniecpolskiego. 16 grudnia rozbił tabor zaporoski pod Kumejkami, atakując go ogniem artylerii i piechoty, a następnie rozrywając jazdą. Było to niezwykłe zwycięstwo, które dosłownie natychmiast zakończyło powstanie. Kilka dni później kozacy skapitulowali oblężeni w Borowicy; kapitulację podpisał wówczas pisarz wojska zaporoskiego Bohdan Zenobi Chmielnicki. Wkrótce jego losy miały skrzyżować się, i to boleśnie, z losami bohatera.

Po porażce zaporożców Potocki okrutnie rozprawił się z przywódcami powstania, wbijając na pale kilku watażków i ścinając buntowników, a następnie wystawiając ich głowy w Kijowie. „Szlak od Perejasławia do Niżyna, którym kroczyły oddziały Potockiego, znaczyły szubienice i pale z ciałami powstańców" – pisał Władysław Serczyk. Przywódca powstania, Pawluk, został w Warszawie ścięty i poćwiartowany. Nie zapobiegło to wybuchowi w następnym roku kolejnego buntu, także stłumionego przez Potockiego, który narzucił kozakom przyjętą przez Sejm ordynację wojska zaporoskiego.

Potocki po śmierci hetmana Stanisława Koniecpolskiego w 1646 r., osiągnął najwyższe godności w Koronie, zostając kasztelanem krakowskim i hetmanem wielkim koronnym. Wszystko dlatego, że został zwolennikiem wojny tureckiej planowanej przez króla Władysława, który nagrodził go sowicie.

Potocki nie do końca był zwolennikiem twardego kursu wobec Zaporożców. Jesienią 1647 r. bronił rejestrowych kozaków przed uciskiem ze strony starostów i dzierżawców, wstawiał się nawet za Bohdanem Chmielnickim, co jednak nie zapobiegło wybuchowi powstania. Niestety, nie poradził sobie z buntem, co miało fatalne następstwa dla Rzeczypospolitej. Przyjął bowiem plan rozprawienia się z Chmielnickim, opracowany przez Stefana Czarnieckiego, który nie przewidywał sojuszu kozacko-tatarskiego i obecności ordy współdziałającej z Zaporożcami. Po przejściu kozaków rejestrowych na stronę Chmielnickiego i porażce oddziału syna hetmana nad Żółtymi Wodami Potocki próbował przyjąć bitwę pod Korsuniem. Następnie zdecydował się na odwrót taborem na zachód, w którego trakcie wpadł w zasadzkę zakończoną klęską i rozbiciem wojska. To pozwoliło Chmielnickiemu na opanowanie terenów ukrainnych i wzmocnienie oddziałów.

Potocki, oskarżany przez pamiętnikarza Maskiewicza o pijaństwo, dostał się do niewoli tatarskiej, z której uwolniono go dopiero po traktacie w Zborowie. W 1651 r. schorowany wziął udział w wyprawie beresteckiej, gdzie odegrał negatywną rolę; był w opozycji do króla, a dowodzona przez niego jazda poniosła porażkę drugiego dnia bitwy. Po zwycięstwie objął dowodzenie nad całością sił i ruszył na Ukrainę, gdzie połączył się z armią litewską Janusza Radziwiłła i po raz drugi… nie stanął na wysokości zadania. Chory, mający w pamięci klęski w walkach z kozakami i Tatarami zamiast pobić Chmielnickiego pod Białą Cerkwią 23 września 1651 r. i podyktować mu twarde, ale rozsądne warunki, zawarł z nim ugodę białocerkiewską, która niczego nie rozwiązywała. 22 października z powodu choroby zdał dowództwo i miesiąc później zmarł, pozostawiając na czele armii nieudolnego i znienawidzonego hetmana polnego Marcina Kalinowskiego. Błędy i nieudolność Potockiego zaważyły na klęskach naszych kampanii w czasie powstania kozackiego i pozwoliły Chmielnickiemu urosnąć w siłę na pohybel Rzeczypospolitej. ©℗



FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 0fbd615457



CUPRA TERRAMAR 1.5 E-HYBRID PHEV 204 KM

FOT. JAP

Nazwa tego flagowego SUV-a w gamie hiszpańskiej marki nie przez przypadek nawiązuje do toru wyścigowego Autòdrom de Sitges-Terramar. To właśnie tam w 2018 r. oficjalnie zainaugurowano i zaprezentowano światu markę Cupra. Po Terramarze z daleka można poznać, że to model z hiszpańskim rodowodem, który chce budzić więcej emocji niż większość podobnych do siebie rodzinnych SUV-ów średniej wielkości. Drapieżna sylwetka, charakterystyczne przetłoczenia na masce, stylistyka „nosa rekina", duże wloty powietrza w przednim zderzaku, trójkątny układ diod LED wkomponowany w klosze przednich reflektorów oraz miedziane 20-calowe felgi, to cechy rozpoznawcze najnowszych modeli Cupry.

Testowana wersja hybrydowa ma łączyć dwa światy: z jednej strony to auto dla ekstrawertyków, którzy ani myślą o zakupie vana po założeniu rodziny, a z drugiej hybrydowy napęd sprawia, że Terramar potrafi być dość oszczędny. Pod maską pracuje 1,5-litrowy silnik benzynowy wspierany przez jednostkę elektryczną. Łączna moc takiego układu w testowanym wariancie wynosi 204 KM. Prędkość maksymalna wynosi 215 km/h. Sprint od zera do 100 km/h trwa 8,3 s. I chociaż, wbrew dynamicznej aparycji, nie jest to auto sportowe, to Terramar prowadzi się pewnie i przyjemnie. Zawieszenie jest raczej sztywne, a auto pokonuje ostre zakręty niczym przyklejone do asfaltu. Bez zbędnego ociągania się biegi przerzuca również sześciostopniowa skrzynia DSG.

Wyłącznie na prądzie w cyklu mieszanym da się w teorii przejechać 120 km, choć podczas naszego testu wynik ten był raczej bliższy 105 km. Średnie spalanie w cyklu mieszanym bez zapasu prądu w akumulatorze wyniosło zaś podczas naszego testu 6,4 l/100 km. Nieźle.

W nowocześnie wykończonej kabinie również nie trzeba patrzeć na logo, aby wiedzieć od razu, że to Cupra. Uwagę zwracają bardzo wygodne przednie fotele ze zintegrowanymi zagłówkami i dobrym trzymaniem bocznym, sportowe pedały oraz mnóstwo miedzianych akcentów rozsianych w różnych częściach samochodu. Pierwsze skrzypce grają dwa ekrany. Pierwszy to cyfrowe wskaźniki dla kierowcy, a drugi przeznaczony jest do obsługi systemu multimedialnego. Większość elementów działa prawidłowo, choć połączenie z Android Auto trudno uznać za szczególnie stabilne.

W SUV-ie mierzącym 4519 mm długości i 1584 mm wysokości miejsca na tylnej kanapie jest wystarczająco zarówno na nogi, jak i nad głową. Bagażnik w hybrydowej wersji ma jednak tylko 400 l pojemności – niestety, sporo przestrzeni zabrał akumulator (na pocieszenie można go ładować prądem stałym o mocy aż 50 kW).

Zgodnie z cennikiem Cupra Terramar w wersji 1.5 e-HYBRID PHEV kosztuje 212,8 tys. zł plus wyposażenie dodatkowe (w przypadku wariantu testowego za 34,6 tys. zł). W ramach jesiennych wyprzedaży można obecnie trafić w salonach na nowiutki, nieźle wyposażony egzemplarz już od 185 tys. zł.

ECOVACS ULTRAMARINE P1

Dokładne czyszczenie zarówno dna basenu, jak i jego ścianek, cicha praca, precyzyjny system nawigacyjny, możliwość kontroli za pomocą aplikacji i ustawiania harmonogramów pracy – to największe zalety bezprzewodowego robota do czyszczenia basenów firmy Ecovacs.

Nasz świat zaczyna wyprzedzać wizję twórców popularnego serialu pt. „Jetsonowie" (którego akcja rozgrywa się w roku 2062). Autonomiczne roboty odkurzające – działające niczym AutoVac – już dawno wjechały pod strzechy. A Elon Musk zapowiada, że w ciągu najbliższej dekady na świecie będzie co najmniej miliard robotów humanoidalnych, które mogą okazać się nawet bardziej praktyczne niż serialowa Rosie. Co więcej, nawet Jetsonowie nie mieli robotów do koszenia trawników czy czyszczenia basenów. A my już mamy...

Ecovacs Ultramarine P1 to ważące 10,5 kg niewielkie urządzenie (jego wymiary to 23,8 x 39,3 x 46,6 cm), które do czyszczenia basenu wykorzystuje system ssący o wydajności niemal 18 200 litrów wody na godzinę, a także cztery współpracujące ze sobą szczotki wałkowe. Dwuwarstwowy filtr zatrzymuje nie tylko opadłe na dno liście, lecz także drobne gałęzie, owady, piasek, glony oraz inne osady i zabrudzenia. Urządzenie wyposażone w gumowe gąsienice o wysokiej przyczepności precyzyjnie nawiguje po basenie, pokonuje progi o wysokości do 5,5 cm i stale mocno przylega do odkurzanych powierzchni.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Według producenta robot działa z efektywnością wynoszącą do 99 proc. I rzeczywiście muszę przyznać, że robot potrafi bardzo dokładnie wyczyścić zarówno dno basenu, jak i jego ścianki. Sam kosz filtracyjny wystarczy zaś szybko opłukać pod bieżącą wodą.

W trybie Eco urządzenie wyposażone w akumulator o pojemności 4600 mAh na jednym ładowaniu może pracować do trzech godzin, co pozwala na wyczyszczenie dna basenu o powierzchni do 180 mkw.

Minusy? Bluetooth nie działa pod wodą, a jedynie, gdy robot jest na powierzchni. Urządzenie nie czyści też schodków i brakuje w nim funkcji skimmera – robot nie zbiera zanieczyszczeń z powierzchni wody, a więc do wyłowienia pływających liści wciąż trzeba używać tradycyjnej siatki.

Cena: 1980 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 0fbd615457



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Pychotka s. Anastazji

Jej pogodne oblicze witało nas z każdej niemal okładki jej książek kulinarnych, a napisała ich 17. Siostra Anastazja Pustelnik ze Zgromadzenia Córek Bożej Miłości, która zakończyła ziemską służbę 4 października tego roku, była praktykiem – gotowała najpierw w domu rodzinnym, potem w ośrodku dla niepełnosprawnych, a później dla zakonników i księży. Jej pierwsza książka, „103 ciasta Siostry Anastazji", otworzyła nam wrota do tajemniczej kuchni klasztornej. A historia tejże jest bardzo bogata i wielowiekowa. Pierwsi benedyktyni w Tyńcu i na Świętym Krzyżu stawiali fundamenty tradycyjnej kuchni zakonnej, którą do dziś mamy w Polsce. Oparta ona była na szacunku do tego, co sami byli w stanie wytworzyć. Reguły zaś ściśle określały, co i kiedy można jeść i kiedy należy pościć. Przez większość roku nie jadano np. czerwonego mięsa. Zakładano za to przyklasztorne stawy. Cystersi rozwinęli sadownictwo i wprowadzili do swojej kuchni dużo świeżych ziół i przypraw. Rozwijały się również młynarstwo (biała mąka potrzebna była do wypiekania hostii) i uprawianie winorośli, która służyła do produkcji wina do Mszy Świętej. Z przepisów s. Anastazji korzystała cała Polska. Siostra pochodziła z Podkarpacia i stamtąd czerpała inspiracje, jej przepisy były tradycyjne i oparte na łatwo dostępnych składnikach. Podajemy dziś przepis na wyjątkowy rarytas.

Pani Walewska

Kruche ciasto:

• 400 g mąki • 200 g masła • 100 g cukru pudru • 4 jajka (oddzielnie żółtka i białka) • 2 łyżki kwaśnej śmietany • 1 łyżeczka proszku do pieczenia • 1 łyżeczka amoniaku – to sekretny składnik s. Anastazji • 1–2 słoiki powideł śliwkowych • 200 g orzechów włoskich

Masa budyniowa:

• 500 ml mleka • 250 g masła w temperaturze pokojowej • 5 żółtek • 200 g cukru pudru • 3 łyżki mąki pszennej • 3 łyżki mąki ziemniaczanej

W misie mieszamy mąkę z cukrem pudrem, proszkiem i amoniakiem, dodajemy pokrojone w kostkę masło, zagniatamy. Dodajemy żółtka i śmietanę, zagniatamy ponownie, dzielimy na dwie części i rozwałkowujemy na dwie blaszki o wymiarach 25 x 35 cm. Jedną blaszkę wyścielamy papierem do pieczenia, wykładamy jedną część ciasta, rozsmarowujemy warstwę powideł, ubijamy pianę z białek z dodatkiem kilku łyżek cukru pudru, rozsmarowujemy na powidłach, obsypujemy orzechami i pieczemy w temperaturze 180 st. C przez 30 min. Tak samo robimy z drugim blatem, a następnie odstawiamy do wystygnięcia.

Masę budyniową przygotowujemy tak: odlewamy ½ szklanki mleka, mieszamy dobrze w nim żółtka z mąką pszenną i ziemniaczaną. Resztę mleka zagotowujemy z cukrem, do gotującego się mleka dodajemy wymieszane mleko z żółtkami, dobrze i energicznie wszystko mieszając rózgą, tak długo aż powstanie budyń; odstawiamy do ostudzenia. Ciasto składamy: na jedną warstwę upieczonego ciasta wykładamy budyń – pamiętajmy, aby warstwa orzechów była ułożona do góry, następnie nakładamy kolejny placek, też orzechami do góry, lekko przeciskając, aby blaty ładnie się zespoiły. Odstawiamy do lodówki i czekamy do następnego dnia. Wtedy smakuje najlepiej. ©℗



FOT. ADOBE STOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Zapach i medycyna

W swoich wspomnieniach Artur Rubinstein przywołuje scenę, którą zapamiętał z jednego z hoteli. Wychodząc ze swego pokoju, zauważył mężczyznę, który właśnie zamykał drzwi pokoju obok. Jednak ów pan nie skierował się ani do windy, ani do schodów, tylko przyczaił się pod drzwiami, jakby na coś czekał.

Po chwili wszedł gwałtownie do swego pokoju, lecz za chwilę z niego wyszedł. Czynność tę, ku zdumieniu Rubinsteina, powtórzył jeszcze kilka razy.

– Po co pan to robi? – zapytał zaciekawiony pianista.

– Sprawdzam, czy w pokoju czuć starczy odór – odpowiedział mężczyzna.

„Starczy odór" – może nie aż tak brutalnie powiedziane, ale ów towarzyszący starości zapach – bywa często przywoływany w literaturze. „Pokój babci przesycony był zapachem lawendowych ziół, wody kolońskiej i rezedy, którą hodowała w doniczkach" – opisuje w „Nocach i dniach" Maria Dąbrowska pokój babci Niechcicowej, która z rodziną syna mieszkała na starość.

Powstaje pytanie: Czy zapach starości istnieje naprawdę czy jest tylko figurą literacką?

Mój znajomy z Kalifornii, Kuba Tatarkiewicz, mężczyzna ledwo po sześćdziesiątce cieszący się dobrym zdrowiem i energią, postanowił przetestować produkty higieny osobistej zawierające wyciąg z persymonów, który rozpuszcza związek 2-nonenal, będący źródłem tzw. zapachu ludzi starych nonenal. Na razie po użyciu mydła stwierdzono jego miły zapach. I chyba na miłym zapachu się skończyło.

Jednak zabawy starszego pana z opowieści Rubinsteina z wchodzeniem i wychodzeniem z pokoju, jak wykazuje nauka, miały pewne uzasadnienie medyczne.

Charakterystyczny zapach, który część ludzi kojarzy ze starością, istnieje naprawdę. Nie jest to jednak jeden konkretny „zapach starości", lecz mieszanina kilku związków chemicznych i czynników środowiskowych.

Jednym z najlepiej poznanych jest 2-nonenal – związek powstający m.in. w wyniku utleniania lipidów obecnych w skórze. Jego ilość może wzrastać wraz z wiekiem, a zapach bywa opisywany jako tłusty, trawiasty, lekko stęchły lub przypominający starą książkę.

Na charakterystyczny zapach osoby starszej wpływają też zmiany w składzie sebum i potu, zmiana mikrobiomu skóry, kosmetyki i detergenty, ubrania, pościel i wentylacja pomieszczenia, dieta oraz leki.

Nie oznacza to, że każda starsza osoba musi mieć taki zapach. Higiena, pielęgnacja skóry, pranie i warunki w mieszkaniu mogą go znacznie ograniczyć. A jednak zapach jest wyczuwalny nawet w mieszkaniu starszej osoby, a nie tylko na jej skórze. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Diabeł zawsze wchodzi przez kieszeń

Komik Beppe Grillo był autorem politycznej sensacji XXI w. 4 października 2009 r., w dniu wspomnienia liturgicznego św. Franciszka z Asyżu, utworzył wokół swego bloga ugrupowanie polityczne Ruch Pięciu Gwiazd, które zaproponowało Włochom wiele radykalnych posunięć ekologicznych, aktywizm u podstaw, a przede wszystkim realizację programu moralno-społecznego św. Franciszka. Dziewięć lat później Ruch otrzymał jedną trzecią głosów w wyborach parlamentarnych i sięgnął po władzę. Premierem został kandydat Ruchu Giuseppe Conte. Rządził, fatalnie, przez dwa i pół roku.

Obecnie Ruch może liczyć na 12 proc. głosów i współrządzenie w koalicji z lewicą po przyszłorocznych wyborach. Naturalnie pierwszą ofiarą uwikłania Ruchu w cyniczną włoską politykę padło nauczanie Biedaczyny z Asyżu. Beppe Grillo, usunięty z Ruchu decyzją członków, spojrzał na obecny moralny stan swego politycznego tworu, zapłakał i opublikował moralitet, opisując żenujące wydarzenia na Sardynii.

Przypomniał, że na wyspie, cieszącej się statusem autonomicznego regionu, w 2021 r. rządząca centroprawica przegłosowała dekret zezwalający władzom na zatrudnianie konsultantów wszelkiej maści, nie określając w żaden sposób zakresu obowiązków ani wysokości wynagrodzenia. Opozycja, a więc Ruch i wszystkie ugrupowania lewicy, nie bez racji alarmowała, że to wręcz zachęta do piramidalnej korupcji i nepotyzmu, rodzinnego i politycznego.

Dwa lata temu do władzy na Sardynii dorwali się Ruch z lewicą. Zamiast znieść dekret, postanowili go wykorzystać. Dzięki temu, jak ujawnia Grillo, działacz Ruchu Jacopo Gasparetti, zarabiający 10 tys. euro miesięcznie jako członek Rady Regionalnej, od 2024 r. otrzymuje co miesiąc dalsze 10 tys. euro jako konsultant do spraw komunikacji. Umowa wygasa wraz z kadencją władz regionalnych w 2029 r. Podobnie ma się rzecz z konsultantką Ruchu Mariassuntą Matrisciano. Niejaki Luca Caschili, też z Ruchu, konsultuje za ponad 13 tys. euro miesięcznie, mimo że zarabia również jako szef gabinetu gubernatorki Sardynii. Wszystkie wyżej wymienione osoby na konsultacjach na Sardynii zarabiają lepiej niż senatorowie republiki w Rzymie. To oczywiście pikuś w porównaniu z polskim doktorkiem K., ale cała Italia trzęsie się z oburzenia, tym bardziej że prawnie władzom Sardynii i jej konsultantom nie można niczego zarzucić. Władze Sardynii zatrudniają więc ponad 100 konsultantów.

Jak wielokrotnie ostrzegał papież Franciszek, „diabeł zawsze wchodzi w człowieka przez kieszeń”. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Perpetuum mortale

Firma BioNTech, technologiczne i produkcyjne ramię szczepionek z wykorzystaniem technologii mRNA, przeboju pandemicznego, zamyka swoje fabryki w Niemczech. Tysiące ludzi tracą pracę m.in. w Marburgu, Idar-Oberstein i Tybindze. Popyt na „dawki przypominające” (kto jeszcze pamięta, które z kolei?) na (medialnego) wirusa tysiąclecia szoruje po dnie i trzeba zwijać interes. Zaraz po ustaniu (Putinem? decyzją administracyjną?) pandemii słychać było przebąkiwania, że technologia mRNA zdała egzamin, uratowała ludzkość przed pewną, acz nieweryfikowalną, zagładą, i mRNA jest (znowu jak Putin) dobra na wszystko.

Okazało się, że przy okazji pandemii ludzkość odkryła uniwersalny klucz do chorób, terapię genetyczną. Jednak nic z tego nie wyszło i główny dostarczyciel tego szczepiennego wybawienia musi się zwijać, a więc to nie nauka, ale odbiór społeczny zdecydował o powodzeniu tej misji.

Ale jest jeszcze bardziej ponuro, BioNTech tylko przenosi swoje „zdobycze” technologiczne w inne rejony. Teraz będzie się zajmował walką z rakiem. Tak, zaatakujemy go od strony genotypu, zrekombinujemy białka tak jak za COVID-19, a te dadzą odpór rakowi. Brzmi to nieźle, jak każda nadzieja dla zdesperowanych, ale jest pewien szkopuł.

Niedobadane ewidentnie szczepionki mRNA, wprowadzone w trybie nadzwyczajnie szybkim, w sztucznie wytworzonym kontekście wyższej konieczności, dziwnie zbiegły się z gremialnym spadkiem odporności i wysypem turboraków. Z coraz większej liczby badań wychodzi, że szczepionki doprowadzać mogą do wzrostu zachorowań na ostre nowotwory i to w grupach do tej pory omijanych przez raka.

Wychodzi więc na to, że BioNTech „podąża” za problemem, który… sam stworzył, tak jak kiedyś jeden z producentów szczepionek na COVID-19 zaczął produkować zaraz lekarstwo na zakrzepicę, podstawowy efekt uboczy swych szczepionek. To taka sytuacja, jakby sprzedawać rakiety jednej stronie wojny i przeciwrakiety drugiej. Tak czy siak, traci na tym zaszczepiony obywatel, bo wchodzi w spiralę wywołanej przez preparat producenta dolegliwości, kiedy ten sam sprawca trzyma już w drugiej ręce remedium na wywołaną przez niego przypadłość. Jest to więc nie tylko finansowe, lecz także zdrowotne, a właściwie chorobowe perpetuum mobile.

Cynizm Big Farmy jest już chyba oczywisty, z enuncjacji zaś specjalistów od żywienia mamy do czynienia z jeszcze innym, szerszym procederem, przemysł spożywczy „dostarcza” swymi produktami gremialnie pacjentów Big Farmie. I to jest dopiero perpetuum, ale mortale. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457



SPODE ŁBA

Szabla ciężka, a krucha

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Bardzo ciekawa wymiana zdań rozgorzała ostatnio pomiędzy posłem Michałem Dworczykiem a ministrem obrony narodowej Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Poseł Dworczyk zaprezentował projekt ustawy, przygotowanej w klubie Rozwój Plus, dotyczącej programu szkoleń wojskowych dla parlamentarzystów. Miałyby one trwać aż 58 dni, z czego 30 przypadałoby na „intensywny kurs obronny przygotowany przez Akademię Sztuki Wojennej", a pozostałe na „przeszkolenie wojskowe, podobne do tego obecnie prowadzonego w ramach dobrowolnej zasadniczej służby wojskowej". Minister Kosiniak-Kamysz, zamiast ucieszyć się z animuszu sejmowego kolegi, ofuknął go i zachęcił do udziału w już organizowanych ćwiczeniach programu „wGotowości". Składa się on z czterech jednodniowych modułów, z których podczas rejestracji na stronie można wybrać jeden lub kilka.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Dla wyobrażenia sobie rezultatów, które osiągnąć mogą osoby w średnim wieku, poddane ekspresowemu szkoleniu wojskowemu, sięgnąć trzeba po doświadczenia historyczne. W roku 1940, po naukach wojny z Finlandią, tryb szkolenia rekruta w sowieckiej Armii Czerwonej przeznaczał cztery miesiące na indywidualną naukę żołnierza, po czym kolejne trzy miesiące na kształcenie specjalistyczne w pododdziałach. Na wiadomość o 28-dniowym „przeszkoleniu wojskowym" uśmiechnąłby się zapewne, znany z szafowania życiem podwładnych, marszałek Żukow. Nie mając z nich innego pożytku, wykorzystywał on, podczas wojny, krótko szkolone oddziały do ofensywnego rozbrajania pól minowych metodą „z marszu". Czyżby w analogicznej roli widzieli siebie, na polu bitwy przyszłości, polscy parlamentarzyści?

Szkoleniem wojskowym polskich posłów, senatorów i ministrów z pewnością nie zajmą się przypadkowi kaprale lub niskie szarże. Prostym wyrazem szacunku byłoby skierowanie do tego zadania doświadczonych oficerów. Generałów jest w polskiej armii ok. 150. Jeden polski generał przypada, licząc z grubsza, na tysiąc naszych żołnierzy. W wielokrotnie liczniejszej U.S. Army na jednego generała będzie ich 1,6 tys., co daje naszym wojskom prawie 60-procentową przewagę w generałach per capita. Podobne, w stosunku do armii amerykańskiej, proporcje panują w wielotysięcznej grupie podpułkowników i pułkowników. Instruktorów dla parlamentarzystów w mundurach z pewnością nie zabraknie.

Pierwszym elementem szkolenia wojskowego, któremu według projektu klubu poselskiego Rozwój Plus podlegać mają polskie elity polityczne, będzie udział w miesięcznym kursie prowadzonym przez Akademię Sztuki Wojennej. Czy zdoła ona jednak podołać temu zadaniu? Zgodnie z wynikami badań lekarskich, opublikowanych w roku 2025 przez Wojskowy Instytut Badawczy w Warszawie, którym poddano wybraną losowo grupę oficerów wyższych w wieku 40–58 lat, „kadra kierownicza wojska cechuje się wysokim rozpowszechnieniem czynników ryzyka sercowo-naczyniowego". Otyłość stwierdzono u 33 proc. badanych, nadwagę u następnych 50 proc. (łącznie 83 proc.). Nadciśnienie tętnicze miało 54 proc. wysokich oficerów, z czego 23 proc. miało II lub III stopień tego schorzenia. Wysokie lub bardzo wysokie ryzyko incydentu sercowo-naczyniowego występowało u 62 proc. oficerów. W oficjalnym raporcie z badania czytamy: „Wyniki wskazują na konieczność wdrożenia programów profilaktycznych, obejmujących edukację zdrowotną, strategie redukcji stresu oraz wsparcie w zakresie zmiany stylu życia, co może przyczynić się do poprawy zdrowia i zdolności operacyjnej sił zbrojnych".

Czy mając do czynienia z wojskowymi kadrami kierowniczymi o tak specyficznym profilu, warto narażać je na długotrwały kontakt z setkami polskich parlamentarzystów i członków rządu? Czy zadziałają świeżo wdrażane „strategie redukcji stresu"? Polscy oficerowie wyżsi, choć liczni, okazują się w świetle powyższych badań instrumentem delikatnym i kruchym, a narażenie ich na długotrwały kontakt z posłami Czarzastym, Morawieckim lub Tarczyńskim mogłoby się na kondycji zdrowotnej wojskowych odbić fatalnie. Obniżyłoby to w konsekwencji, niestety, zdolność operacyjną sił zbrojnych. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457



Z INNEJ PERSPEKTYWY

Gdzie my jesteśmy?

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Chyba jednak sporo ludzi w Polsce stuka się w głowę i zadaje sobie pytanie: Czy to wszystko jest normalne? Czy normalne jest, by marszałek Sejmu, a więc druga osoba w państwie, opowiadał na wiecu z ogromnym przejęciem, jak i gdzie defekował, używając do tego bardziej dosadnych określeń? Czy normalne jest, by człowiek kulturalny krępował się, cytując przedstawicieli władzy? O wybitnych artystach słowa, którzy używają tych i jeszcze dosadniejszych określeń, już lepiej nie mówić.

Jak to możliwe, że człowiek, który jeszcze 15 lat temu był głównym wrogiem demokracji i cywilizowanego świata stał się teraz adwokatem demokracji oraz autorytetem prawniczym i etycznym?

Czy normalne jest, by facet z tytułem ze znanej fabryki profesorów na Słowacji zajmował przy pomocy policji fotel rektora wyższej uczelni? Tak się też zastanawiam, czy normalne jest, by pewna pani, także z habilitacją, zatrudniona na ważnej państwowej posadzie, nie zdołała przeczytać kuriozalnego raportu, który jej wyprodukowała sztuczna inteligencja za grube pieniądze państwowe?

Czy to możliwe, by premier oskarżał prezydenta naszego głównego sojusznika o szpiegostwo na rzecz naszego głównego wroga i mówił, że nic takiego nie mówił? Czy normalne jest, żeby awansować osoby, które za jego zgodą podpisywały w 2013 r. umowę o współpracy z tym wrogiem, na stanowiska kluczowe dla bezpieczeństwa państwa?

Czy normalne jest, że gość, który bez uprawnień sprawował ważną funkcję w szpitalu i zarobił półtora miliona, wykazując lipne dyżury jeszcze w paru innych miejscach, teraz oświadcza, że ma wszelkie oskarżenia z tyłu organizmu, można powiedzieć po lekarsku między pośladkami? I władz to nic a nic nie obchodzi? Mało tego, jego partyjny patron przyznał z rozbrajającą szczerością, że stanowiska zajmowanego przez owego gościa w ogóle nie było! Czy normalne jest, by człowiek ten uchodził za ofiarę prześladowań, jak chcą tego jego obrońcy?

Ponadto czy normalne jest, by inna pani kierowniczka, która przyznała dotację dla powodzian swemu mężowi, mieszkającemu na górce, oraz innym znajomym, twierdziła z uroczym uśmiechem, że wszystko jest moralnie w porządku?

Czy jest normalne, by minister edukacji prawie 40-milionowego kraju nie znała słowa „gospodyni", używając w zamian słowa „gospodarka"? I czy normalne jest, by faszerować dzieci szkolne jakąś strawą „planetarną", którą 70 proc. dzieci wypluwa? À propos, kochane dzieci, bądźcie grzeczne, zwłaszcza w obecności pani Rzecznik Waszych Praw, bo broniąc was, może ona was skierować do ośrodka opiekuńczego!

Czy to możliwe, by premier oskarżał prezydenta naszego głównego sojusznika o szpiegostwo na rzecz naszego głównego wroga i mówił, że nic takiego nie mówił? Czy normalne jest, żeby awansować osoby, które za jego zgodą podpisywały w 2013 r. umowę o współpracy z tym wrogiem na stanowiska kluczowe dla bezpieczeństwa państwa?

Czy normalne jest wiezienie na przesłuchanie z Warszawy do prokuratury aż w Rzeszowie pani, która nie miała wpływu na dopuszczenie pseudosędziów Trybunału Konstytucyjnego, by ją oskarżać o coś, co jest zgodne z prawem?

Czy normalne jest, że nikt z rządu nie potrafi wyjaśnić, dlaczego gwałtownie wzrósł deficyt budżetu, zadłużenie państwa, a agencja Moody's obniżyła rating Polski?

A i jeszcze, czy normalne jest, by wicemarszałek Sejmu łajała dziennikarzy, którzy dopytywali się o jej związki ze współpracowniczką oskarżoną o pedofilię i zoofilię? I kto o tym jeszcze pamięta?

To przecież wszystko straszna żenada. Jeśli ludzi, którzy się jeszcze nie stukają w głowę, jest nadal sporo, to być może najbliższą kampanię wyborczą warto oprzeć na haśle przywrócenia normalności. Niekoniecznie prawicy czy konserwatyzmu, czy innego izmu, ale na przywróceniu normalności. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457

SWOBODY



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Latem na parkingu przy autostradzie Polak przegonił muzułmanów modlących się na dywaniku. Zrobił słusznie! Odeszli, choć było czterech na jednego. Odeszli, bo ktoś im stawił opór. Francja, Hiszpania, Szwecja to już ich teren; Polska jeszcze nie. Gdy islam czuje opór, szuka sobie innego miejsca. Dlatego warto stawiać opór.

Częścią naszego oporu, łatwą do zrealizowania, jest ksiądz, który na ulicę wychodzi zawsze w sutannie, dzwony w kościołach, które dzwonią przed każdą mszą oraz na Anioł Pański. Wiem, co mówię – jestem antropolog. Islam unika terenów, gdzie widać sutanny i słychać dzwony. Islam rozumie taki opór. Niechęć wobec innowierców jest dla nich zrozumiała – oni na swoich terenach zakazują budowy kościołów. Nie zdziwi ich, gdyby u nas dostali zakaz budowy meczetu.

***

Muzułmanie w Europie to inwazja, najazd, przejęcie terenu. Nie chcą pokojowego współistnienia. Chcą zająć teren i być większością, która rządzi. Nie chcą multi-kulti. Ja też nie chcę. Pokojowe współistnienie to postulat niewykonalny.

Przykład: We Francji zamieszki. Do pokojowych demonstracji białej młodzieży francuskiej wtrącili się migranci. Niektórzy urodzeni we Francji. Trzecie pokolenie, ale to nie są Francuzi – sami się separują, sami o sobie mówią, że są z Algierii, Maroka. Czyli nie-Francuzi. Podpalają kościoły, szpitale, atakują nauczycieli, którzy wsparli młodzież w walce o poprawienie jakości szkół.

Gdy biała młodzież maszerowała z transparentami, imigranci ruszyli niszczyć. Jedna ze scen: aerozol plus zapalniczka i napastnik podpala twarz kobiety na przystanku autobusowym. Podpalanie twarzy to metoda afrykańska. Ktoś mi powie, że to część europejskiej kultury, tylko dlatego, że podpalacz urodził się we Francji? No nie. Nie mam zamiaru akceptować tego jako kultury równouprawnionej z moją.

***

Na wydziałach antropologii uczy się studentów, że nie ma kultur lepszych i gorszych – wszystkie są równoprawne. Bzdury! Hindus, który robi kupę do rzeki, to nie jest kultura równa z moją. Kamienowanie kobiety w islamie to barbarzyństwo. Kultura chrześcijańska jest wyższa i tyle w temacie.

Filmowałem „Boso przez świat" na wyspach Vanuatu. Filmowałem ludożerców. Pytałem, jak smakuje ludzina, a oni umieli mi odpowiedzieć, bo znają ten smak. Czy to też kultura równa mojej? Nie! Ludożercy z Vanuatu to kultura niższa. Fascynująca, ciekawa, ale niższa.

***

Swobody religijne, zapisy konstytucyjne o wolności wyznania, zostały wymyślone przez chrześcijan dla chrześcijan. Inne kultury nie mają tego standardu i nigdy nie miały. Swobody religijne zostały ustanowione dla ludzi, którzy szanują chrześcijański porządek rzeczy.

Swobody religijne ustanowiliśmy dla siebie, a nie dla obcych kulturowo oraz dla wrogów religii. Ateista, skoro odrzuca religię, nie ma swobód religijnych, bo jest niereligijny lub areligijny. Satanizm to też nie jest religia, lecz antyreligia, i dlatego satanistom nie należą się swobody religijne. Nie należą się nikomu, kto chce zniszczyć chrześcijański porządek Zachodu.

***

Tamten Polak, który pogonił muzułmanów, zrobił słusznie. Takiego parafianina chcesz mieć na terenie swojej parafii. Takiego, który potrafi przegonić niewiernych.

Bo to muzułmanie są niewierni. Nie wierzą w tego samego Boga co my. Ich bóg każe podrzynać gardła, palić, nawracać przemocą na islam. Ich bóg pozwala kłamać, pozwala oszukać lub okraść i oni wtedy mówią: „inszallah". Doświadczyłem tego w Maroku, a Maroko to nie jest prymityw ani dzicz. Maroko to kultura wysoka, tyle że islamska. Taksówkarz próbował mnie naciągnąć. Łgał w żywe oczy, bezczelnie i bez zahamowań. Gdy musiał się poddać, nie okazał wstydu. Nie miał problemu z tym, że wcześniej kłamał. Po prostu uśmiechnął się i powiedział: „inszallah" – coś w rodzaju: „Jak Bóg da". Gdybym się dał oszukać, to by znaczyło, że Bóg pobłogosławił jemu, ale skoro się nie dałem oszukać, to „inszallah" znaczyło, że Bóg pobłogosławił mnie. Takie podejście do kłamstwa, oszustwa, fałszywych zeznań to nie jest nasz system etyczny. My mamy przykazanie: „Nie kradnij". Muzułmanie mają: „Gdy się uda, to znaczy, że tak miało być i tobie się poszczęściło". Czegoś takiego nie da się dopasować do żadnego z kodeksów obowiązujących na terenie Europy.

***

Islamu nie da się pogodzić z chrześcijaństwem. Oni sami o tym mówią. Ich doktryna nakazuje oczyszczenie ziemi z chrześcijan. Nawracanie siłą. Dlatego gdy się pojawiają na naszej ziemi, należy ich deportować, zniechęcać, przeganiać, nie wydawać zezwoleń na stawianie meczetów.

A co ze swobodami religijnymi? Wszystkie religie, które dopuścimy na naszym terenie, muszą się zgadzać z naszym systemem wartości opartym o 10 przykazań. Jeżeli któraś z religii nie zgadza się z naszym porządkiem wartości, wówczas nie dajemy jej wstępu. Swobody religijne dla samej swobody są niedobre. Islam nawraca siłą. Islam dopuszcza kłamstwo, gdy ono dotyczy niewiernych, czyli nas. Islam dopuszcza kradzież i grabież, gdy to dotyczy niewiernych, czyli nas. Islam promuje rzeczy niezgodne już nie tylko z naszą religią, lecz także z naszym kodeksem karnym.

Co ze swobodami religijnymi, gdy naruszają one kodeks karny, np. „Nie zabijaj"? Co wtedy? Wtedy to przestaje być rozmowa o swobodach religijnych, a zaczyna się rozmowa o porządku prawnym naszej cywilizacji.

Co ze swobodami religijnymi dla kogoś, kto w ramach swojej religii chce nas zniszczyć? Wtedy zakazujemy mu uprawiania takiej religii na naszym terenie. Swobody religijne nie są absolutne. Mają służyć dobru. ©℗

eprasa.pl 0fbd615457

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~751 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 444 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0fbd615457

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 0fbd615457